

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(52) 2007

Wspomnienia A. Senzego z Weterynarii, J. Ciechanowskiej z „Gazoliny”, H. Kleinroka z Kozłowa – dokończenia ♦ K. Przybyłko o ks. prof. W. Smerece ♦ H. Żołnierzowa o wy-pędzeniu ♦ Rozmowa z dr Martą Urbańską ♦ Zjazd Tarnopolan ♦ Wiersze i proza ♦ Książki ♦ Sylwetki ♦ Słownik

JEDZIEMY DALEJ

A więc ostatni numer tego roku. Trzynastego roku naszego wydawnictwa (od 1995), 52. numer, ale licząc razem ze „specjalnymi” – 56. zeszyt.

Zastanawialiśmy się, czy na tym nie poprzestać. Dlaczego? – zapyta ktoś dociekiwy. Wyjaśniamy: nie o środki finansowe chodzi, tych nie brak dzięki życzliwości Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. A po prostu dlatego, że z czasem coraz trudniej zapanować nad ciągłym rozrostem pisma. Nasz kwartalnik w efekcie rozwinął się ponad miarę – wszedł i w głąb.

Ale nam wytłumaczono – przede wszystkim Czytelnicy z różnych stron Polski (szereko rozumianej), którzy się o tym dowiedzieli – że wszak nie tędy droga. Przypominają, że pismo jest potrzebne i tu i tam, bo porusza bardzo wiele problemów, tych historycznych i tych aktualnych. Bo przekazuje wiadomości, do których szeregowy czytelnik nie dociera, nie ma szans. Więc nas doceniają (no, może z małymi wyjątkami, ale z tym da się żyć...) i nawet godzą się, by kwartalnik był nieco skromniejszy w swych rozmiarach, ale rezygnować nie wolno.

Czyli przez kolejny (czternasty) rok „Cracovia–Leopolis” będzie się ukazywać, ale w „odchudzonej” wersji. Dlatego prosimy Autorów nadsyłających swoje teksty, by odąd pisali jak najwięcej. Coś nam stracimy, to pewne, ale i zyskamy, bo wiele zalegających ciekawych artykułów szybciej trafi na nasze łamy. I tych historycznych, które zaświadcza-ją o kilkunastu wiekach polskości zabranej nam Ziemi, coraz to przerywanej najazdami, zaborami, okupacjami, i o Polakach, którzy o swą Ziemię walcząc z a w s z e zwyciężali. I wiadomości, bo wiele dzieje się w sprawach, które interesują nasze środowisko. I recenzje o licznych książkach, które omawiamy, zdając sobie sprawę, że nasi Czytelnicy nie są w stanie ich wszystkich kupować, ale o ich treści powinni wiedzieć.

Ostatni okres był dla nas szczególnie trudny, choć bardzo satysfakcjonujący, bo – oprócz niniejszego numeru CL – współpracowaliśmy z krakowskim „Sokołem” nad jego „Przełudem Sokolim”, poświęconym uroczystościom 140. rocznicy powstania Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” we Lwowie w 1867 roku. To wielka data w naszej historii – wszak „Sokół” i Harcerstwo, które się z niego wyłoniło (też we Lwowie!) wywarły niemały wpływ na odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Z okazji tej wspaniałej rocznicy Sokoli z południowej Polski, pod wodzą krakowskich działaczy Rady Odrodzenia TG „Sokół”, wyjechali w połowie czerwca '07 do Lwowa, by tam zainaugurować rocznicowe uroczystości, kontynuowane potem w Krakowie. Pojechali druhowie z Małopolski, Podkarpacia i Górnego Śląska, wzięli ze sobą młodzież, która czegoś się nauczyła, a wszyscy przeżyli wielkie wzruszenia. Jakże nie wyrazić im naszej wdzięczności? Szerzej napiszemy o tym w następnym numerze.

Wracając do naszego kwartalnika: w tym numerze zamieszczamy dokończenia (bardzo długich, więc podzielonych na dwie części, a jeden nawet na cztery) kilku niezwykle ciekawych artykułów wspomnieniowych, poświęconych studiom i pracy w czasie II wojny. Autorzy piszą tam o swoich specjalnościach, tłem ich jednak jest życie całego miasta oraz wydarzenia polityczne i społeczne. Jest też kilka wspomnień o wybitnych postaciach, w tym kilku ostatnio zmarłych, których będzie nam bardzo brakować.

A nasze redakcyjne teczki pękają od nowych materiałów do publikacji różnego typu. Oczywiście najpierw liczne artykuły na tematy historii dawnej i bliskiej, biograficzne, krajoznawcze. I coraz to pojawiają się nowe książki, które trzeba Czytelnikom przybliżyć; nowe wydarzenia z tamtej i z tej strony kordonu, których nie wolno pomijać. Jak to pomieścimy w zmniejszonej objętości pisma? Ale nie martwmy się na zapas – jakoś to będzie.

Czytelnikom i Autorom „Cracovia–Leopolis” oraz wszystkim Członkom Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zasyłamy najserdeczniejsze życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 2008!

Redakcja

WRZESIEŃ, CZYLI O PAMIĘCI

Czytelnikom należy się na samym wstępie wyjaśnienie: zamieszczany dziś tekst naszej wieloletniej felietonistki powinien się być w istocie ukazać w poprzednim numerze, kiedy obchodziliśmy – we wrześniu – kolejną rocznicę agresji sowieckiej na Polskę. Tak się jednak złożyło, że trafił do nas zbyt późno, co jednak nie odebrało mu aktualności. W ostatnich tygodniach (październik) obchodziliśmy wszak rocznicę zbrodni katyńskiej, przez wszystkie miesiące roku wspominamy kilkakrotne wywózki do Kazachstanu czy na Syberię, morderstwa Polaków w więzieniach Lwowa, Złoczowa i szeregu innych miast Ziemi Wschodnich. A to wszystko zaczęło się tamtą agresją wczesną jesienią 1939 roku.

Wrzesień to miesiąc, który wszystkim kojarzy się z pięknem nadchodzącej jesieni. Mieni się wszystkimi kolorami i złocistością dojrzających zbóż, czerwienią i żółcią opadających liści, a także oczekiwaniem na pierwszy śnieg...

Ale dla nas wrzesień to miesiąc, w którym spotkała nas wielka katastrofa; o świcie usłyszeliśmy łoskot wjeżdżających czołgów. Na czołgach czerwieniły się gwiazdy, symbole bolszewickiej rewolucji, i widok ich zwiastował nam ostateczną klęskę. Zaczęły się pierwsze wywózki, nasz kraj został przecięty granicą na pół i nie było żadnej drogi ucieczki. Pozostawała tylko nadzieja, że to wszystko jest tymczasowe.

Nasza nadzieja została podeptana paktami międzynarodowymi. Któż w tych czasach zajmował się naszym losem? Losem ludzi, którzy od wieków żyli na tej ziemi, którą trzeba im było opuścić, bo tak nakazywały układy zawarte w porozumieniach, w których nie mieliśmy udziału. I już na zawsze zostaliśmy wygnaniami, nie mogącymi wrócić do ojczyzny przodków.

Jest nas już niewiele, którzy to pamiętają, ale dla nas zapomnienie tych ziem jest bolesnym wspomnieniem tego, co zostaliśmy zmuszeni opuścić. Kiedy nas już nie będzie, nikt już nie będzie naszej klęski rozumiał i pamiętał. Dlatego trzeba nam tę pamięć pielegnować i przekazywać tym, którzy będą żyli wtedy, kiedy nas już nie będzie.

Barbara Czałczyńska

Przeczytane

* * *

Ze wschodnią częścią Małopolski zabrano nam 70% ropy, 90% gazu ziemnego, przebogate złoża soli potasu, manganu, wosku ziemnego, węgla w Sokalszczyźnie, zasoby rybne i leśne Polesia i Wileńszczyzny oraz ziemie lessowe Podola. Wszystko to już po europejsku zagospodarowane po latach niewoli kraju przez Polaków. Oddano to bolszewikom, [...] barbarzyńcom.

Róbcie tak, ażeby dzieci nasze wiedziały, że o te ziemie kultury i państwowości polskiej walczyliśmy aż do samego końca, że walcząc ulegliśmy przemocy nie tylko naszych wrogów, ale też przemocy naszych przyjaciół. Gdyż inaczej przyrodzony fałsz wschodu z tych wielkich wodzów, pisarzy, poetów, pieśniarzy i naukowców zrobi Rosjan, Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów.

Kazimierz Piotr Kapuściński
z książki *Zbrojne ramię Miasta Lwowa*

O K.P. Kapuścińskim i jego książce – czytaj w *Książki-Czasopisma*

Wiesław Krawczyński

ROZMYŚLANIA NAD AUTOPORTRETEM



To był prawie początek XX wieku, jego pierwsza ćwiartka... Odkrywałem świat, najpiękniejszy, zieloność lasu, jego zapach, ciszę, trzeszczące pod nogami ścieżki od igliwia, gałązek. Dobroć do mu, tej świętej komórki tworzącej moje jutro. Ojciec z wąsami, leśnik i... spacer z Dziadkiem. Upał. Dziadek chciał chwilę odpocząć pod sosną, by więcej nie wstać. Nie rozumiałem, co się stało. Później spał wiecznym snem w pokoju pełnym jedliny... i pogrzeb... Jechaliśmy karetą 7 kilometrów na cmentarz...

Nad nami w leśnictwie mieszkał praktykant. Wieczorami grywał na skrzypcach. A dom pełen spokoju, miłości. Przestrzeń lasu, pól, kraj dźwigał się z bojów o wolność, we wsiach bieda, ale wolność po prawie 120 latach niewoli.

I zmiana mieszkania. Duży dom, park, konie, psy i obok znowu pachnący żywicą las pod łańcutem. Poznają litery i cyfry pisząc rysikiem na tabliczce. Przyjazdy hrabskich gości na polowania. Pierwsze wielolampowe radio. Odgłosy tajemnicze ze świata i nieme kino w budynku „Sokoła”. Tyle wokół szlachetności, dobroci, wzajemnego zaufania i budowanie wnętrza na historii i pieśniach legionowych, powstaniowych, opowieści grotterowskich, miłości Ojczyzny i poświęcenia dla Niej. Wuj obrońca Lwowa. Stryj wraca z Sybiru z rosyjskiej niewoli. Kształtuje się wyidealizowany obraz wartości. Kilka lat w jezuickim gimnazjum wyrabia poznanie cnót naznaczonych dekalogiem. – Jak wspaniałe świadectwo starszego pokolenia. Lwów – miasto Semper Fidelis. Cmentarz Orłąt – dzieci walczących o swoje miasto. Piszący tramwaj jadący pod Kopiec Unii na Wysokim Zamku. Akademicka – corso młodzieży. A w powietrzu wisi groza apokalipsy. Wojsko polskie wspaniałe, defilada na Placu Mariackim pod pomnikiem Wieszcz. Entuzjazm tłumów. *Nikt nam nie robi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami Śmigły, Śmigły Rydz.* Pierwsze niemieckie bomby na dworzec kolejowy. Nocą smugi reflektorów.

Wylapują latającą szarańczę, z czarnymi krzyżami na skrzydłach. W radiu alarmy *Uwaga – nadchodzi* i kłęska. Lwów oddany czerwonej zarazie, która wlewa się

dniem i nocą w serce miasta. Czerwień na gmachach, portrety „wodzów”, skośnooka armia. Wywozy nocne, transporty na Podzamczu, ludzie w bydłęcych wagonach. Tylu znajomych. Czerwony terror, który cofa się po roku przed kolejnym najazdem barbarzyńców, zostawiając palące się trupy na Łąckiego, w Brygidkach... Stosy trupów.

Salwa na Wzgórzach Wuleckich – ginie kwiat polskiej nauki, w tym wuj i wielu znajomych. Wiadomości o obozach zagłady, komorach gazowych. Wywozy na roboty do fabryk, bauerów. Potrzebni niewolnicy. I znów kolejna nawała cofających się „uberleute”. – A my naiwni wciąż wierzymy w Prawdę i Sprawiedliwość w podziemnych szeregach Armii Krajowej. Bohaterski zryw Warszawy. I noc komunizmu.

Aresztowanie, Brygidki, Zamarstynów, noc z biciem do nieprzytomności. Rok śledztwa. Nie poddaję się, wspierany matczyną modlitwą. Wywóz na Sybir, za koło podbiegunowe. Wśród przestępców, morderców, zboczeńców, wulgarnych słów i przekleństw nawet na Boga. Wracają wspomnienia domu, wpajanych zasad, wierności wartościom! Bóg daje możliwość powrotu, z założoną rodziną.

Kraków – wspaniała historia. Każdy kamień świadczy. A ludzie? Ci najbliżsi – jak zawsze wierni Historii, wpajającym Idealom, Zasadom. A obok tylu ślepych sprzedawczyków, dających się nabrać na lep fałszywych haseł. I znowu więzienia pełne Bohaterów. Znowu walczące o Prawdę – podziemie, w swojej ojczyźnie pod obcym jarzmem. Gangrena wnętrza socrealizmu. Wybuch so-

lidarnej nadziei. Czy minie apokalipsa ducha? Gdzie ideały Matejki, Kossaka, Mickiewicza, Wyspiańskiego – plejady Pomników Narodowej Dumy? Tyle nęczy umysłowej...

I ON – chluba narodu i świata. Potęga wnętrza, w charyzmie miłości, pokoju, sprawiedliwości i... troski. Co niesie Jutro w epoce zdobywania kosmosu, niewiarygodnych osiągnięć nauki...?

Co czeka świat, naszą Polskę...? Kolejny przełom wieku... Co da ludzkości? Kto zwycięży? Czy prawda, szlachetność; czy moc szatana pełna zła, zakłamanie i dna poniżenia i zniszczenia tego słowa, którym jest Człowiek?

Powyższy tekst powstał w 2003 r. na apel Stefana Berdaka (także lwowianina, patrz CL 2/04, s. 19, Rozmowa), skierowany do kilku poetów w Krakowie, o napisanie swego autopoortetu poetyckiego. Autor przeprosił, że jednak napisał go prozą. Ale ostatnio – po rozmowie – nadesłał nam wesej poetycką, którą również przedstawiamy.

bicie serca

gdzieś w głębi serca
tli się cząstka osobowości
z plusami i minusami
życia
ładunki emocjonalne
w lustrze przeżyć

syberyjska dal nieskończoności
i miasto moje odległe
skradzione fałszem historii
Orleńta na panteonie prawdy
wieże świątyni
skażone innością
Miasto – wiekami niepodległe
dziś – za kordonem zła
wspominam z miłością
gdzieś w tętnie serca
jak brylant tęsknoty
trwa...

Notkę biograficzną autora zamieściliśmy w CL 2/96.

Helena Żołnierzowa

Wypędzenie ze Wschodu (1939–1945)

we wspomnieniach
Polaków, Niemców i innych
wydziedziczonych

Przez ponad 200 lat moi przodkowie mieszkali w miejscowości Obydów, powiat Kamionka Strumiłowa, w Ziemi Lwowskiej. Mieszkali też w jednym miejscu, bo stary dom zastępowali nowym, budowanym obok, gdyż ogrody ciągnęły się wzdłuż drogi ponad pół kilometra. Ostatni dom budował już mój ojciec w latach 1928–32. Był to dom – jak na tamte czasy – dość duży, murowany, kryty blachą. Przed samą wojną wybudował ojciec też murowane stajnie kryte blachą. Stodoła, chlewnie i spichlerz były stare, ale w dobrym stanie. W roku 1940 w lecie spłonęły od pioruna stodoła, spichlerz i chlewnie. Na początku okupacji niemieckiej ojciec otrzymał pozwolenie na wyrąb budulca we własnym lesie i zbudował dużą stodołę. Szkoda było wydatków i pracy, bo służyła nam tylko rok. W kwietniu 1944 musieliśmy opuścić dom, zostawić cały majątek i wyjechać w nieznane.

Już w lecie 1943 dochodziły wieści o pożarach i mordowaniu Polaków na Wołyniu. Jak grom spadła na moich krewnych wiadomość, że w Stojanowie (na dawnej granicy zaborów rosyjskiego i austriackiego) Ukraińcy spalili w stodole całą rodzinę Karstów. Moja kuzynka była ich synową. Zginęła ona, jej piętnastoletnia siostra, która spędzała tam wakacje, teściowie i sługa.

Łuny pożarów zbliżały się do Kamionki, coraz więcej pożarów i coraz więcej mordów. Wiele rodzin z Wołynia uciekało z tym, co zdołali zabrać. U nas, w pustym domu po babci, zamieszkała rodzina Dobrzańskich. Przerażeni zbliżaniem się frontu i nauczeni doświadczeniem, wyjechali oni wczesną

wiosną 1944 wozem w kierunku Przemyśla, co i nam radzili zrobić.

Na powzięcie ostatecznej decyzji wpłynęły wypadki z pierwszych dni kwietnia 1944. Otóż Ukraińcy mordowali wpiern leśniczych, gajowych, nauczycieli wiejskich, których nie zdążyli wywieźć na Sybir Sowietci. Na wsi pod Radziechowem zamordowano rodzinę Antonickich – matkę, ojczyma i dwóch braci mojej koleżanki z gimnazjum. Zbliżał się front rosyjsko-niemiecki, ale zatrzymał się w Równem, około 50 km od Kamionki. Bardzo nasiliły się nocne napady Ukraińców na polskie wsie. Na początku kwietnia ograbiono i spalono polskie wsie Berbeki i Budki Nieznajowskie. W Berbekach zamordowano kilka osób. W Budkach Ukraińcy rozpoczęli akcję w czasie rezurekcji. Polacy, przygotowani przez proboszcza – byłego kapelana wojskowego – odparli atak. Wtedy wkroczyli do akcji Niemcy, powiadomieni przez Ukraińców, że Polacy mają broń. Wszystkich mieszkańców wsi przetransportowano do Kamionki, część wywieziono do Niemiec, a kobiety z dziećmi zwolniono. W czasie akcji kilka osób zginęło, wieś wraz z kościołem spalono.

Po tych zdarzeniach mieszkańcy mojej wsi chronili się w Kamionce. Moi rodzice, mimo że mieli własny dom w Kamionce, postanowili wyjechać do Łańcuta. Liczyliśmy na jakieś oparcie w rodzinie, gdyż ciocia była tam nauczycielką. Załatwiałam szybko świadectwa zdrowia dla krów i koni u znajomego lekarza weterynarii. W ostatniej chwili zmeliśmy kilka metrów pszenicy. Nie wiem, czy należało podziwiać sprawność organizacyjną Niemców, bo w ciągu dwóch dni podstawiali wagon każdemu na określoną godzinę, a przecież był to już teren przyfrontowy. Zdaje się, że była to raczej cicha pomoc Ukraińcom w oczyszczeniu terenu z Polaków.

Tak więc 13 kwietnia 1944 załadowaliśmy do wagonu dwa konie, dwie krowy, kojec z kurami, karmę dla zwierząt, wory mąki, pobite i nasolone gęsi i kury. W drugiej części wagonu niezbędne meble, kufry z rzeczami i trochę miejsca na słomie dla rodziców, nas czworga dzieci i starszki cioci. Reszta krów, żrebaków, świń i drobiu została na pastwisku, bo dni były już bardzo ciepłe.

Jakże ciężko było opuszczać tę małą ojczyznę – ziemię, dom i groby. Nikt z nas

nie przypuszczał, że na zawsze. O tym dowiedzieliśmy się dopiero w Łańcutcie z prasy podziemnej. Już wcześniej, zaraz po spotkaniu „wielkiej trójki” w Teheranie, pół roku po zwycięstwie Sowietów pod Stalingradem, słuchając podziemnego radia domyślaliśmy się, że aliansi nami handlują.

Tak więc wyjechaliśmy wagonem ciężarowym przez Lwów, Przemyśl do Łańcuta. Rankiem 15 kwietnia kolejarze odłączyli nasz wagon w Łańcutcie, gdzie na bocznym torze stało już kilka wagonów wysiedleńców z Buczacza, Złoczowa i Kołomyi. Na drugim torze ładowano do wagonów rzeczy hrabiego Potockiego. Było tam dużo skrzyń oraz stare bryczki, sanie i różnego rodzaju starocie. Przypatrujący się temu ludzie kpili, że takie próchno wiozą do Europy. Były to jednak jakieś unikatki o dużej wartości kulturowej.

Wyładowaliśmy wszystko z wagonów i zwieźliśmy cały nasz dobytek na przedmieście Łańcuta, gdzie wynajęliśmy pokój i pomieszczenie dla bydła. Gnieździliśmy się w jednym pokoju – rodzice i czworo dzieci w wieku od 15 do 23 lat.

Front stał wciąż w miejscu – za Równem na Wołyniu. Postanowiłam więc z ojcem pojechać jeszcze raz do domu. Matka z młodszym rodzeństwem została w Łańcutcie. Przybyliśmy do Kamionki pod koniec kwietnia, odwiedziliśmy nasz dom w mieście – mieszkali w nim ludzie ze wsi czekający na wagon. Poszliśmy do domu w Obydowie. Był już ograbiony z mebli, znikły też zwierzęta z pastwiska. Tylko w jednym pokoju znaleźliśmy porozwalane książki. Były to pięknie oprawione tomy: *Historia powszechna* Schlossera, *Historia Anglii* Macaulaya i wiele tomów „Biblioteki Warszawskiej” od 1841 roku. Książki te kupił na licytacji mój dziadek – wielki bibliofil. Złożyliśmy to do skrzyni i zabraliśmy się wozem z naszą cicią, która właśnie ładowała się w Kamionce do wagonu i jechała też do Łańcuta.

Wieczorem 30 kwietnia przybyliśmy na dworzec towarowy Kleparów we Lwowie. Za chwilę nad miastem pokazały się ogniste kule – znak, że zaraz będzie bombardowanie. Wybiegliśmy z wagonów i położyliśmy się na łące, która z jednej strony była zastawiona beczkami z benzyną, a z drugiej ograniczona rowem z wodą. Bombardowanie trwało trzy godziny. Odłamki pluśkały

w wodzie, cud, że nikt z nas nie został ranny i że nie wybuchła benzyna. Centrum działania było bliżej Dworca Głównego. Dziś jeszcze widzę, jak moja kuzynka przykryta sobą dwoje małych dzieci, a ja skuliłam ręce i nogi pod siebie, żeby nie zostać kaleką – jeśli zginąć, to od razu. Tak to Sowietci uczcili 1 maja 1944 we Lwowie.

Rano poszliśmy na Dworzec Główny i tu widok był przerażający. Tory porwane, na torach zabite, puchnące konie, pogięte żelastwo. Zebrano już rannych i zabitych, zostały tylko ślady krwi. Nie było nadziei na szybki wyjazd ze Lwowa, a wszyscy spodziewali się następnego nalotu wieczorem. Gdy tak staliśmy zmartwieni przy wagonie, zbliżył się do mnie oficer niemiecki, przywitał się po polsku i przedstawił. Nazywał się Rilling, został wysiedlony z niemieckiej kolonii pod Kamionką do Łodzi w roku 1940, gdy Sowietci byli jeszcze w dobrych stosunkach z Niemcami. Poznał mnie, bo był bratem mojego starszego kolegi z gimnazjum. Prosiłam, aby nam umożliwił wyjazd ze Lwowa. I rzeczywiście, po naprawie torów doczepili nasz wagon do pierwszego transportu wojakowego i wieczorem byliśmy już w Przemysłu. Stąd widzieliśmy łuny nad Lwowem, było to następne bombardowanie.

Zaraz po powrocie z Kamionki do Łańcuta przeprowadziliśmy się do wsi Czarna, odległej 4 kilometry od miasta. Nasz gospodarz w Łańcutcie okradał nas, nawet w dniu wyprowadzki skradł nam dużą walizę z rzeczami. Byliśmy już zresztą ostrzegani przez sąsiadów, że jest to nie tylko złodziej, ale i bandyta.

W Czarnej było duże gminne pastwisko, na którym mogły się paść nasze krowy i konie. Mieszkało tu też kilka rodzin z Obydowa i Kamionki. Nasz gospodarz odstąpił nam pokój, gotowaliśmy we wspólnej kuchni i zżyliśmy się z piątką jego dzieci, bo były w naszym wieku. W tej wsi przeżyliśmy przejście frontu w lipcu 1944.

Jako najstarsza z dzieci, w styczniu 1945 podjęłam pracę w Izbie Rolniczej w Rzeszowie i tu też zastał mnie koniec wojny. Ileż to było radości, że wreszcie koniec cierpień. Dla nas jednak, ludzi ze Wschodu, przysła nadzieja powrotu do domu. Mówiono o krótkiej przerwie i nowej wojnie z Sowietami, ale tego wszyscy się bali.

Naszym zdaniem

UDERZ W STÓŁ...

W „Gazecie Wyborczej” z 24 IV ‘07 niejaki M. Wojciechowski zainteresował się artykułem Rafała Ziemkiewicza, opublikowanym w „Rzeczypospolitej” dzień wcześniej. Napisał Ziemkiewicz:

[...] *Polska mniejszość jest wciąż sekowana, i to zdaniem jej przedstawicieli bardziej niż za czasów Kuczmy – pisze. – Ukraina dzieli się na część prorosyjską i antypolską. W drugiej części nikt nie może zapewnić sobie politycznego poparcia, jeśli nie będzie kłaniał się ukraińskiemu nacjonalizmowi.*

Dalej Ziemkiewicz leci już znanym tekstem o „rzeziach na Wołyniu. dzikim okrucieństwie i przeraźliwej sumiennosci zacierania wszelkich śladów zamordowanych”. A w puencie zarzuca polskiej dyplomacji, że stawia wyłącznie na prezydenta Juszczenkę i pomarańczowych, a nie na prorosyjskiego premiera Janukowycza. [...] – a Wojciechowski uważa, że Ziemkiewicz grubo przesolił.

Czy rzeczywiście? Przecież to co Ziemkiewicz pisze jest prawdą i tylko prawdą. Zarzut, że polska dyplomacja w czasie „pomarańczowej rewolucji” stawiała tylko na Juszczenkę, był po stokroć słuszny – zauważaliśmy to w tamtym czasie. Jest starą zasadą w dyplomacji, że stawia się na dwie strony, bo nigdy nie wiadomo, kto w końcu będzie górą, i zamiast zyskać, można wiele stracić. Patrzyliśmy przecież z dezaprobatą na bezmyślne dusery Kwaśniewskiego czy Wałęsy wobec „pomarańczowych” w Kijowie, a polityków to nie raziło?

Wojciechowski pisze, że [...] *Polska starała się i stara utrzymywać poprawne stosunki z obiema stronami ukraińskiego konfliktu. Ekipa braci Kaczyńskich kontynuuje tu kurs poprzedników, za co należy jej się szacunek. [...] Teraz tak, wtedy nie. Próbuje się więc zamazywać prawdę.*

I dalej Wojciechowski: [...] *Na zachodniej Ukrainie nie ma masowej wrogości do Polaków – są tam nacjonalisci, ale to margines. Większość Ukraińców z zachodniej Ukrainy jest jak najbardziej propolska. Podczas pomarańczowej rewolucji w Kijowie, ale także we Lwowie, słychać było okrzyki „Niech żyje Polska!”. Haseł antypolskich używa za to co rusz partia Janukowycza. Od miesiąca jej zwolennicy krzyczą na kijowskim Majdanie, że „Polska jest psem łańcuchowym USA”. [...]*

A skąd pewność p. Wojciechowskiego, że na „zachodniej Ukrainie” większość Ukraińców jest propolska? Owszem, we Lwowie bywają

uprzejmi, nawet sympatyczni, ale stawiać na nich byśmy nie radzili. Trzeba coś więcej o tym wiedzieć, niż informacje udzielane przez redakcję GW swoim zleceniobiorcom. Bo na koniec wypisuje Wojciechowski otrzymane instrukcje: ... *fatalną politykę II RP wobec mniejszości, przymusowe odbieranie prawosławnych cerkwi Ukraińcom na Wołyniu, niszczenie ukraińskich bibliotek i szkół, dyskryminację Kościoła greckokatolickiego w Galicji czy powojenną akcję „Wisła”*. To brzmi jak urywek z antypolskiego podręcznika. Czy p. W. wie, co próbował i robić nacjonałiści ukraińscy na ziemiach wschodnich II RP w latach międzywojennych? Istnieje dość bogata literatura na ten temat – trudno, by polskie władze i polscy politycy na to nie reagowali. Czy p. W. wie, ile to tych cerkwi zabrano prawosławnym na Wołyniu, ile to tych bibliotek zniszczono? I dlaczego do tego tu czy ówdzie dochodziło? Pisanie o dyskryminacji Cerkwi greckokatolickiej jest czystym nadużyciem, które ma stworzyć określone wrażenie na naszym dzisiejszym, mało zorientowanym społeczeństwie.

Jak pisze Wojciechowski, *Rafał Ziemkiewicz jest cenionym autorem science fiction*. A czym może się wykazać p. Wojciechowski poza wykonywaniem antypolskich zaleceń swego pracodawcy?

* * *

Z powyższym kojarzy się nam krytyka wystawy w Pałacu Sztuki w 2005 r., ilustrująca ukraińskie zbrodnie na Wołyniu, zademonstrowana oczywiście przez „Gazetę Wyborczą”, na co zwrócił uwagę T. Domalewski w „Dzienniku Polskim” 75/05. GW napisała: *Nie chodzi o to, by nie mówić prawdy, lecz o to, by wiedzieć jak ją mówić*. Trudno zrozumieć – prawda jest prawdą i trudno o niej mówić inaczej jak prawdziwie. Istnieje wszak pojęcie *prawdy, całej prawdy i tylko prawdy*. A może GW chodzi o zawołanie prawdy? W imię czego?

* * *

„Gazeta Wyborcza” i jej podobni tłumaczą, że nie należy zadrażniać stosunków polsko-ukraińskich, bo nam zależy na Ukrainie i jej pozycji między nami a Rosją. Oczywiście, ale co najmniej tyle samo powinno zależeć Ukrainie na Polsce, a jednak tamtejsze gazety i politycy (poza pewną grupą) nie mają żadnych zahamowań wobec nas. I my to „chowamy do kieszeni”, bo niby „my powinniśmy być mądrzejsi”. Nie wiadomo, czy daleko na tym zajedziemy, bo ustępstwa z naszej strony idą coraz dalej. Wystarczy czytać gazety (może nieco ograniczając lekturę GW).

Elżbieta Mokrzyńska

Pracując w Izbie Rolniczej dowiedziałam się, że Urząd Osiedleńczy wysiedla Ukraińców, a ich domy przydziela Polakom ze Wschodu. Pojechałam do Jarosławia i tu załatwiłam dla rodziców przydział domu z dużym ogrodem i kawałkiem pola na przedmieściu Jarosławia. Z ładnego trzypokojowego domu wyprowadzała się właśnie rodzina ukraińska i wyjeżdżała do Kołomyi.

Nasz dobytek z Czarnej wozził ojciec ze starszym bratem wozem, matka zaś z młodszym bratem prowadziła bocznymi drogami krowy – 35 km. Przez dwie noce spali pod gołym niebem, jedzenie mieli w koszu, mleko od krow. Siostra w tym czasie już wysprzątała dom. Był to okres pierwszych czereśni, które dojrzewały w ogrodzie. Jakież to było szczęście być znów na swoim po przeszło rocznej tułaczce. Spiesznie zabraliśmy się do pracy w ogrodzie i w polu.

W tym czasie była istna wędrówka ludów. Wszyscy się wzajemnie szukali, szczególnie rodziny ze Wschodu. Rodzice moi, łudząc się wizją powrotu do domu, zostali z moją młodszą siostrą i jej rodziną w Jarosławiu do końca życia. Bracia wyjechali do szkół i na studia.

Ja wyszłam za mąż i przez dwa lata mieszkałam w Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie pracowaliśmy z mężem w starostwie.

Pracując tu, byliśmy świadkami współżycia Polaków z Niemcami jeszcze przed ich wysiedleniem. W dziale geodezji pracowało w tym czasie jeszcze trzech Niemców. Byli bardzo sumienni w pracy, doskonalili fachowcy. Jeden o nazwisku Szopa (taka pisownia) mówił dość dobrze po polsku i z nim często tłumaczyłam potrzebne teksty z archiwum. Niebawem wyszło zarządzenie o wysiedlaniu Niemców i szef geodezji zaproponował panu Szopie pozostanie i pracę, ale ów ostro odmówił.

W tym czasie mieszkaliśmy u Niemca Krugera, byłego właściciela sklepu żelaznego. Niemcy byli wysiedlani wiosną 1947 i mogli ze sobą zabrać tyle, ile udźwigną. Przed naszym zamieszkaniem u Krugerów dom ich i sklep zostały splądrowane przez nowego właściciela sklepu, Polaka z Kielc. Podobną sytuację przeżyliśmy w poprzednim mieszkaniu, u Niemki Scholz. Wyjechałam z mężem na dwa dni do teściowej, a po powrocie stwierdziliśmy, że nasze ubrania i posciel zostały skradzione. Gospodyni Niem-

ka powiedziała, że mieszkający obok nas dwaj Polacy ze Starachowic splądrowali jej mieszkanie i nasz pokój. Mąż interweniował na milicji. Złodzieje zwrócili wszystko, bo nie zdążyli jeszcze sprzedać, i przeprosili. Ciekawe, że grabieży dokonywali przeważnie ludzie z Polski centralnej, a nie przesiedleńcy ze Wschodu. Ci doświadczyli sami krzywd i nieszczęść i nie chcieli rewanżować się tym samym wobec często niewinnych ludzi.

Rodzina Krugerów składała się z pięciu osób – rodziców i trzech córek. Najstarszy syn zginął na froncie wschodnim. Dzień przed wyjazdem spakowali kilka walizek. To wszystko zapakowali na czterokołowy wózek ręczny. Pociąg dla wysiedlanych był podstawiony w Starej Bystrzycy, 2 km od miasta. Cała rodzina była rano w kościele, na ostatniej mszy, którą odprawił niemiecki kapłan. Po śniadaniu pożegnali się z nami i z płaczem ruszyli w drogę. Ponieważ padał deszcz, mąż mój przykrył ich wózek swoim celtowym płaszczem i pomógł zaciągnąć na stację. Żal nam ich było, tak samo całowali drzwi domu, jak my niecałe dwa lata wcześniej, żegnając nasz dom rodzinny.

* * *

Od 1947 roku mieszkamy we Wrocławiu. Mąż mój skończył studia prawnicze jeszcze na Uniwersytecie Lwowskim, ja i nasze dzieci kończyliśmy studia we Wrocławiu, tu wszyscy mieszkają i pracują.

Dzieci są ciekawe tamtych ziem i tamtych czasów. Napisałam więc dla nich wspomnienia z lat mojej młodości wraz z genealogią rodziny.

Pierwszy raz odwiedziłam moje strony i mój dom rodzinny prawie 30 lat po wyjeździe, w roku 1973. Smutne to było spotkanie, te same ulice, te same domy, a obcy ludzie. Budynki szkoły, gimnazjum, domy wydały mi się małe, odległości krótkie, wszystko skupione. No i wszystko stare, zaniedbane – to już nie tylko brak starania, ale i sam upływ czasu. Spotkałam tylko jednego kolegę i jedną koleżankę z gimnazjum – Ukraińców, oboje z rodzin mieszanych, polsko-ukraińskich. Byli bardzo mili i serdecznie mnie przyjęli.

Chociaż w domu rodzinnym był ośrodek zdrowia, to wokół rosły chwasty, nie było żadnego ogrodzenia. Wszędzie obcy ludzie, przesiedleńcy z przemysłowego.

Drugi raz odwiedziłam rodzinne strony w 1995 roku. Zastałam nasz dom odnowiony, ogrodzony, ogrody uprawione. Kupił go nasz znajomy Ukrainiec, który wrócił z Syberii. Przyjął nas z wielką radością. Jego żona, Polka, serdecznie nas ugościła. Tak samo miło przyjęli moją córkę i wnuczkę w ubiegłym roku i zapraszali na przyszłość. My też zostawiliśmy im adres, zaprosiliśmy do nas i czekamy na odwiedziny.

Przeżyłam ciekawy, choć trudny czas. Okres wschodni to zaledwie 23 lata mojego życia, a jednak to czas intensywnych przeżyć, przyjaźni, i dziś na stare lata coraz częściej wracam myślami do tych czasów, ludzi i okolic. I to już tylko wspomnienia, bo robi się wokół nas pusto, ludzie odchodzą, nasz czas się spełnił.

Notka biograficzna Autorki – patrz CL 2/06

LISTY DO REDAKCJI



List z Gdańska od nieżyjącej już p. Alicja Michałowskiej – był to zapewne jeden z jej ostatnich listów. O odejściu Pani Alicji pisaliśmy już w CL.

[...] Ze wzruszeniem przeczytałam notatkę o Wandzie Majchrzyckiej, CL 2/07. Szkoda, że nie dopisałam, co Jej się słusznie należy: „Zawsze była bardzo dzielna, bardzo pracowita i skromna i miała bardzo dobre serce”. Ale to już taka uwaga dla bliżej znajomych.

Przysłany mi numer, jak zwykle, zawiera bardzo interesujące artykuły, wiersze i ciąg dalszy wspomnień drukowanych w poprzednim numerze. Dużo znajduję wiadomości o osobach z międzywojennego okresu, o których nie słyszałam.

Wykrusza się to nasze pokolenie, które jako ostatnie już może dorzucić nieco szczegółów znanych z autopsji.

Właśnie mam przed oczyma Daszawę. Pamiętam, że Gimnazjum im. Królowej Jadwigi we Lwowie właśnie w Daszawie organizowało uczniom „zimowisko”. Uczestniczyły w tym kolejne klasy wraz z kilkoma profesorami – przez jeden miesiąc. Bardzo to sobie ceniono. Oł, taka ciekawostka. [...]

Bardzo serdecznie dziękujemy. Każde wspomnienie i każda ciekawostka są dziś na wagę złota.

Jadwiga Ciechanowska

WSPOMNIENIA NAFTOWCA (2)

Dokończenie z CL 3/07

Mieszkanie nasze, położone przy ul. Nabelaka 55 (w domu profesorów Politechniki Lwowskiej), również było w zasięgu sieci gazu ziemnego. Dlatego w zimie 1940 czy 1941 roku inż. Bourdon dopomógł mi – jako pracownikowi „Ukrgazu” – w uzyskaniu zezwolenia na zainstalowanie odpowiednich palników pod kuchnią z blatem żelaznym, dotychczas opalaną węglem, i w piecu do etażowego centralnego ogrzewania, dotychczas opalany koksem. Co to znaczyło podczas ciężkich zim, może ocenić tylko ten, kto te ciężkie zimy musiał przeżyć. Zezwoleń na instalowanie urządzeń na gaz ziemny udzielał inż. Wiśniewski. Jego prawą ręką był inż. Bourdon. Często kontaktowali się oni z dyrektorem Gazowni Miejskiej inż. Piwońskim, z racji powiązań i współpracy tych dwóch instytucji. Do większych robót zamierzonych i częściowo wykonanych w latach 1940–1941 należało poprowadzenie – jak to określano – 10-diurowego (10”) gazociągu z Daszawy do Kijowa. Była to poważna inwestycja. Tak dalekosiężnego gazociągu w byłej „Gazolinie” dotychczas nie budowano (najdłuższy Daszawa–Lwów wynosił 82 km).

Po okresie reorganizacji, gdy funkcja moja brzmiała „maszynistka” z pensją 300 rubli miesięcznie, zostałam przydzielona do Działu Technicznego. Mój tytuł służbowy zmienił się na „sekretnik” z pensją 350 rubli. W hierarchii służbowej był to trzeci stopień w tabeli pracowników umysłowych, po telefonistce i maszynistce z najniższą pensją 250 rubli. Rosjanka, tow. Baryszewa, pianistka, miała pensję 600 rubli, inż. Wiśniewski – Polak, jako naczelnik Działu Technicznego – 900 rubli, a Rosjanin tow. Gr., naczelnik planowania – 1100 rubli. Gdy przez miesiąc zastępowałam urlopowaną bibliotekarkę Jadwigę Schwarz, dostałam pensję w wysokości wykonywanej zastępczo funkcji, tj. 400 rubli. Zasada wyższej pensji w przypadku zastępowania kogoś z wyższymi poborami była ściśle przestrzegana. Księgowe miały pensję 500 rubli.

Moja rola ograniczała się do prowadzenia ewidencji godzin przepracowanych przez robotników zatrudnionych w oddziale lwowskim, ze ścisłym zarachowaniem godzin nadliczbowych, pierwszych dwóch opłacanych z 50-procentowym dodatkiem, dalszych ze 100-procentowym. Wraz z nauką języka rosyjskiego opanowałam pisanie na rosyjskiej maszynie, w czym nabrałam dużej wprawy i pisałam wszelkie pisma zlecane mi przez moich szefów. Na wszystkich biurkach pojawiły się tzw. „szczoty”, bardzo użyteczne i proste w obsłudze liczydła.

Zjawił się nowy dyrektor, Samojułowicz, wyglądający na Ormianina, za którym po pewnym czasie przyjechała żona, również zatrudniona w „Ukrgazie”. W ciągu zimy przyszedł też specjalista od spraw finansowych, niejaki Krassowski (?), o którym w kilka miesięcy później rozniosła się wieść, że popełnił samobójstwo po dokonaniu jakichś nadużyć. W dziale finansowym pracował przyjęty już po wrześniu Polak Ambroziewicz.

Polacy trzymali się razem. Przyjaźniłam się z Basią Zdanowską, a naszymi najbliższymi kolegami byli technicy: nowo przyjęty Ludwik Lipiński, były student chemii, Julian Leniec, b. słuchacz Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, oraz Jan Perkowski, b. słuchacz Politechniki Lwowskiej. Zostali zatrudnieni przy obliczaniu zużycia gazu ziemnego z tarcz zegarowych, Ludwik L. dopiero od czasów „Ukrgazu”, a pozostali dwaj byli zdaje się uprzednio stypendystami inż. Wieleżyńskiego. Jan Perkowski po wojnie w 1946 r. uzyskał dyplom na Politechnice Śląskiej w Gliwicach z bardzo dobrym postępem. Ciekawym typem był Julek Leniec, który przed otrzymaniem pracy w „Gazolinie” rok przebywał na strychu w Krakowie jako student ASP, pragnąc poświęcić się rzeźbie. Warunki domowe zmusiły go do podjęcia pracy w „Gazolinie”. Po wojnie pojechał do Elbląga i tam założył czy też objął zakład kamieniarski, gdzie mógł dać upust swoim zamiłowaniom artystycznym. Przyjeżdżał czasem do Krakowa z córeczką, której chciał pokazać to zabytkowe miasto.

W dniu święta pracy „Ukrgaz” urządził zabawę z popisami artystycznymi i tańcami. Jak wszystkie tego rodzaju uroczystości i ta była „dobrowolnie przymusowa”. Nie pamiętam, czy tego typu imprezy powtarzały się częściej, czy też po prostu nigdy więcej na nich nie byłam. Nie były to czasy do zabaw.

W lutym 1940 r. zaczęły się masowe wywózki Polaków według pewnego schematu. Wywożono rodziny wojskowych, sędziów, leśników, osoby piastujące ważniejsze funkcje w administracji państwowej. Niektórzy ukrywali się lub starali się zatrzeć swój poprzedni status. Na przykład ojciec Ludwika L., były starosta, zaangażował się jako nocny stróż w „Ukrgazie”. Wywożono również tzw. „bieżeńców”, tj. uciekinierów w 1939 r. z za-

chodniej i centralnej Polski, którym nie udało się wrócić przed ustaleniem nowych granic. Na ten powrót trwały rejestracje w Przemyślu, gdzie ludzie czekali miesiącami w bardzo ciężkich warunkach. Szczęśliwcy, którym udało się dostać przepustki, przekraczali most na Sanie i przechodzili do

ówczesnego Generalgouvernement. Cokolwiek ich tam czekało, wracali do rodzin i do swoich miejsc. Tych wywózek było kilka. Gdy w lutym 1941 r. po kolejnej wywózce i niespokojnej nocy spieszenie szłam do pracy ubrana w najcieplejsze, co miałam, czyli buty i spodnie narciarskie, gdyż był wielki mróz, wszyscy napotkani mieli łyż w oczach; nieomal z każdego domu kogoś wywieźli. Czasem zlitowali się nad kimś, tak jak nad babką mojej koleżanki z AHZ, Marysi Moszor, znanej mi również z harcerstwa. Marysia wraz z siostrą zostały wywiezione, matkę przedtem aresztowano. Ich przestępstwem było to, że ojciec Marysi był zawodowym oficerem wyższej rangi, czterej bracia wyruszyli zaś z wojskiem w roku 1939. Odwiedziłam

tę ponad 90 lat liczącą staruszkę przy ul. Murarskiej 51. Z całego mieszkania zajętego przez Rosjan zostawiono jej jeden mały pokój. Leżała siwiuteńka, bezsilna, na łóżku, a obok piętrzyły się pod sufit materace ze wszystkich łóżek całej rozbitej rodziny, przy czym los żadnego z jej członków nie był znany.

W nocy z 13 na 14 lutego 1941 r. brat mój Artur został aresztowany za konspirację. W więzieniu ukończył 21. rok życia. Rozprawa grupy liczącej 26 osób, w której było 6 młodocianych, odbyła się 12 i 13 czerwca tegoż roku. Obrońcą brata z urzędu był adwokat Rudnicki. Brat otrzymał wyrok śmierci (10 lat więzienia, powiedział adwokat, zapewne widząc rozpacz Ojca), podobnie jak 9 innych osób z tej grupy. 18 czerwca podaliśmy ostatnią paczkę, do której pozwolono włożyć

ciepłe skarpety z włóczki kupionej przeze mnie na początku wojny. Po tym dniu ślad po moim bracie zaginął, jak po wszystkich 26 osobach z tej grupy – o nikim nie udało się uzyskać żadnych wiadomości mimo wytrwałych poszukiwań*.

Na wiosnę 1941 r. odbył się normalny coroczny

w ZSSR pobór mężczyzn do wojska. Tym razem zostali nim objęci również młodzi Polacy z części ziem polskich włączonych do ZSSR. Jednym ze sposobów, nie wiem, czy skutecznym, aby się przed tym uchronić, było picie nafty dla wywołania stanów podgorączkowych. W naszym dziale do poboru stanął Ludwik L., jednak udało mu się uzyskać to, że uznano go za niezdolnego do służby wojskowej.

21 czerwca wieczorem byłam z ojcem na koncercie byłego laureata przedwojennego Konkursu Chopinowskiego, Rosjanina Oborina. Koncert odbywał się na wolnym powietrzu w Parku Stryjskim, gdzie pod muszlą koncertową ustawiono fortepian. Wieczór był przepiękny. Wracaliśmy około 22.00, obser-



Jadwiga Ciechanowska wśród swej polsko-angielsko-francuskiej rodziny, Kraków, lata 1990. Obok Pani Jadwigi (na tle okna) siedzi Vicky, córka jej brata Wiktora (i Angielki), który zginął w Bitwie o Anglię w 1944 r.

wując rozgwieżdżone niebo i komentując grę artysty. Na tego rodzaju imprezach nie czuliśmy się swobodnie, zresztą była to chyba jedyna impreza, na której byliśmy.

Po tym pięknym wieczorze nagle wyrwały nas ze snu odgłosy padających bomb. Wybiegłam na balkon. W poświacie ledwie widniejącego ranka widać było nad Skniłowem, lotniskiem lwowskim, sylwety ciężkich bombowców. Odgłosy padających bomb nie były nam obce – wiedzieliśmy, że znowu jesteśmy w kręgu wojny. Jakiś sowiecki żołnierz, spędzający noc z dziewczyną na trawie nieogrodzonej parceli obok naszego domu, zerwał się błyskawicznie i pobiegł do swej jednostki, podobnie jak inni kwaterujący na naszej i sąsiednich ulicach, którzy w biegu dopinali spodnie i pasy. Było to 22 czerwca 1941 r.

Rano zgłosiłam się do pracy. Jako siostrze Czerwonego Krzyża, mającej przeszkolenie przeciwpożarowe, polecono mi pełnić w „Ukrgazie” dyżury po pracy, na noc mogłam wrócić do domu. Miejscem moich dyżurów był *Czerwonij Kutok* (Czerwony Kącik), coś w rodzaju świetlicy na pierwszym piętrze „Ukrgazu”. Okna z jednej strony wychodziły na ul. Łąckiego, a z drugiej na gmach dawnej policji, zajęty potem przez NKWD, i na podwórze więzienne oddzielone od ulicy wysokim 3-metrowym parkanem. W gmachu tym, od tyłu, gdyż front był od ul. Leona Sapiehy 1, była brama od podwórza prowadząca do wydzielonej części, ogrodzonej od ulicy jeszcze wyższym, może 5-metrowym płotem. Na tę wydzieloną część podwórza zajeżdżały kryte samochody z więźniami, które od tyłu wpuszczano do tego gmachu. Tak było od chwili przejęcia gmachu przez NKWD we wrześniu 1939 r.

We Lwowie stan wojenny spowodowany napaścią hitlerowską utrzymywał się przez tydzień od 22 do 29 czerwca 1941 r. Jak mówiono, Rosjanie przygotowywali kolejną wielką wywózkę ludności ze Lwowa i 3 tysiące ciężarówek czekało na przedmieściach. To ułatwiło Rosjanom natychmiastowy masowy wyjazd ze Lwowa. Otwarte ciężarówki załadowane ludźmi i wszelkiego rodzaju dobrami pędziły ulicą Sapiehy pod oknami „Ukrgazu” tam i z powrotem.

We wtorek rano przyszedłam normalnie do pracy. Nasz dział miał okna wychodzące na

ul. Łąckiego i z trzeciego piętra widać było od rana wojskowych sowieckich kopiących dół w części podwórza otoczonej tym bardzo wysokim ogrodzeniem. Wszyscy byli w rangach oficerów i gdy zauważyli, że patrzymy z góry, zaczęli nam wygrażać. Po południu z okna na ul. Łąckiego widziałam, jak grupa Rosjan z „Ukrgazu” w popłochu usiłowała zająć miejsca w sportowym, odkrytym samochodzie jednego z byłych dyrektorów „Gazoliny”, do którego mogło wsiąść jedynie 4–5 osób, podczas gdy chętnych było dwa razy więcej. Ostatecznie podstawiono jakiś wóz ciężarowy i wszyscy wyjechali.

W środę rano patrząc z okien „Ukrgazu” stwierdziłam, że ów dół wykopany poprzedniego dnia został zasypany. We czwartek po południu, kiedy Lwów bombardowany był przez Niemców lekkimi bombami, na ulicach tu i ówdzie pojawiły się grupki Niemców. Moje dyżury automatycznie się skończyły. Biegąc prawie cały czas pod bombami z ul. Nabelaka dostałam się na ul. Kazimierzowską do Brygidek, więzienia, gdzie ostatnio przebywał mój brat. Bramy więzienia były otwarte, a więzienie opustoszałe, tu i ówdzie leżały porzucone rzeczy. Zeszłam powoli do piwnicy, skąd dolatywał potworny odór. W jednym z korytarzy niedaleko zejścia na wysokości ramienia ujrzałam okrągły otwór średnicy około 1,5 m, przez który widać było złożone jedno na drugich ciała pomordowanych więźniów. Na wierzchu zauważyłam zwłoki młodej dziewczyny, pewnie niedługo przebywającej w więzieniu, bo jaśniały białe skarpetki na nogach i biała bluzka. Wiele zobaczyć się nie dało, gdyż światło było słabe i trudno było oddychać. Wstrząśnięta i przerażona pobiegłam do domu.

Po opustoszałym gmachu NKWD obok „Ukrgazu” krążyli ludzie szukając swoich. W celach leżały pozostawione ciała niešťczęśnych pomordowanych, do których – jak stwierdzono – strzelano przez „juda-sze”. Tam już nie wchodziłam.

W piątek i sobotę wieże kościołów lwowskich, m.in. kościoła Marii Magdaleny znajdującego się niedaleko biura, zostały ostrzelane przez Niemców, którzy obawiali się umieszczonych tam rzekomo sowieckich karabinów maszynowych. Po południu byłam w domu przy ul. Nabelaka. Tylne okna wychodziły na ogrody i znajdowały się naprzeciw Wzgórz Wuleckich, dołem wiodła droga

Wulecka. W pewnej chwili usłyszałam warkot motoru. Podeszłam do okna. Motocykl prowadził żołnierz niemiecki, a drugi z przyczepy ostrzeliwał z karabinu maszynowego domy stojące w górze. Dwie kule wpadły do naszego mieszkania. Jedna, przebiwszy szyby i ściankę działową, wpadła do drugiego pokoju i utkwiała w zegarze, w którym schowana była fotografia Artura, a druga utkwiała w fortepianie. Oboje z młodszym bratem popatrzyliśmy na siebie – chyba mieliśmy szczęście.

W niedzielę wiadomo było, że wojska radzieckie opuściły Lwów. Z ojcem udałam się rano do kościoła Marii Magdaleny. Po drodze na skarpie prowadzącej do kościoła spotkaliśmy jakąś kobietę. Okazało się, że ojciec ją znał. Spotykał ją dostarczając paczki dla mego brata i przy innych okazjach, gdyż jej syn również był więziony. Powiedziałam jej, że widziałam, jak kopali dół na podwórzu więziennym we wtorek rano. Pokiwała głową: – *Paaaani! Całą noc z wtorku na środę z więzienia i podwórza było słychać strzały, a także jęki i prośby „dobijcie nas”*. Wiadome się stało, co zawierał ten przykryty świeżą ziemią dół. Po Lwowie rozniosła się okrutna wieść: *Nasi pomordowani!*

W poniedziałek 30 czerwca zjawiliśmy się w biurze i czekaliśmy, jaki będzie nasz

los. W tym dniu odbył się uroczysty wjazd zmotoryzowanych wojsk hitlerowskich, który oglądaliśmy z okien „Ukrgaz” od ul. Leona Sapiehy. Patrzyliśmy ze zdumieniem, jak w kamienicy obok na balkonie żydowskie rodziny klęcząc (!) kwiatami witały tym razem Niemców. A przecież wiadomo było, jaka była polityka Hitlera. Czy mogli się jeszcze ludzie? Uratowali się ci, którzy zostali wywiezieni przez Sowieców jako bieżący z zachodu (m.in. Drobner z Krakowa, wywieziony początkowo za krąg polarny, a potem odszukany i wezwany do Moskwy, kiedy tworzono Związek Patriotów Polskich), lub ci, których w ramach poboru wzięto do wojska, a zdołali przeżyć.

Dział Techniczny ciągle był na straży, gdyż sieć gazu ziemnego stale musiała być pod kontrolą. W biurze zjawił się Niemiec mający pełnić funkcję dyrektora. Gmach siedziby NKWD zajęło Gestapo. Przez sąsiedztwo staliśmy się świadkami dalszych makabrycznych scen. Gestapowscy ściągali Żydów, którzy zapędzani byli do odkopywania tego zasypanego dołu i wyciągania rozkładających się ciał. Był lipiec, upał. Powietrze przesycone było znanym mi już okropnym odorem. Całe podwórze więzienia zostało zryte i okazało się jednym wielkim grobem. Ciała pomordowanych układano

dokończenie na s. 73

APEL DO CZYTELNIKÓW

W poprzednim numerze (CL 3/07 na s. 2), w artykule o kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie poinformowaliśmy, iż załączamy kartkę z apelem do Władz RP o interwencję u władz ukraińskich w sprawie zwrotu wiernym tej świątyni. Niestety, przez przeoczenie, kartka nie została Czytelnikom dosłana, czynimy to więc obecnie. Podpisane kartki prosimy odsyłać na adres:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW, 31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27.

Apel brzmi następująco:

Popieram w pełni apel rzymskich katolików we Lwowie o zwrot tamtejszego kościoła pw. św. Marii Magdaleny jego prawowitym właścicielom – wspólnocie katolików obrządku łacińskiego. Przywrócenie świątyni wiernym Kościoła rzymskokatolickiego we Lwowie nie przeszkadzałoby – podobnie jak w kościołach Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania i innych miast w Polsce i w całej Europie – wykorzystywaniu jej również do urządzania tam koncertów muzyki organowej, jednak w zgodzie z sakralnym charakterem obiektu.



Z tamtych lat, z tamtych dni (4)

Wspomnienia z Akademii Medycyny Weterynaryjnej w okresie okupacji niemieckiej we Lwowie

Wojna trwa i zmienia się jej oblicze, związane z klęską Niemców pod Stalingradem. Zmienia się także nowy dyrektor T. F. Odchodzi prof. Habersang, a miejsce jego zajmuje nieprzejednany polakożerca – dr Witte, przeniesiony wraz ze swoją sekretarką i jej synkiem – synem nieznanego żołnierza z Opola. Czwórka moich współlokatorów, zawodowych podhalańczyków, coraz częściej wieczorem urzęduje z wojskowymi mapami, zalecając mi bezwzględna ostrożność. Kierowane są pod moim adresem prośby o dostarczenie bandażu. Nasze żony mają teraz pełne ręce roboty przy ich praniu i suszeniu. Zbliżający się front wzmaga terror ukraińskich band UPA. Pałą się całe osiedla polskich osadników na Podolu. Rejony Podhajec, Trembowli i Tłustego należą do najbardziej zagrożonych. Wielu osadników jest mordowanych i palonych w swoich osiedlach, a wielu ucieka do centralnej Generalnej Guberni. Znajdują opiekę w dużych miastach i wsiach. Zaskakuje fakt, że nie chodzi tu tylko o same morderstwa, zwłoki pozbawiane są głównie dowodów osobistych. Także przy przeszukiwaniu mieszkań szuka się tego rodzaju dokumentów. Nasuwa się coraz bardziej podejrzenie, że napastnicy działają wspólnie z armią radziecką. Terrorem chcą zmusić osadników do opuszczenia tych ziem, względnie polskie dowody osobiste będą im w przyszłości potrzebne do stałego zamieszkania na Ziemiach Zachodnich lub do emigracji do Kanady czy USA.

Pomoc dla osadników ze strony Wehrmachtu jest z reguły spóźniona lub niedostateczna. Napastnicy szybko i niespodziewanie napadają i jeszcze szybciej uciekają. W takich warunkach zostaje zorganizowana pomoc przez AK. Do miejsc zagrożonych, na zmianę w czuwaniu i ochronie, wysyłani są z bronią w ręku żołnierze AK w towarzystwie wytrawnych zawodowych oficerów i przeszkolonych specjalistów. Wyprawy ta-

kie określane są jako tzw. dorywcze lub przymusowe urlopy. Chodzi o otrzymanie zaświadczenia z miejsca pracy. Ułatwia ono szybkie dostanie się do zagrożonej miejscowości. Uczestnicy takich akcji niejednokrotnie wracają z okaleczeniami, a bywa że nie wracają z nich wcale.

W związku ze zbliżającym się frontem zmieniają się nastroje wśród Ukraińców. Są wyraźnie przestraszeni. Również coraz bliżej Lwowa docierają bandy UPA. We Lwowie zamordowany zostaje młody profesor histologii z Wydziału Lekarskiego – prof. Jałowy. Natychmiast w rewanżu wyrok śmierci otrzymuje ukraiński profesor interny – Pańczyzyn. U prof. Grzyckiego prawie każdego dnia gromadzą się ukraińscy asystenci. Pewnego dnia, prowadząc zajęcia kliniczne ze studentami w podwórzu Kliniki Położniczej, spostrzegam wśród nich na szarym końcu prof. Grzyckiego. Sądząc, że wymieniony ma do mnie jakąś osobistą ważną sprawę, przeproszam studentów i przerywam ćwiczenia, prosząc prof. Grzyckiego na bok dla otrzymania od niego informacji dotyczącej celu wizyty. Z prawdziwym zdumieniem wyjaśnia, że przy tak szybkim zbliżaniu się frontu sowieci niedługo dotrą do Lwowa. Wtedy albo zostanie zastrzelony jako nacjonalista ukraiński, albo zostanie zwolniony z pracy. Mając żonę i małe dziecko na utrzymaniu, chce nabyć trochę wiadomości praktycznych potrzebnych w terenie. Wtedy tylko będzie mógł po odejściu z uczelni zabezpieczyć byt całej rodziny. Uspokajam go zapewniając, że tak doskonałym specjalistom absolutnie nic nie grozi, a jego udział w prowadzonych moich ćwiczeniach jest zawsze największym zaszczytem. Odchodzi bez przekonania mówiąc: *Nie uśmiecha mi się zupełnie los krakowskich i lwowskich profesorów.*

Zajęcia odbywają się wprawdzie normalnie, ale udział studentów staje się coraz mniejszy. W każdej grupie brakuje po 2–4 studentów. Także sytuacja aprowizacyjna

staje się coraz gorsza, a na czarnym rynku coraz trudniej o podstawowe artykuły spożywcze. W związku z tym coraz częściej jesteśmy proszeni na pyszne rosoly i gulasze, przygotowywane przez doc. Żulińskiego i dr. Cisowskiego (Strońć) z materiałów dostarczanych do badań laboratoryjnych. O ile przy rozpoczęciu okupacji hitlerowskiej takie obiady domowe były tylko raz w tygodniu, to teraz jemy je co drugi dzień. Na stole pojawia się także wieprzowina. Przedtem były jedynie kury. Nikt z nas nie choruje, mimo że wszystko przyrządzane jest na oleju rycynowym z Zakładu Farmakologii lub oleju silnikowym kradzionym z parku Luftwaffe i sprzedawanym na czarnym rynku. Błogosławimy więc strach Niemców, obawiających się o swoje życie nie ze strony działań wojennych, ale podejrzanych produktów spożywczych. To zwiększa także obszar działania w ramach prywatnej praktyki przy usługach na rzecz niemieckich gospodarstw rolnych. Tzw. *Liegenschafty* zwracają się coraz częściej o pomoc do klinik. Biorę chętnie w tym udział, ponieważ honoraria za usługi opierają się zwykle na ziemniakach, kaszy, tłuszczu, wódce i papierosach. Tego typu zapłata jest korzystna przede wszystkim dla niemieckiego intendenta, ponieważ na konto honorarium kradnie on dwukrotnie więcej. Jedna z takich moich umów kończy się jednak tragicznie. O pomoc w sprawie zapaleń wymion u krów prosi dr Łukasz Czarnota, mający opiekę nad oborą wojskową pod Winnikami. Godzę się chętnie i ustalamy datę oraz wysokość honorarium w naturaliach. Mając na uwadze własne przykre doświadczenie sprzed kilku dni, kiedy to policjanci ukraińscy odebrali mi worek ziemniaków wraz z rowerem, kiedy transportowałem je z Sokolnik od gospodarza za weterynaryjną przysługę – zastrzegam się, że bez ochrony wojskowej nie pojedę. W umówionym dniu kol. dr Czarnota nie pojawia się, ale dopiero trzy dni później. W dniu tym mając bardzo dużo zajęć klinicznych i dydaktycznych nie mogłem wyjechać przed południem, ale dopiero po godz. 15. Do tej jednak godziny nie mógł czekać dr Czarnota z konwojem. Rozstaliśmy się po ustaleniu daty kolejnego spotkania. Następnego dnia dotarła wiadomość do Kliniki, że cały konwój w lesie winnickim został ostrzelany bronią maszynową przez nieznaną sprawców. Na miejscu zginęli

dwaj żołnierze Wehrmachtu, dr Czarnota oraz dwa konie.

Zbliżający się front dochodzi do Tarnopola. Zwiększa się zdenerwowanie naszych kolegów Ukraińców. Zwiększa się także ilość zmotoryzowanych transportów wojskowych przejeżdżających w obu kierunkach przez Lwów. Na dworcach kolejowych transporty ciężko rannych żołnierzy czekają godzinami na pomoc lekarską i jazdę do Niemiec. Z relacji polskich dyżurnych ruchu wynika, że bezwzględne pierwszeństwo w przejazdach mają sprzęt wojskowy i żołnierze udający się na wschód. Zwiększa się dezercja. W dworcowych ustępach coraz częściej wraz z bronią pozostawiane jest pełne umundurowanie żołnierzy. Co ciekawsze, są nawet mundury oficerów. Widocznie teren GG oraz bliski front sprzyjają ucieczkom.

Na uczelni pojawia się nowa postać w rektoracie. Jest nią dr Alfred Schott, b. doktorant i asystent prof. Szczudłowskiego. Jest w mundurze Wehrmachtu w stopniu kapitana. W cywilu jest właścicielem dużego młyna w Bawarii. Z nami mówi płynnie po polsku, z Ukraińcami tylko po niemiecku. Zaznacza, że dr Witte niedługo odejdzie, a uczelnia przejęta zostanie przez władze wojskowe. O swojej roli nic nie mówi. Z informacji rektoratu wynika, że teraz każdą swoją decyzję dr Witte konsultuje z kpt. Schottem. Dr Schott uwielbia grę w szachy. Kiedy dowiaduje się, że ta dziedzina nie jest mi obca, prześladowuje mnie swoim partnerstwem. W każdy więc mój nocny dyżur tłuczemy się wzajemnie i niemiłosiernie w ambulatorium chirurgicznym dla małych zwierząt. Moi sublokatorzy proponują wykorzystanie gry w szachy do wyciągania różnych informacji na temat stosunku do Polaków. Jest jednak powściągliwy w swoich rozmowach i przekonany, że w niedługim czasie na froncie wschodnim nastąpią diametralne zmiany. Według niego koszary niemieckie są przepelnione żołnierzami. Nowa tajemnicza broń rzuci na kolana aliantów i bolszewików. Obecność jednak choćby jego osoby wskazuje na to, że przepelnienie koszar posiada swoje pokrycie w tzw. *Landsturm*, tzn. obecnością żołnierzy w starszym wieku i nadających się raczej do działań w gospodarstwie domowym. Wypowiada się także na temat mordów Polaków przez Ukraińców twierdząc, że jest to bolszewicka robota. W tej mierze

oczekuje w najbliższym czasie na większe zaangażowanie się Wehrmachtu. Do prof. Szczudłowskiego odnosi się jak do swego szefa i od czasu do czasu kupuje mu nawet za odpłatnością mięsne konserwy w niemieckim sklepie spożywczym.

Na Podolu zwiększa się liczba płonących wsi polskich osadników. Otrzymuję telegram i telefon o koniecznym natychmiastowym przyjeździe do gromady Płuhów do rodzącej kłaczy. Wiem, co to oznacza. Zawiadamiam prof. Szczudłowskiego i dr. Schotta i wspólnie z technikiem Kruczkowskim (Kruk) jedziemy do tej wsi. Tam dołączamy do innych nie mających nic wspólnego z ciężkim porodem u kłaczy. Przeżywamy tu prawdziwe piekło w bezpośrednim zbrojnym zetknięciu z Ukraińcami i tylko dzięki śpieszącemu z pomocą oddziałowi Wehrmachtu ocalamy życie.

Po wstępnych przesłuchaniach w tej jednostce wojskowej wraz z innymi tam zatrzymanymi zostajemy odtransportowani do Lwowa. Z komendy żandarmerii wojskowej po dokładnym przejrzaniu naszych uczelnianych dowodów osobistych, nadanego do nas telegramu oraz walizki porodowej z pokrąwionym, nigdy nie wyciąganym płaszczem i instrumentami zostajemy zwolnieni. Nie było nas wprawdzie 4 dni, ale istniejący bałagan na uczelni oraz zwiększająca się absencja studentów, a także ukraińskich asystentów przesłaniają naszą nieobecność. Tylko dr Schott – pozbawiony możliwości rozgrywek szachowych – był niepokieszony moją nieobecnością.

Z godziny na godzinę koledzy ukraińscy stają się uprzejmiejsi, przypominając sobie dobrze język polski i teraz tylko nim się z nami posługują. Pewnego dnia kol. Terlecki zaskakuje nas swoją propozycją zorganizowania w jego willi położonej blisko mego miejsca zamieszkania wspólnego zebrania towarzyskiego. Kolacja jest składkowa. Do robienia kanapek zabieramy – za zgodą gospodarza – kilka studentek z wyższych lat. Wieczór płynie w atmosferze politycznego zawieszenia broni i nieobojętnego wpływu alkoholu przy zbyt małej ilości kanapek. Bez żadnych nawet incydentów wypowiedane są różne toasty, np. kiedy z ich strony wymieniają Petlurę, my pijemy zdrowie Andersa itp. Kiedy gospodarz jest już w stanie ogólnej narkozy, wynosimy go

i kładziemy na stole w ogrodzie w celu powrotu do przytomności. Obowiązująca godzina policyjna nakazuje nam czekać do rana. Robi się nudno i sennie. Półmiski puste. Najbardziej narzeka kol. Eljasiewicz twierdząc, że coś na tym składkowym stole nie pasuje. Jest przekonany, że zostaliśmy oszukani. Chodzi i znika. Nagle zjawia się podniecony i z tajemniczą miną prowadzi nas kilku wraz z ukraińskimi przyjaciółmi Terleckiego do piwnicy. Stoi tam stary kredens, a w nim duża ilość najlepszych wędlin oraz wyrobów cukierniczych z tortem na czele. Takiej gratki nie przewidzieliśmy. Wynosimy więc to wszystko na górę, czym pobudzamy do nowego życia wszystkich obecnych. Budzi się także kol. Terlecki. Zaczyna się nowe żarcie. Terlecki nieustannie powtarza: *Zawsze mówiłem, że z Polakami warto żyć. Ile oni tego jedzenia jeszcze przynieśli.* Wynikało z tego, że on sam o tym zgromadzonym jedzeniu w kredensie piwnicznym nic nie wiedział. Umawiamy się więc wszyscy, że gdyby z tego tytułu były jakieś pretensje, to zostaliśmy tymi smakołykami potraktowani przez Terleckiego, który osobiście powynosił je z piwnicy.

Przewidywania nasze były słuszne. Następnego ranka przy bramie zostają wraz z kol. Wandokantym wciągnięty przez mundurową policję niemiecką na portiernię. Są już tam: kol. Eljasiewicz z bratem, Cisowski, kilku Ukraińców i dwie nasze studentki. Relacjonują to samo co zatrzymani. Nic nie ukradliśmy, tylko byliśmy traktowani przez Terleckiego przysmakami, zakupionymi za nasze pieniądze składkowe. Po takim wyjaśnieniu policjanci odchodzą ze słowami skierowanymi do Terleckiego *Ukrainische schwefrierei*, zostawiając nas samych. Rozchodzimy się w milczeniu, zostawiając zupełnie ogłupiałego Terleckiego na portierni. Wyjaśnił później kol. Eljasiewiczowi, że znalezione przez niego smakołyki przygotowane były dla biesiadników z okazji imienin matki dr. Terleckiego. Nam smakowały także.

W kilka dni później nowa sensacja, tym razem przykra. Na ulicach Lwowa rozklejone zostają kolejne obwieszczenia z 50. zakładnikami. Głoszą one, że jeżeli w przeciągu miesiąca dokonane zostaną jakiegokolwiek zamachy na życie Niemców, wszyscy wymienieni zostaną rozstrzelani. Czytając listę, z przerażeniem znajdujemy na niej

Zbigniew Kubas

WOŁOWE, WIEŚ KOŁO BÓBRKI

Do cierniowego wieńca wspomnień

Z tych tragicznych lat, chciałem i ja dorzucić swoje wspomnienia. Miałem wtedy 10 lat. Mieszkaliśmy w Bóbrce k. Lwowa i po 17 września 1939 r. zawalił się mój dziecięcy świat. Cofnięty o rok, jak było to w zwyczaju bolszewików, nadal chodziłem do szkoły i z przerażeniem oglądałem wszystko, co się wokół działo pod patronem naszych „wyzwolicieli”. Za ich poczynaniami kryła się tragedia ludzka, nienawiść i zbrodnia. Tylko zbiegiem szczęśliwych okoliczności udało się naszej – nie całej – rodzinie uniknąć deportacji na Sybir. Ostrzeżeni wcześniej przez dobrych ludzi, w noc wywózki nie nocowaliśmy w domu, a następnego dnia nie byliśmy już w kręgu zainteresowania enkawudzystów. A oni trzymali się regulaminów i w innych terminach nie wywozili, co nie przeszkadzało wywiezieniu, aresztowaniu i zamordowaniu części rodzin, które miały mniej szczęścia od nas.

Życie toczyło się w jakiejś dziwnej konwencji. Jako przykład na te ponure czasy pozostały mi w pamięci fragmenty tych niespotykanych dotąd sytuacji.

Zgodnie z zaleceniem bolszewickich władz, raz w tygodniu odbywały się spotkania mieszkańców ulicy w wyznaczonym domu. Dotyczyło to mieszkańców 10 domów, w większości Żydów i Ukraińców. Nasz dom został wyznaczony na takie spotkanie, sądzę dlatego, że byliśmy jedną z dwóch rodzin polskich mieszkających na tej ulicy. To spotkanie było koszmarem, tak to zapamiętałem. Do czystego, porządnego i gustownie urządzonego domu, mieszkania, przyszła gromada ludzi w większości niedomytych, w brudnych buciorach, a zapach machorki, którą palili (o ile to można nazwać zapachem), prześladowa mnie do tej pory.

Z lat szkolnych tego okresu

niewiele pamiętam, ale taki fragment, który utkwił mi w pamięci, pozostał. Mieliśmy obo-

wiązek nauczania się hymnu sowieckiego na pamięć. Jako pilny i zdyscyplinowany uczeń, uczyłem się tego hymnu na głos w domu. Słyszała to moja siostra Hela, która była starsza ode mnie o siedem lat. Zwy-myślała mnie i powiedziała: *zamiast uczyć się tej chachałackiej piosenki, nauczył byś się lepiej hymnu polskiego*. Hymn polski znałem dobrze, ale poczułem się urażony w swojej ambicji i na złość nauczyłem się na pamięć całego *Ojca zadżumionych* J. Słowackiego, który był wówczas tematem na lekcjach polskiego. Musiałem go oczywiście siostrze wyrecytować i znalazłem uznanie w jej oczach. Wyszło mi, jak to się mówi, na zdrowie, gdyż do tej pory pamiętam długie fragmenty tego wiersza.

Wspomnieć jeszcze muszę o drobnym incydencie z tego okresu, który utkwił mi na całe życie w pamięci. Kino było dla sowie-tów mocnym argumentem propagandowej indoktrynacji. Oprócz pojedynczych filmów – nazwijmy to względnie dobrych – więk-szość była nie do oglądania. Nam, dzieciom i młodzieży, właściwie było obojętne, co grają, byle tylko dostać się na film. W Bóbrce kino mieściło się w budynku przedwojennego „So-koła”, do którego prowadziły wysokie i szerokie schody. Na jakiś film pchała się cała czereda dzieciaków, wśród nich oczywiście ja. Stałem na stopniu w ciżbie, gdy stojący wyżej kolega Żyd, trochę starszy ode mnie, ściągnął beret z mojej głowy, w którą uderzył i tak się odezwał: – *Ty, Rydz-Śmigły, gdzie się pchasz, Wasze czasy już się skończyły i nie masz co tu robić*. Całe życie pamiętam te słowa i dopiero później zdałem sobie sprawę, ile było w nich nienawiści i jak były prorocze. Do kina oczywiście poszedłem.



Pamiętam z tych czasów

dość tragiczno-komiczną sytuację i odnosi się ona właśnie do ludzi, którzy mieszkali w Wołowie i byli związani z naszą rodziną ze względu na interesy, jakie prowadził mój ojciec z właścicielami Wołowego. Wieś Wołowe leży niedaleko Bóbrki, przy drodze do Strzelisk, Świrza, Dunajowa i Przemyślan. Właścicielką majątku w Wołowie była p. Mally-Cieńciałowa. Jej pierwszym mężem był Fryderyk Mally syn Alfreda, właściciel Wołowego. P. Mally-Cieńciałowa była z domu Szkodlarska, a jej siostra była nauczycielką w Bóbrce. Córka p. Mally-Cieńciałowej była żoną p. Kirsznera (Kirschnera), ostatniego starosty w Bóbrce.

Jak powszechnie wiadomo, jednymi z pierwszych ofiar bolszewików byli przede wszystkim właściciela ziemscy, uznani przez reżim sowiecki za największych wrogów ludu pracującego i władzy sowieckiej. Byli w pierwszej kolejności aresztowani, mordowani i wywożeni na Sybir. Taki los miał spotkać właścicieli Wołowego. Nie znam okoliczności, jak dowiedzieli się pp. Cieńciałowie, że grozi im aresztowanie; sądzę że ktoś z mieszkańców Wołowego musiał ich ostrzec, bowiem byli w Wołowie bardzo lubiani. Któregoś dnia września 1939 r. cała rodzina zjawiła się u nas w Bóbrce z tragiczną wiadomością, że mają być aresz-

towani. Przyjęliśmy ich i zorganizowaliśmy maskaradę. P. Mally-Cieńciałowa z córką przebrały się w bardzo prymitywne ubiory chłopek i zajęły się wraz z moją matką gospodarowaniem w obejściu. Mężczyźni ukryli się w zabudowaniach gospodarczych i prawdopodobnie w tym dniu albo następnym wyjechali do Lwowa. Nie trwało długo, gdy na podwórze wszedł sowiecki żołdat z karabinem i zapytał przekręcając nazwisko, czy u nas są Kiszkiery czy coś w tym rodzaju. Matka zorientowana w tragicznej sytuacji i chcąc w jakiś sposób wybrnąć odpowiedziała, że dziś kiszek nie robiliśmy i niestety nie może żołdata ugościć. Nie mogąc się za bardzo dogadać, żołdat odszedł. Rodzice w wielkiej tajemnicy zorganizowali wyjazd pp. Cieńciałów do Lwowa.

Z inżynierem Cieńciałą spotkałem się już po tzw. wyzwoleniu w Brzozowie w 1945 r., gdzie zatrzymaliśmy się podczas ucieczki z Bóbrki przed bandami UPA i zbliżającym się frontem. Oczywiście w swej naiwności i całkowitym braku informacji o sytuacji politycznej sądziliśmy, że po przejściu frontu wrócimy do siebie. Niestety na marzeniach się skończyło. Nigdy już do Bóbrki nie wróciliśmy. Inż. Cieńciała zatrudnił się w nadleśnictwie w Brzozowie, gdyż z zawodu był leśnikiem. Mieszkał u nas, jak długo już nie pamiętam, przeniósł się następnie do Sano-

WYRÓŻNIENIE „CRACOVIA–LEOPOLIS”

Niedawno (2006) nasz kwartalnik spotkało wyróżnienie. Została napisana jego monografia – jako praca magisterska na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego, pod kierunkiem prof. dra Zbigniewa Żmigrodzkiego. Autorką pracy jest p. Katarzyna Wicher, a tytuł brzmi: *Monografia czasopisma „Cracovia–Leopolis” za lata 1995–2005*. Praca liczy 112 stron formatu A4, zawiera 7 rozdziałów + aneks, obejmuje odniesienia do 335 pozycji literatury. Przeanalizowano 48 numerów kwartalnika.

W rozdz. I omówiono powstanie i działalność Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Zawarte tu dane posiadają wartość historyczną, dotyczącą nie tylko

samego Towarzystwa, ale również ludzi, których nazwiska wpisały się w historię Lwowa i Kresów. Rozdział II (*„Cracovia–Leopolis” jako czasopismo kresowe*) zawiera wartościowy przegląd literatury na temat historii Lwowa i Kresów. Rozdział III (*Powstanie kwartalnika*) stanowi zbiór cennych danych o przemianach i aktywności środowiska lwowskiego, które znalazło się poza swymi rodzinnymi stronami, w Polsce w obecnych granicach, a szczególnie w Krakowie. Rozdział IV (*Redakcja i współpracownicy*) zawiera przegląd osób zaangażowanych twórczo w utrwalanie historii Lwowa i Ziemi Lwowskiej. Rozdział V (*Forma wydawnicza*) poświęcony jest sprawom formalno-wydawniczym; ponadto zamieszczono tu przegląd numerów specjalnych („S”) wydawnictwa.

Uczestnicy kursu samitarnego w Bóbrce w 1939 r.
Trzeci od lewej siedzi starosta Kirschner



ka, gdzie również pracował w nadleśnictwie i tam zmarł. Nie znam dalszych losów tej rodziny i do dziś bardzo żałuję, że bardziej nie interesowałem się historiami o takim charakterze. Młody wiek, poświęcenie się innej działalności w tym czasie, w konspiracji (AK, WiN), harcerstwo, a także nauka w gimnazjum tak mnie pochłonięły, że zupełnie nie myślałem kategoriami, że tego typu historie będą tak istotne i frapujące dla dziejów tego okresu i miejsc, w których się one działy.

Bóbrka i jej okolice

to nie tylko wielcy Polacy, jak np. Stanisław Wyspiański, którego pradziadek mieszkał w Bóbrce, ale również współcześni nam znani wojskowi, jak gen. Klemens Rudnicki, którego rodzina była właścicielami Strzałek, wsi niedaleko Bóbrki, za Wołowem. Drugim

– gen. hrabia Bór-Komorowski, który był zięciem właścicieli Świrza, wsi pomiędzy Bóbrką a Przemyślanami, ze wspaniałym do dziś istniejącym zamkiem, a przed wojną ze znanymi na całą okolicę odpustami, w których i ja również kilkakrotnie brałem udział. Ze Świrza pochodzi też p. prof. Alicja Grześkowiak, była marszałek Senatu RP. Generał Scewola-Wieczorkiewicz, był jednym z 24 oficerów WP, którzy ukończyli sławną Ecole Superieure de Guerre w Paryżu. Tuż przed wojną był dowódcą okręgu Przemyśl, a w dniach 15–17 września 1939 r. zatrzymał się z oddziałem w Bóbrce. Niektóre informacje dotyczące wojskowych otrzymałem od mego przyjaciela, mgr. Pawła Kosiny z Sanoka, wielkiego orędownika i miłośnika naszych Kresów, również pochodzącego z Bóbrki. Ojciec Pawła został zamordowany przez bolszewików w Katyniu, a matka zginęła w powstaniu warszawskim.

Wołowe to też miejsce pochówku setek Żydów,

którzy po makabrycznej akcji likwidacji przez Niemców 13 kwietnia 1943 r. getta w Bóbrce, tam byli wywożeni i rozstrzeliwani, na wzgórzu przy cmentarzu.

Na zakończenie wspomnienie o gehennie Żydów w Bóbrce, którzy stanowili 1/3 ludności w tym miasteczku. Jak wszędzie żyliśmy

Bardzo obszerny rozdział VI zawiera przegląd zawartości wydawnictwa, poczynając od profilu, treści i przeglądu działów, łącznie z przeglądem nazwisk i danych osobowych oraz faktów historycznych. W osobnych podrozdziałach omawiane są publikacje społeczno-polityczne, społeczno-kulturalne, religijne oraz teksty literackie (tu uwaga do 75 strony pracy: w numerze 4 „Cracovia–Leopolis” z r. 1998 nie ma wiersza J. Walczewskiego pt. *Zbigniew Herbert (1923–1998)*, jest natomiast artykuł prozą pod tym tytułem, okraszony wierszem Jerzego Masióra). W sumie omówienia treści czasopisma zawarte w rozdziale VI obejmują wiele materiału historycznego, dotyczącego Kresów.

W rozdziale VII znajdujemy wnioski i ogólną ocenę czasopisma. Należy się w pełni zgodzić z opinią, że *artykuły zamieszczane w periodyku składają się na ob-*

raz wielowiekowej polskości tamtej ziemi i jej mieszkańców. Cenny jest także wniosek Redakcji periodyku – zacytowany przez Autorkę – o powołanie Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. W aneksie opisano wystawę fotograficzną *Kresy na nowo odkryte – wspólne dziedzictwo Polski i Ukrainy* (Kraków, XII'05–I'06). Bibliografia wykorzystanego piśmiennictwa obejmuje 301 artykułów i 34 wydawnictwa zwarte. Dane te, wraz z indeksem osobowym, mają też wagę swoistego materiału historycznego.

W sumie praca podsumowująca 11 lat twórczości kwartalnika „Cracovia–Leopolis” jest cennym przeglądem i utwaleniem ulotnego materiału 48 numerów czasopisma. Należy Autorce wyrazić wysokie uznanie. A może praca ta mogłaby się ukazać drukiem?

Jacek Walczewski

w dobrych układach z Żydami w okresie przedwojennym. Pomijając nie zawsze godne zachowanie się Żydów podczas okupacji sowieckiej, po wkroczeniu Niemców stali się oni głównym obiektem nienawiści ze strony Niemców i częściowo Ukraińców. Byli mordowani i prześladowani w sposób nieludzki, a 8 grudnia 1942 r. zorganizowana została pierwsza akcja likwidacji Żydów i zamknięcie ich w getcie. Druga i ostateczna likwidacja getta w Bóbrce miała miejsce 13 kwietnia (wtorek) 1943 r. Mieszkaliśmy niedaleko getta i wszystko się działo na moich oczach. Burzenie i palenie domów, mordowanie w domach i na ulicach, a około godziny 10 Niemcy zaczęły ładować i wywozić Żydów na ciężarówkach do wsi Wołowe, kilka kilometrów od Bóbrki. Doskonale wszystko widziałem, gdyż mieszkaliśmy nad rzeczką w dolinie, skąd widać było miejsce usytuowane na wznieśieniu w Wołowie, gdzie odbywała się ta ponura akcja mordowania.

Liczyłem auta, którymi wywozili nieszczęśliwych, było ich 13, a czternaste wyjechało w kierunku Lwowa. Dopiero po tygodniu odważyłem się pójść na miejsce kaźni, gdzie zastałem usypany olbrzymi kopiec – grób, posypany gęsto białym prochem, prawdopodobnie wapnem. Szybko zrobiłem zdjęcie aparatem RolaiCORD 6/6 i uciekłem z tego ponurego miejsca, obawiając się, ażeby ktoś nie doniósł na gestapo. Zdjęcie nie bardzo ostre, zapewne drżała mi ręka, czemu nie można się dziwić.

Muszę jeszcze wspomnieć o dwóch znanych w Bóbrce lekarzach – to Żydzi dr Blei i dr Klatz, którzy zostali zamordowani 8 XII 1942 r. w mieszkaniu dra Bleia przez gestapowców, a następnego dnia zwłoki wywieziono na tzw. „okopisko” i tam zakopano.

Miało być tylko o Wołowie, ale to, co się działo w Bóbrce, było tak nierozdzielnie związane z Wołowem, że nie sposób było bodaj we fragmentach o tym nie wspomnieć. Sądzę, że warto zbierać i ujawniać nazwiska osób, którzy żyli i pracowali na Kresach Wschodnich Polski, szerzyli oświatę, umacniali polskość i dzięki nim uzyskamy niezakłamaną historię tych polskich ziem. Dlatego uważam, że wspomnienie tych paru nazwisk i miejsc, gdzie żyli, zasługuje na to.

Śródtytuły pochodzą od Redakcji.

Notka biograficzna Autora – patrz CL 2/05.

Henryk Kleinrok

MOJE MIASTECZKO KOZŁÓW (2)

Dokończenie z CL 3/07

W połowie XIX wieku w Kozłowie istniała dwuklasowa szkoła mieszcząca się w małym drewnianym budynku, na miejscu której w latach 70. tegoż wieku wybudowano nową murowaną szkołę ze zwiększonym programem nauczania do czterech lat. Po dalszej rozbudowie, którą ukończono po I wojnie światowej w 1932 r., program nauczania zwiększony został do siedmiu lat, a szkoła przyjęła nazwę: Siedmioklasowa Publiczna Szkoła Powszechna stopnia III im. Mikołaja Kopernika w Kozłowie. W 1939 roku w kozłowskiej szkole naukę pobierało 230 uczniów oraz zatrudnionych było 13 nauczycieli, w tym dwóch katechetów, ks. Józef Pieczonka i ks. Wojciech Adamczuk. Moją wychowawczynią była pani Regina Pohoryles, a dyrektorem szkoły pan Dąbrowski. W szkole poza lekcjami prowadzone były zajęcia w organizacji harcerskiej, którą opiekował się nauczyciel gimnastyki pan Stanisław Faisel. Dla młodzieży pozaszkolnej prowadzone były dodatkowe zajęcia. Dla dziewczyn i młodych mężatek Koło Gospodyń Wiejskich prowadziło specjalistyczne kursy, w tym kroju i szycia, gotowania i wypieków oraz ogólnego przygotowania do poprawnego prowadzenia gospodarstwa domowego. Natomiast starsi chłopcy w organizacji społeczno-wychowawczej „Strzelec” mogli poszerzać swoje umiejętności oraz przejść przygotowania do służby wojskowej. Istniały też koła zainteresowań kulturalno-oświatowych i rozrywkowych, w których entuzjaści realizowali się w zespołach muzycznych i teatralnych. Był też w Kozłowie 30-osobowy zespół orkiestry dętej, działający przy Ochotniczej Straży Pożarnej. Jego występy były wielką atrakcją okazjonalnych parad, festynów, majówek, pogrzebów, odpustów i świąt kościelnych. Orkiestrę prowadził i dyrygował nią jeden z braci Białych. Również wielką atrakcją były występy zespołu teatralnego prowadzonego przez nauczyciela, pana Antonowicza. Członkami tego zespołu przeważnie była

starsza młodzież i młodzi małżonkowie. Występy zespołu teatralnego odbywały się w szkole w dużej sali gimnastycznej i zawsze przy pełnej widowni. W repertuarze zespołu, jak pamiętam, były takie sztuki, jak *Gwałtu, co się dzieje*, *Chata za wsią*, *Gwiazda Syberii* oraz inne.

Przy kościele była ochronka prowadzona przez siostry zakonne. Chodziłem do niej i pamiętam, jak wyklócałem się z siostrą prowadzącą kuchnię o dodatkową porcję pierogów.

Do lat 80. XVIII wieku parafianie wyznania rzymskokatolickiego skupiali się na modlitwach i uroczystościach kościelnych w małym, niskim, drewnianym kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Kościół ten ufundowany został przez arcybiskupa lwowskiego Jana Skarbka w 1733 roku. W głównym ołtarzu kościoła był umieszczony cudowny obraz Pana Jezusa Bolesnego w cierniowej koronie, z widoczną raną w boku. W dole obrazu namalowana jest wstęga z łańskim napisem, który w dowolnym tłumaczeniu mówi: *Pośpiesz, niewdzięczniku. Popatrz na bramę dla ciebie otwartą. Wejdz, grzeszniku, do tej rany, którą tak często rozdierasz*. Obraz ten stał się obiektem licznych pielgrzymek, a szczególnie od momentu zdarzeń, jakie miały miejsce 13 i 16 marca 1765 roku. Mianowicie z widocznej na obrazie rany w boku Chrystusa kropkami wypływała krew. To fenomenalne wydarzenie spowodowało bardzo duże zainteresowanie wiernych oraz władz kościelnych, sam fakt został zaś zbadany i potwierdzony przez komisję działającą z ramienia księdza arcybiskupa Wacława Hieronima Sierakowskiego, metropolity lwowskiego. W wyniku tych cudownych, nadprzyrodzonych zjawisk począł rozwijać się kult Serca Pana Jezusa w obrazie kozłowskiego kościoła. Mały drewniany kościół nie mieścił w swoim wnętrzu wszystkich przybywających tu pielgrzymów, dlatego mając na względzie kłopoty tutejszego księdza proboszcza, abp Sierakowski w 1772 roku kazał zbudować duży murowany kościół. W 1775 r., w czasie konsekracji w dniu święta Matki Boskiej Różańcowej, umieszczono w ołtarzu głównym cudowny obraz Pana Jezusa, a na patronkę wybrana została Matka Boża Różańcowa. Od tego roku w Kozłowie uroczystości odpustowe obchodzone były dwa razy w roku, tj.

w niedzielę najbliższą 14 września – święto Podwyższenia Krzyża Świętego, i podobnie 7 października – święto Matki Boskiej Różańcowej. Odpis dokumentu, komisyjnego potwierdzenia prawdziwości i wiarygodności wydarzeń z 13 i 16 marca 1765 roku, podpisany przez arcybiskupa Sierakowskiego, oprawiony w ramki za szkłem, zawieszony był w zakrystii kościoła. Będąc ministrem w tym kościele wielokrotnie dokument ten oglądałem.

Pod koniec II wojny światowej, w szczególności w okresie wycofywania się wojsk niemieckich, front walk na terenie województwa tarnopolskiego, w tym i w Kozłowie, utrzymywał się od 26 marca do 16 lipca 1944 roku. Spowodowało to ogromne straty wśród ludności cywilnej, większość budynków została celowo zburzona lub spalona, a piękny murowany kościół 2 lipca 1944 roku barbarzyńcy hitlerowscy zaminowali i wysadzili. Ten haniebny czyn nie wynikał z jakichkolwiek działań społeczności kozłowskiej, był jedynie dowodem głupoty i chęci zemsty na miejscowej ludności za niepowodzenia podczas działań wojennych i przegrwaną wojnę.

Po wkroczeniu do Kozłowa wojsk radzieckich zrozpaczony i załamany ksiądz proboszcz Michał Zawadecki wraz z powracającymi do swoich domostw parafianami rozpoczął rozgrzebywanie ruinowiska po wysadzonym kościele. I wówczas w dniu 26 września spod zwalów gruzu wydobyty został cudowny obraz Miłosiernego Serca Pana Jezusa, całkowicie nienaruszony, jedynie mocno zakurzony pyłem wapiennym. Zdawałoby się, że przeniosła i strzegła Go czyjaś ręka! Wkrótce potem

Kościół parafialny pw. MB Różańcowej w Kozłowie i jego wnętrze



w czasie wysiedlenia ludności polskiej z rodzinnych stron Podola cudowny obraz z kozłowskiego kościoła przewieziony został do Kujatowic koło Opolą. Tam przechowywany był przez 20 lat, a następnie w październiku 1964 r. został przekazany do parafialnego kościoła w Cewkowie koło Lubaczowa i umieszczony w głównym ołtarzu. Tak więc po ponad dwudziestoletniej tułaczce cudowny obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa z kościoła w Kozłowie powrócił na teren swojej archidiecezji lwowskiej.

W połowie XIX wieku społeczność Kozłowa postanowiła zebrać odpowiednie fundusze i rozpocząć budowę drugiego kościoła. Jednak mimo już zaawansowanej budowy w 1856 roku z nieznanych przyczyn roboty zostało wstrzymane. Co było tego powodem, do końca nie wiadomo, być może brak środków, a może spory między parafialnymi społecznościami rzymsko- i greckokatolickimi o lokalizację świątyni albo wymuszone przez władze austriackie przekazanie zebranych funduszy na prowadzoną w tym czasie znaczną rozbudowę szkoły. Ta ostatnia przyczyna wydaje się najbardziej prawdopodobna.

Pod koniec XIX wieku nieukończoną budowlę kościoła przekazano parafii greckokatolickiej dla wybudowania murowanej cerkwi – większej niż istniejąca w pobliskim Dmuchańcu cerkiew pw. świętego Dymitra. Budowę ukończono w 1896 roku dzięki wielkim staraniom i zasługom popa kozłowskiej greckokatolickiej wspólnoty ojca Filareta Baczyńskiego. Nowa cerkiew pw. Wniebowstąpienia Pana Jezusa Chrystusa konsekrowana została w 1896 roku.

Wyznawcy judaizmu również mieli w Kozłowie swój dom modlitwy – bardzo ładną dużą synagogę, którą na polecenie okupacyjnych władz hitlerowskich zaadaptowano na budynek mieszkalny.



Siedmioklasowa szkoła powszechna w Kozłowie

Dziś w 540. rocznicę istnienia Kozłowa, według przeprowadzonego spisu ludności, stan na 1 stycznia 2002 roku wynosił 1944 mieszkańców. W ciągu ostatnich 12 lat ilość mieszkańców zmniejszyła się o 180 osób. Jak ubolewa cytowany wcześniej emerytowany nauczyciel historii, już od wielu lat trwa proces wyludniania się Kozłowa. We wspomnianym roku zmarło 25 mieszkańców, a urodziło się 10 dzieci. Taki ujemny wskaźnik przyrostu naturalnego w Kozłowie jest jednym z najgorszych od 250 lat.

OPRACOWANO NA PODSTAWIE:

1. ks. Józef Antczak: *Kronikarskie zapisy z lat cierpień, grozy i ludobójstwa narodu w Małopolsce Wschodniej 1939–46*, Kraków 1996.
2. Josip Demkowycz: *Kozliw koli i siohodni*, Aston, Termopil 2002.
3. ks. Jan Kowal: *Z dziejów Draganówki i Poczapiniec k. Tarnopola 1501–1945*, Bibl. Podolska, Zeszyt 66, Warszawa 2003.
4. ks. Tadeusz Łomnicki: *Historia cudownego obrazu miłosiernego serca pana Jezusa z kościoła parafialnego w Cewkowie*, Katolicki Ośrodek Wydawniczy, Toronto, Ontario, Kanada.
5. Stanisław Piotr Makara: *Cudowny obraz Chrystusa Miłosiernego*.
6. Edward Mróz: *Szkola życia*, Czytelnik, Warszawa 1987.
7. ks. bp Wincenty Urban: *Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939–45*, Muzeum Archidiecezjalne we Wrocławiu.
8. Agencja Geodezyjno-Ziemska II, 143/Z, Notarialne Archiwum w Tarnopolu.
9. *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych ziem słowiańskich*, pod redakcją Filipa Sulimierskiego, Tom IV, str. 562, pkt 4.
10. *Przewodnik po Województwie Tarnopolskiem*, Nakładem Wojew. Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Tarnopolu, 1928.
11. *Księga Adresowa Polski (wraz z W.M. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa 1926/27*. Tow. Reklamy Międzynarodowej, Warszawa 1926.
12. Andrzej Wróbel: *Profesor Zdzisław Kleinrok (1928–2002) – twórca lubelskiej szkoły farmakologii*. Akademia Medyczna w Lublinie. Problemy Nauki, Dydaktyki i Lecznictwa Nr 14. Lublin 2003.
13. Andrzej Szwarz i inni: *100 postaci, które tworzyły historię Polski*. Świat Książki, Warszawa 2002.

Notka biograficzna Autora – patrz CL 1/04

Z dr arch.

Marta Urbańska

rozmawia Janusz M. Paluch



Praktyki studentów architektury Politechniki Krakowskiej na dawnych Kresach cieszą się dużym zainteresowaniem. Pani jest jedną z osób, które poświęcały dużo czasu na ich przygotowanie i realizację. Od kiedy prowadzony jest kresowy program praktyk i jakie przyświecają im cele?

Wszystko zaczęło się w 1996 r. Wtedy to prof. Feliks Kiryk, historyk z Akademii Pedagogicznej, razem z moimi kolegami z Instytutu Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Politechniki Krakowskiej rozpoczęli program badawczy dotyczący Podola. Z oczywistych względów, był to pierwszy program badawczy dotyczący Podola po 1939 r. oraz pierwszy dotyczący Podola zakordonnego. Prof. Kiryk zaprosił wówczas do współpracy profesora Andrzeja Kadłuczkę, dyrektora Instytutu, i kolegów dr. Jacka Czubińskiego i dr. Jolantę Sroczyńską. Ta inicjatywa miała też pomóc w nawiązaniu współpracy z Kamieńcem Podolskim przez

miasto Kraków. Wyjazd, w sześć lat po powstaniu „samostijnej Ukrainy”, koledzy wspominają jako szokujący! Nastroje sowieckie były jeszcze bardzo mocne, a oni zostali rzućni do tzw. Chmielnickiego, czyli do Proskurowa. Można powiedzieć śmiało, iż był to pierwszy polski, instytucjonalny wyjazd do Kamieńca Podolskiego od 1918 czy 1919 roku! Myśmy oglądali ze zdumieniem, z przerażeniem, z podziwem – jak pan wie, wszystkie te dramatyczne uczucia na wschodzie łączą się z sobą bez przerwy – wystawę w miejscowym muzeum historycznym mieszczącym się w polskim ratuszu w Kamieńcu, gdzie zupełnie bez żenady pokazywano interesujące zdjęcia z mszy polowej odprawianej w Kamieńcu, kiedy komendę nad miastem objął w trakcie wyprawy kijowskiej, wówczas jeszcze nie generał, Boruta Spiechowicz. Później, z bolszewickim kontratakiem i przemarszem Budionnego, w 1921 r. Kamieniec na zawsze odpadł od Polski. Po tym wyjeździe koledzy wpadli na pomysł, żeby zorganizować inwentaryzacyjne praktyki studenckie w Kamieńcu.

I ta decyzja zaowocowała dalszymi kontaktami trwającymi do dzisiaj?

Tak, Kamieniec zaczął się cieszyć wśród studentów Wydziału Architektury niesamowitym wzięciem! Jeździła tam też profesor Ewa Gologórska ze swym artystycznym studenckim kołem naukowym „Sztuka” na plenery malarskie. W praktykach i badaniach brali udział też znakomici i liczni koledzy, jak np. p. mgr Maria Wójcikiewicz, dr arch. Marek Lukacz i inni.

Ja miałam przyjemność być po raz pierwszy w Kamieńcu w 1997 r. Udałam się wtedy na rekonesans. To była też moja pierwsza w życiu podróż na Podole. I ja na kolana padłam! Moja rodzina pochodzi z Podola; od XV w. byliśmy na Rusi, a od XVII w. nasza gałąź rodziny siedziała na Podolu. Tak więc dla mnie była to mityczna kraina. W domu słyszałam głównie opowieści o Podolu! I tak jak śpiewa – nomen omen – Kuba Sienkiewicz: „byłem w Rio, byłem w Baio...”, ale niczego takiego jak ta moja pierwsza podróż na Podole nie przeżyłam ani przedtem, ani potem. I żaden kanion, żadna Arizona, żadne fiordy – to nie to! Do tego ta zaprawa emocjonalno-rodzinno-romantyczna... Dodam, że mój dziadek, Wincenty Urbański, zginął zamordowany w Katyniu, a sowiecka Rosja

pochłonęła aż osiem osób z mojej rodziny, którzy w większości zostali aresztowani na Podolu, w Buczaczu! Tam urodził się mój ojciec. Jestem tak władzom Instytutu, jak i moim kolegom bardzo wdzięczna, że mogłam uczestniczyć w tych pracach.

Proszę zatem opowiedzieć o pracy na terenie Kamieńca.

Praktyki w Kamieńcu rozwijały się od samego początku świetnie. Inwentaryzowaliśmy dużą część starego miasta. *Spiritus movens* tego przedsięwzięcia był kolega Jacek Czubiński, obecnie prodziekan Wydziału Architektury. Jacek zresztą jest też rodzinnie związany nie tyle z Podolem, co z głęboką Ukrainą. W apogeum na praktyki jeździły 3–4 grupy trzydziestoosobowe! Dla nich było to objawienie! Przecież jeszcze w latach 90. panowała tam, jak kompletnie zakonserwowana inkluzja w bursztynie, niegdysiejsza atmosfera. Wszystko szokowało, jeszcze nie weszło do obiegu to, co tam uważa się za zachodnią cywilizację. Myśmy zastali tam w zasadzie zgłiszcza. Samo stare miasto celowo zostało zniszczone w latach 50. Stalinowskie czołgi rozjechały przecież rynek, dokładnie tak samo jak kościół w Tarnopolu, który został wysadzony w powietrze także w latach 50. Trwała tam taka przedziwna aura zastraszenia i bezkrytycznej pewności siebie władzy dzielącej społeczeństwo i rządzącej nim. Ale przez to nacjonalizm ukraiński w ogóle nie rozwinął się w sowieckiej części Ukrainy, bo nie miał takiej szansy. W związku z tym stosunki narodowościowe i stosunek do Polaków był tam zupełnie inny. I to jest strasznie paradoksalne, bo widać

gołym okiem do dzisiaj. Jestem dość wyczulona na te kwestie... Jak napisał poeta – *jad wsączyli mi w duszę...*

Może nie jad, a raczej miód podolski...?

Pewnie tak. Pod tymi pokładami sowieckimi odkrywałam przedrozbiorową Polskę! I naprawdę na każdym kroku przechodziły ciarki, dlatego że gdzieś zagrzebane i to przedrewolucyjne – mam na myśli rewolucję z 1917 r. – i przedrozbiorowe kawałki kultury wychodziły na jaw... na targu. Jak się poskrobało, to każda babcia mówiła po polsku. Miałam spotkania zupełnie niesamowite! Poszliśmy na targowicę, nabywamy biały ser. Wszystko w takim strasznym błocie, ale dobrze zorganizowane. No w końcu słynni konstruktywiści w Rosji radzieckiej projektowali bazy, jak choćby Mielnikow, więc porządek musiał być. Kupując ser, rozmawiamy po polsku i nagle słyszę jak z takim pięknym wschodnim zaśpiewem jakiś pan mówi do nas: *Witam państwa, ja też jestem Polak*. Na co ja się odwracam i widzę – twarz klasyczna jak z portretu sarmackiego, tyle że zmęczona życiem, ale nie dziwota, bo gdzie życie było cięższe, jak nie w tych ponurych Sowietach?! Pan się przedstawia: *Jestem Korwin Łastowiecki*. – *O jakie ładne nazwisko* – reaguję natychmiast. – *Poznałam kiedyś pana odległego kuzyna w Krakowie!* – mówię. Na co on z taką szarmancką godnością odpowiada: *Ale ja jestem szlachta sowiecka, bo ja tutaj zostałem...* Takich spotkań miałam mnóstwo... Taksówkarz – poharatana twarz, ale swojska, nazwisko – Rudnicki! Inny człek siedzi taki zapijaczony, umordowany, ale na

nasz widok się podniósł, otrzepał, wsadził głowę pod pompę, dał nam jabłek, które moczyły się w miednicy, a przedstawia się – Jabłoński! Zdumiewające! Zarżnięty, zamordowany świat, który w jakiś sposób tam przetrwał i to poczynając od ludzkich twarzy i typów, a kończąc na bodiakach. Przykład jak ze Stanisławskiego czy Wyczółkowskiego... Wiele razy jeżdżąc po okolicach, zatrzymywa-

Panorama Buczacza



Widok śródmieścia Brzeżan. W głębi gotycki kościół parafialny, przed nim XVIII-wieczna cerkiew

liśmy autobus tylko po to, by biegać po polu i patrzeć na bodiaki na tle nieba! Ze strony romantyczno-sentymentalno-artystycznej było to zupełnie nieprawdopodobne! Te pierwszych kilka lat... W Żwańcu siedział dziad bez nogi, z brodą do pasa, świętym obrazkiem na piersiach – kompletny XVII wiek! A obok jakaś konstruktywistyczna skorupa współczesnej budowli domu kultury, który musiał być w każdej wsi. Obok oczywiście kościół, ormiański – zamknięty, a przy kościele rozgrzebane kości, które ot tak sobie leżą... Dla nas to były wstrząsające chwile. Pejzaże, o których czytało się w Sienkiewiczu, a z drugiej strony to przecież moje strony rodzinne, a do tego zewsząd wystające pamiątki historii Polaków. Dzisiaj te miejsca wyglądają już inaczej. Praktyki w Kamieńcu też już dobiegły końca. Przez te 9 lat koledzy narysowali prawie całe miasto. Kolega Jacek Czubiński pisze też swą pracę na temat historycznych widoków Kamieńca. Jest to temat równie obszerny, jakby pisać na temat historycznych widoków Krakowa. Była to, bądź co bądź, najważniejsza twierdza Rzeczypospolitej.

Trafiłicie państwo także do Brzeżan, wykonując tam solidną pracę. Pani doktor podobno ma przyobiecane honorowe obywatelstwo Brzeżan?

W roku 2002 po raz pierwszy pojawiła się szansa wyjazdu do Brzeżan. Stało się to dzięki konserwatorowi z Kamieńca, Wasylowi Fencurowi, rodem z Brzeżan. Koledzy zwrócili się do mnie z pytaniem, czy bym nie podjęła tego wyzwania. Nie mogłam odmówić z wielu względów. M.in. z racji bliskości Buczacza, ale przede wszystkim dlatego, że Brzeżany przez wieki uchodziły za perłę Podola. Zamek w Brzeżanach nie bez racji nazywany był Wawelem Wschodu. Pojechaliśmy tam z grupą 22 osób. Wspierał mnie starosta roku, pan Głowacki... Tu muszę zrobić małą dygresję na temat pana Głowackiego, na którego przez całą praktykę patrzyłam i nie mogłam sobie uprzytomnić, skąd ja znam tę twarz, kogóż on mi tak przypomina... I wreszcie ostatniej nocy na ognisku zebrałam się na odwagę i mówię: – *Panie Głowacki, współpraca była wspaniała, ale niech mi pan powie, do kogo jest pan tak podobny?* A on mówi: – *Niech sobie pani doktor wyobrazi, że ja mam wetermörder...* No przecież Głowacki! Okazało



się, że jest krewnym Bolesława Prusa! Te praktyki zresztą przyciągały takich ludzi. To nie byli ludzie przypadkowi... byli przez nas uprzedzani, czego się po nich spodziewamy, co ich tam czeka, wręczaliśmy im listę lektur. Szczególnie przy wyjeździe do Brzeżan tematy poruszane nie były ani optymistyczne, ani wesołe. Brzeżany stanowiły typową wśród miasteczek Małopolski Wschodniej mieszankę narodowościową. Po mordach na ludności polskiej i żydowskiej, tych wszystkich przesiedleniach, obecnie ludność Brzeżan to głównie dawni Łemkowie. Miejscowym konserwatorem w Brzeżanach jest pan Bogdan Tichy, sympatyczny – z pochodzenia Łemko spod Żegiestowa. Miejscowy lekarz jest spod Dukli, jeśli się nie mylę. Ludzie wyrwani przez potworne szpony historii, a nasza była chyba najbardziej krwawa, któż inny miał aż dwie wojenne okupacje? Tylko my. Wyrwani, niebywale tęskniący do tych swoich Beskidów. Rzuceni do Brzeżan, kompletnie obcej im

Rynek brzeżański. Po prawej na wzgórzu kościół parafialny, ostatnio odnowiony

miejsowości i obcej kultury, i to podwójnie obcej, bo to kultura polska i pańska. Brzeżany zostały założone jako idealne miasto przez Mikołaja Sieniawskiego w 1555 r. Były miastem idealnym – tak jak Zamość. Może plan nie był aż tak wysublimowany, zresztą nieznanym jest architekt tego planu, ale jest to miasto idealne, założone na osiowym planie, sprzężone z zamkiem. Miasto miało ratusz, farę katolicką, kościół ormiańskokatolicki i cerkiew. I najważniejszym założeniem była oś, która szła z zamku przez rynek, przez ratusz, przez cerkiew św. Trójcy po kościół ormiański. A na przeciwległej osi leżała fara i ufundowany później, z początkiem XVII w., kościół i klasztor bernardynów, w którym jeszcze przed trzema laty było więzienie. Miasto fantastyczne, typowe dla Podola. Położone w jarze. Brzeżany leżą na północnych krańcach Podola, ta część nazywa się Opolem i cechuje się tym, że tam jest stosunkowo dużo lasów, co nie jest dla interioru Podola typowe, bo tam jest więcej stepów. To przecież Słowacki w „Beniowskim” pisał: *Pan Brzeżan w cudnej mieszkał okolicy...* I okolica rzeczywiście jest cudna, z uroczyskami, wywierzykami, ostańcami skalnymi. Coś cudownego! W 2000 r. miasto było jednak jeszcze mocno sowieckie. Zresztą logika jest wszędzie taka



Cmentarz w Brzeżanach



Kopuła kaplicy Sieniawskich przy kościele zamkowym w Brzeżanach, przed podjęciem odnowy

sama. W dawnym dworcu przedwojennego komendanta policji mieszkał teraz komendant KGB itd. Ale już fara katolicka została odzyskana przez parafian. Oni tam sami bardzo aktywnie działali. M.in. pani Anna Hurkowa, która była *spiritus movens* tego odrodzenia. W farze, która pochodzi z początków XVI w., była sala gimnastyczna i strop założony nad pierwszym piętrem. Wszystko jednak zostało przywrócone do porządku, głównie dzięki pomocy Polaków z dzisiejszej Polski. A z tym obywatelstwem honorowym – to oczywiście żart. Powiedział to kiedyś pan Tichy, że jeśli uda się odbudować kaplicę Sieniawskich w Brzeżanach, to zostanie honorowym obywatelem Brzeżan. Swoją drogą, nie odmówiłabym!

Proszę zatem opowiedzieć o zakresie ważnych prac w Brzeżanach.

Zostaliśmy zaproszeni w 2002 r. przez burmistrza Brzeżan i przez konserwatora zabytków, dyrektora Rezerwatu Historyczno-Architektonicznego, który został w Brzeżanach utworzony z uwagi na to, że jest to rzeczywisty unikat. Byliśmy pierwszą grupą polską, która miała możliwość zrobić inwentaryzację po 1939 r., co więcej – to była pierwsza inwentaryzacja zamku w Brzeżanach od 1936 r.! Nie, żeby się chwalić, bo to jest czyste zrządzenie losu, ale byliśmy pierwszymi architektami po słynnym prof. Bagieńskim z Politechniki Lwowskiej, który in-

wentaryzował zamek na prośbę Romana Potockiego, ostatniego dziedzica Brzeżan. Ponieważ warunki były prymitywne, mieliśmy do dyspozycji tylko narzędzia konwencjonalne i aparaty cyfrowe. Ale przy pomocy najzwyklejszej taśmy mierniczej udało nam się w ciągu trzech lat narysować, na tyle na ile to było możliwe, cały zamek w Brzeżanach, czy może raczej to, co z niego zostało: pięć skrzydeł, mur kurtynowy, pozostałości po baszcie, po głównym korpusie, a przede wszystkim kaplicę Sieniawskich, uznawaną za perłę polskiego manieryzmu, zabytek zupełnie bez precedensu, nad którym pracowali lwowscy rzeźbiarze – Henryk Horst i Jan Pfister. Tam znajdowały się sarkofagi Sieniawskich, które na szczęście zostały ewakuowane w czasie I wojny światowej i ostatecznie trafiły do Krakowa i Pieskowej Skaly*. Staraliśmy się narysować poziome rzuty zamku i widoki ścian. Trudno byłoby narysować ten zrujnowany zamek w jednym rzucie, bo jest on pięcioboczny. Był to zamek-fortyfikacja typu holenderskiego z bastionami ziemnymi. To był zamek niebywały, bo był jedyny na Podolu, a kto wie, czy nie jedyny na terytorium Rzeczypospolitej, który był ufundowany nie na skale, tylko – o wielki paradoksie! – na bagnie. Postawiono go na dębowych palach, prawie jak Sankt Petersburg, na wyspie, w rozlewisku tzw. Gniłej Lipy, czyli w mokradle rzeki Złotej Lipy, która przepływa przez Brzeżany, wpadając dalej do Dniestru. Kaplicę zastaliśmy w stanie potwornym. Sporo czasu poświęciliśmy na jej odgruzowanie, na usunięcie fekalii, śmieci. Nie byliśmy w tych pracach osamotnieni, bo działali też harcerze z Grudziądza – zaprzyjaźnionego z Brzeżanami, którzy przyjeżdżają tam regularnie. W latach 2003 i 2004 dołączył do nas dr Maciej Motak, dzięki czemu prace mogły pójść różnie. Zaangażowanie studentów było ogromne. Inwentaryzowaliśmy nie tylko zamek i kaplicę, ale rysowaliśmy też pierzeje rynkowe. Rynek w Brzeżanach został znacznie zniszczony. Najbardziej jednak ucierpiała populacja wyznania mojżeszowego. W północnym kwartale rynku w Brzeżanach znajdowało się getto, zlikwidowane wraz z całą ludnością żydowską w 1943 r. Pozostałe pierzeje nie były tknięte, poza dwoma dużymi sowieckimi budynkami, wzniesionymi w miejscu zniszczonych kamienic. Ale to też są świad-

kowe historii i trzeba było te obiekty narysować. Natomiast dwie pierzeje, główna z cerkwią św. Trójcy** i pierzeja wschodnia, są niebywale piękne, harmonijne i w ogóle, w skali zniszczeń, jakim podległo polskie dziedzictwo historyczne, Brzeżany są w zaskakująco dobrym stanie. Do tej pory stoi budynek „Sokoła” – co prawda pozbawiony dekoracji – ongiś bardzo piękny i wystawny, potem była tam resursa. Stoi kino – nie wiem, czy nadal spełnia swą funkcję, stoi zamek i kościół Bernardynów, klasztor, który – o paradoksie – jest dość dobrze zachowany, bo było w nim więzienie. Ergo grzali, a przynajmniej miał dach. Budynek używany podlega wolniejszej degradacji niż pusty stan, wystawiony na grabieże i destrukcyjne działania warunków naturalnych. Kościół był ozdobiony niebywałymi wręcz polichromiami i przed wojną był jednym z najbogatszych kościołów Bernardynów na ziemiach polskich. Został obdarty ze wszelkiej dekoracji. W kościele mieściła się kiedyś kuchnia więzienna. Miałam okazję obejrzeć wnętrze tego kościoła. Byłam jedyną osobą w mojej rodzinie, która weszła do łagru i bardzo szybko z niego wyszła. Można to określić jako szczęśliwe zrządzenie losu!

Bo też i czasy się przecież zmieniły, a poza tym pani weszła tam z własnej woli...

Rzeczywiście. Wrażenie było wręcz upiorne. Znajdowała się tam kolonia kar na dla niepełnoletnich przestępców. Dyrektor łagiernej szkoły, z godnym największego boha-



Obecny stan gotyckiego sklepienia bocznej nawy w kościele w Podhajcach



tera pracy organicznej uporem, usiłował coś dla tych nieszczęsnych „zeków” zrobić, nazywając ich po prostu dziećmi, co było zupełnie nietypowym objawieniem w tym nieludzkim systemie. Opowiadał, że kiedy nastąpił tam jako dyrektor, zdjął napis, nieporuszony jeszcze od 1939 r. na zasiekach przy klasztorze Bernardynów: *Spasiba Stalinu za szczęśliwa dzieciństwa...* Drugi raz byłam tam w 2004 r. Było już dużo zmian na lepsze. Tenże nieprawdopodobnie pracowity człowiek zapytał mnie kiedyś, jak moim zdaniem można byłoby „okulturnić” kościół. Na co ja, w chwili jakiejś boskiej inspiracji, bo inaczej nie potrafię sobie tego wyobrazić, odpowiedziałam, że najlepiej kościół „okulturnić” się, robiąc w nim na powrót kościół. *Tak pani sądzi?* – zapytał. *Tak uważam* – potwierdziłam. I proszę sobie wyobrazić, że wyprowadzono z kościoła kuchnię, po której obecności pozostały tu i ówdzie dziury, jakieś rury. W 2004 r. już stał ołtarz, były zatłoczone dziury, nie wlatywały tam ptaki, i co więcej, ktoś przyniósł XVIII-wieczną figurę Chrystusa Zwycięzcy w triumfalnej czerwonej szacie, przechowywaną gdzieś pod łóżkiem. To znamienne, bo kiedy reżim zaczął folgować, ludzie przestawali się bać, do kościołów wracały figury, obrazy przechowywane w wielkiej tajemnicy przez polskie rodziny. Oczywiście, jest to teraz kościół grekokato-

licki, ale odbywają się tam msze, w których skazańcy mogą uczestniczyć. Ten wymiar ewidentnego zetknięcia się z historią był dla naszych studentów i dla nas równie istotny, jeśli nie ważniejszy niż same rysunki, które oczywiście wykonaliśmy i przekazaliśmy władzom miasta. To, mam nadzieję, przyczyniło się do tego, że wreszcie uzyskano fundusze z kijowskiego ministerstwa kultury i wreszcie po latach udało się prowizorycznie zabezpieczyć przeciekający i opadający dach kaplicy brzeżańskiej. O ile wiem, prace ma dalej prowadzić, a może już je rozpoczął, pan dr Janusz Smaza z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Dr Janusza Smazę znamy z jego prac na Cmentarzu Orłąt Lwowskich, w kolegiacie w Żółkwi czy ze Świrza. Wypowiadał się także na łamach naszego pisma...

Pracował też nad rewaloryzacją cmentarza żołnierzy polskich na Roszie w Wilnie.

Czy to oznacza, że misja Politechniki Krakowskiej na Kresach została zakończona?

Oczywiście nie! W tym roku kolega Czubiński podjął też inicjatywę turystyczno-krajoznawczą i pojechał do Worochty. Zorganizował obóz w Tatarowie. Studenci dojeżdżali do Worochty inwentaryzując cudowny *kurhaus* i pensjonaty drewniane, z tarasami i logiami, bardzo piękne – można powiedzieć, że budowane w stylu zakopiańskim. Na tych logiach grała orkiestra, na tarasach zaś można było spożyć pewnie kurczę w śmietanie z mizerią, zapić smakowitym kompotem, a potem zatańczyć. Pobyt bardzo się udał i są w planie następne wyjazdy. W tych okolicach są piękne stacje KOP-u. To nie jest już drewniana architektura, ale też doskonały świadek międzywojennej, rodzimej, murewanej architektury. Tak więc ten program nadal istnieje, ale formalnie uległ przekształceniu. Przykładem najnowszej działalności może być tegoroczny obóz naukowy w Ołyce na Wołyniu, gdzie prof. Andrzej Kadłuczka (z dr Sroczyńską), razem z prof. Jerzym Jasińką z Politechniki Wrocławskiej i wraz ze studentami obu Politechnik inwentaryzowali kościół fundacji Radziwiłłów, jeden z najsłynniejszych zabytków na dawnych ziemiach polskich. Kościół barokowy, dwuwieżowy, zupełnie wybebeszony, w fatalnym stanie, ale dzięki środkom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego udało się taką inwentaryzację przeprowadzić – przy użyciu

metod laserowych, fotogrametrycznych, tzw. chmury laserowej etc. razem z ekspertyzą konstrukcyjną. Z tego, co słyszałam, istnieją pewne szanse na odbudowanie tego kościoła. Głównym problemem jest to, kto będzie go użytkował i co w nim będzie.

Wprawdzie o finansach się nie powinno rozmawiać, ale muszą postawić to pytanie. Kto finansował wasze wyjazdy do Brzeżan?

Pragnę podkreślić, że nasze prace były zupełnie bezpłatne. Ba, mało tego, studenci zapewniali sobie sami, zupełnie dobrowolnie, pobyt na Ukrainie. Zwyciężyła fascynacja Podolem! Przez te trzy lata w grupach w Brzeżanach uczestniczyło ponad 70 osób. Tak więc była to z naszej strony – zarówno studentów, jak i opiekunów naukowych praktyk – praca organiczna, *pro publico bono*. Ale przy okazji zobaczyliśmy rzeczy, które już właściwie nie istnieją.

Jestem pełen podziwu dla ogromu pracy, jaką wykonali państwo i studenci podczas tych architektonicznych penetracji Podola. Waszym zadaniem, jak i innych grup, chociażby historyków sztuki działających pod kierunkiem prof. Jana Ostrowskiego, było uchwycenie stanu, jaki zastalście docierając do obiektu. Proszę powiedzieć, co dalej z tymi zabytkami polskiej kultury? Przecież wasza praca nie spowodowała tego, że te zabytki przestały niszczeć?

Wręcz przeciwnie! Głównym problemem jest to, że jak się wyrwie z korzeniami kulturę, to pozostałości po tej kulturze są bezpieczne. Z podobnym, choć nie tak nienawistnym traktowaniem spotkały się zabytki poniemieckie na Dolnym Śląsku czy na Mazurach. Nie chcę porównywać czy dywagować na ten temat, dlaczego tak się stało. Nasze zabytki, czyli dziedzictwo Rzeczypospolitej na Ziemiach Wschodnich, spotkało się z metodycznym, nienawistnym wręcz traktowaniem, i niestety w dużej mierze traktowanie to nie było lepsze za czasów niepodległej Ukrainy niż za sowieckiej władzy. Ostatnie polskie władze doprowadziły do tego, że pieniądze na ratowanie dziedzictwa na Wschodzie się znalazły, a i programów grantowych jest coraz więcej. Wydaje mi się, że współpraca Polski i Ukrainy w tym zakresie dość chwalebnie zaczęła się od remontu dworku Słowackiego w Krzemieńcu. Problem jest nieprawdo-

podobnie polityczny i nieprawdopodobnie delikatny, o czym na każdym kroku przekonuje się pan Andrzej Przewoźnik. A mianowicie, nasze dziedzictwo było bezpieczne, a poza tym było to dziedzictwo wroga. Teraz polityka władz ukraińskich nieco się zmieniła. Zaczęło się zawłaszczanie i przyznawanie do tych zabytków – jako dziedzictwa ukraińskiego tamtych czasów. Powoli przebija się świadomość, że to nie jest wrogie, obce, pańskie, imperialistyczne, polskie. Wahadło odchyliło się w drugą stronę. Dla potrzeb turystów drukuje się przecież mnóstwo folderów o zabytkach, które o Polsce nie wspominają ani słowem. Ale to nas przecież nie powinno dziwić, bo w oficjalnie propagowanej historii ukraińskiej słowo o Rzeczypospolitej Polskiej pada, kiedy mowa jest o rozbiorach albo o jakiejś niewytłumaczalnej zupełnie imperialistycznej interwencji i nastaniu w 1918 r. Polski. Na 21 lat. Myślę, że w chwili obecnej to, jak nasi sąsiedzi do tego podchodzą, ma wtórne znaczenie. Najważniejsze, że są oznaki współpracy, a rząd w Kijowie zaczął dopatrywać się w tych obiektach elementu narodowego i zaczyna je dotować. Dowodem są środki kapiące na Brzeżany. Oczywiście te środki w klasyczny sposób poszły najpierw na telefony, samochody, etaty, ale coś jednak zostało. I może uda się tę kaplicę uchronić od kompletnej ruiny. Ona już nigdy do dawnej świetności nie wróci. Najważniejsze, by ratować od dalszej dewastacji inne zabytki. Natomiast – to stwierdzenie budzi grozę – większość



Insypcja na płycie nagrobnej na cmentarzu w Brzeżanach

zabytków jest poza jakąkolwiek interwencją. Na przykład kościoły w Podhajcach, Jazłowcu czy setki innych.

Co zatem w takiej sytuacji powinno się robić? Jak wybierać, który obiekt powinien być pierwszy do ratowania? Skąd brać na to środki?

Niestety, wszystkiego na pewno uratować się nie da. Chociażby z tego względu, że – abstrahując od przyczyn politycznych i niechęci do jakiegoś obcego dziedzictwa – na Ukrainie od paru lat trwa boom ekonomiczny. I to taki, o jakim się nam tu w Polsce nie śni. Widać gołym okiem, jak nieprawdopodobnie napiera tam postęp. To podobne do tego, co my przeżywaliśmy kilkanaście lat temu, tyle że tam jest to znacznie gwałtowniejsze. Tamtejsze władze konserwatorskie są często bezradne. Tak więc wiele ważnych zabytków już bezpowrotnie przepadło. Z drugiej strony, spójrzmy choćby na pałac w Podhorcach, o którym mówi się, że istnieją plany, by była to oficjalna siedziba prezydenta państwa...

Zatem, czy chociaż zdążymy zinwentaryzować wszystkie zabytki kultury polskiej na Kresach?

Na to pytanie panu nie odpowiem. Obawiam się też, że nie nikt na nie odpowie, bo historyczne Kresy to przecież obszar kilkukrotnie większy od dzisiejszej Polski. Ziemie dawnej Małopolski Wschodniej były sercem kraju. Patrząc na mapę Rzeczypospolitej, ilość zabytków najwyższej kategorii, ich koncentracja tamże była ogromna! Każde miasto miało świątynie czterech albo i pię-

ciu wyznań, bo oprócz kościołów i klasztorów łacińskich i grekokatolickich, świątyń ormiańskich i cerkwi prawosławnych, były fi-nezyjne synagogi drewniane czy murowane, jak w Żółkwi, Buczaczu czy Podhajcach, z których każda była świetnym zabytkiem architektonicznym. One powstawały najczęściej w czasie największej świetności Polski, w okresie renesansu i baroku. W każdej prawie

wsi był dwór czy dworek. Sama zabudowa miejska była fantastyczna. W miastach były ratusze. No a do tego zamki i pałace! To było zagłębienie architektury! Przez wpływy orientalne i ormiańskie architektura ziem wschodnich była o wiele bardziej dekoracyjna, do tego trzeba dorzucić element możliwości fundatorów. Musimy sobie zdać sprawę z faktu, że były to najzamożniejsze ziemie Rzeczypospolitej. Tam wszystko było zabytkowe. Wydaje mi się, że kompleksowej inwentaryzacji zrobić się nie da. Jest jeszcze jeden aspekt w ratowaniu dziedzictwa. To aspekt ukrajinizacji. Jeżeli bowiem odbudowuje się zabytki, to często w formach, które są obecnie poprawne politycznie. Dobra się np. banie cerkiewne na ratuszu w Buczaczu, zmieniając zupełnie jego formę rokokową na taką... nie wiadomo jaką. Wystrój rzeźbiarski dłuta Ignacego Pinzla, *Dwanaście prac Herkulesa* z miejscowego piaskowca, przepadł jednak chyba bezpowrotnie (zresztą uszkodzony był już w czasie I wojny światowej). Może jest w tym jakaś wyższa geopolityczna racja, której ja w zaciętrzewieniu nie dostrzegam... Tak więc, jedno, co naprawdę można zrobić, to pojechać i jeszcze zobaczyć to, co zostało, bo następne pokolenia najwyżej na fotografiach te zabytki w ruinie będą mogły oglądać. Przykładem takich szybkich i niesamowitych przemian jest przecież Lwów. To świadczy, że Ukraina jest bogatym państwem, co widać szczególnie na wschodzie. Te gigantyczne pieniądze z bogactw naturalnych jednak płyną. Pytanie, co się z nimi dzieje... Kto je otrzymuje, jaki do nich procent trafia do budżetu państwa, jaki do budżetów innych, niekoniecznie publicznych, organizacji. Trzeba jasno sobie powiedzieć, że dla nich polskie dziedzictwo kulturowe jest zapewne ostatnią rzeczą, na którą owi plutokraci chcieliby wydawać pieniądze.

Proszę opowiedzieć o niebezpieczeństwach, jakie niesie ze sobą praca tego charakteru? Czy choroba, w którą pani popadła, była związana z pracą inwentaryzacyjno-badawczą?

Przyznam się szczerze – i tak, i nie. Raczej się to wiązało z pewnym niebezpieczeństwem, jakie czai się na nas w podróżach egzotycznych. *I smieszno, i straszno*, że niebezpieczna była wyprawa do Brzeżan w XXI wieku, do ongiś perły renesansu Rze-



Maciej Dęboróg-Bylczyński

KSIEGARZE I CZYTELNI LWOWSKIE

W LATACH AUTONOMII GALICYJSKIEJ

Historyczny obszar Ziemi Halickiej budzi od lat zrozumiałe zainteresowanie badaczy wielu dyscyplin naukowych. I tak: historycy poddają analizie choćby funkcjonowanie (zrazu austriackich, później zdominowanych przez Polaków) instytucji państwowych ck monarchii w prowincji galicyjskiej – urzędu Namiestnictwa czy Sejmu Krajowego; inni badacze poświęcają wiele uwagi niepodważalnemu wkładowi ówczesnych polskich instytucji naukowych w kształtowanie się i rozwój II Rzeczypospolitej. Niepoślednie miejsce w kulturalno-oświatowej i naukowej przestrzeni owej największej prowincji wielonarodowego państwa Habsburgów pełniły instytucje związane z książką. To dzięki niezwykle rozwiniętemu rynkowi wydawniczemu posiadamy dziś trwałe materiały badawcze tego niepodważalnego, ponadczasowego dziedzictwa.

czypospolitej, miejsca wyposażonego we wszelkie niegdyś komforty. Przecież tam, w pobliżu Brzeżan, do wojny mieściła się rezydencja Romana Potockiego w cudownym pałacyku Raj, rzeczywiście miejscowości *nomen est omen* rajskiej. Ale to było i minęło. A moja choroba miała związek z nienajlepszymi delikatnie rzecz ujmując warunkami higienicznymi w tamtejszym hotelu. Ale to się może zdarzyć wszędzie, niedawno miało miejsce na Wyspach Bahama czy w śląskich szpitalach. Ja bym tego nie demonizowała, aczkolwiek nie było to przyjemne doznanie. Jestem prawdziwie wdzięczna zespołowi lekarzy i pielęgniarek z Kliniki Chorób Zakaźnych Collegium Medicum UJ, który doprowadził mnie do stanu używalności. Przestrzegalabym wszystkich jadących w tamte strony przed jednym. Mnie zgubił pośpiech, który nas cechuje. Po raz pierwszy i ostatni w trakcie moich podróży na wschód zapomniałam grałki. Zrobiłam straszny błąd. Umyłam parę razy

Nadanie autonomii Galicji, wraz z innymi krajami monarchii, niemal natychmiast spowodowało rozkwit tendencji do tworzenia instytucji życia naukowego i oświatowego, a wraz z nimi – bibliotek i czytelni. Okres przedautonomiczny wszak celował w hamowaniu działalności narodowych stowarzyszeń i instytucji, łącznie z dwoma galicyjskimi uniwersytetami. Autonomii galicyjskiej poświęca się obecnie tyle miejsca w pracach badawczych, gdyż nadanie jej wyzwoliło niesłychaną energię społeczną i stworzyło szerokie możliwości działania dla polskich środowisk naukowych i artystycznych. Swobody polityczne przesądzały również o nieskrępowanej działalności towarzystw oraz wypożyczalni i czytelni. A przecież wraz z nominacją hr. Kazimierza Badeniego na austriackiego prezydenta ministrów (premiera) z początkiem października 1895 r. rozpoczął się szczyt wpływów Polaków w Austrii, okres tzw. „rządów polskich”. Badeni wszak, poza prezydenturą gabinetu, obejmował tekę ministra spraw wewnętrznych, Biliński otrzymał ważny resort skarbu, Gołu-

dokończenie na s. 38

zęby wodą z kranu. Proszę tego nie robić. Oczywiście należy myć zęby, ale woda powinna być przegotowana...

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

- * Spowodowała to obawa o bezpieczeństwo. W latach po II wojnie sarkofagi umieszczono w Pieskowej Skale (przyp. red.).
- ** Cerkiew św. Trójcy przy rynku brzeżańskim powstała przy końcu XVIII w. Wcześniej stały tam obiekty kupieckie (przyp. red.).

Fotografie wykonali: A. Bonenberg, M. Adamczyk, M. Palej

MARTA URBAŃSKA – ur. w Krakowie. Studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej (dyplom 1989) oraz w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych Staedelschule we Frankfurcie n. Menem (1989–90). Praca zawodowa w Berlinie 1990–95. Po doktoracie na WA PK w 2000 adiunkt w Instytucie Historii Architektury i Konserwacji Zabytków PK. Tłumaczy z niemieckiego i angielskiego, zajmuje się publicystyką i krytyką architektoniczną.

WIERSZE

Tadeusz Knaus

Serce Polski biło we Lwowie

(Gorzkie żale starego lwowiaka)

Porzuciliśmy nasze domy
porzuciliśmy nasze ogrody
porzuciliśmy groby naszych przodków
rzuciliśmy ziemię skąd nasz ród

alternatywą były dalekie stępy
Kazachstanu

dalekie śniegi Kołymy
niezmierzone przestrzenie nieludzkiej ziemi

nasi sojusznicy powiedzieli
trwaliście przy nas wiernie
walczyliśmy ramię przy ramieniu
wspólnie przelewaliśmy krew

ale teraz
cóż nam po was

wasza krew
ma mniejszą wartość niż dolar
funt
a nawet marka

teraz
dajcie nam święty spokój
nie mówcie nam o Katyniu
nie mówcie nam o Wołyniu

teraz oddajemy was pod opiekę
wielkiego wyzwoliciela
on was wyzwoli
z waszej ziemi
z dorobku waszych pokoleń
z waszych marzeń
waszych nadziei

przesunie wasz kraj
jak starą szafę
z miejsca na miejsce
zaknebluje wam usta

kłamstwo nazwie prawdą
prawdę kłamstwem
wypędzi was z waszych odwiecznych
siedzib

.....
i tak się stało
przy zgodnym milczeniu świata
serce polski zamilkło

2005

TADEUSZ KNAUS, ur.1926 we Lwowie. Tam nauka w VIII Gimnazjum. Po expatriacji w Zakopanem, tam matura. Studia na Wydziale Konserwacji ASP w Krakowie, artysta malarz i konserwator sztuki. Kilka wystaw indywidualnych, udział w wielu zbiorowych. Liczne realizacje konserwatorskie, zwłaszcza polichromii. Mieszka w Krakowie.

Alicja Bober Michałowska

Zakochani we Lwowie

Zakochani we Lwowie,
Lecz wygnani,
Tęsknią za nim, chcą wrócić
Do przystani.
Zostawili tam dusze,
Śnią o lwach pod ratuszem,
Zadumani.

Zakochani we Lwowie,
Lecz wyklęci,
Noszą w sercach swe miasto
I w pamięci...
Za swojskimi Wałami,
za pięknymi parkami
Im się tęskni.

Zakochani we Lwowie,
Lecz rozproszeni,
Nie znajdują swego miejsca
Na tej ziemi.
I o Zamku Wysokim
Myślą wciąż z łzawym okiem,
Wysiedleni.

Franciszek Jaworski

Dookoła stawu Pełczyńskiego

*Niniejsze opowiadanie zaczerpnięliśmy z książki
pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910)*

Jeszcze do połowy dziewiętnastego wieku był staw Pełczyński punktem środkowym krajobrazu, któremu Lwów współczesny nadawał miano wszystkich możliwych na świecie Arkadii i Szwajcarii, który poeci opiewali wierszem miarowym i do którego publiczność wszystkich stanów i zawodów tłumnie pielgrzymowała.

Bo wszystko było na tym miejscu, otoczonym wzgórzami cytadeli i stryjskiego gościńca: staw z tajemniczą głębią, częsty przytułek samobójców, śmiejące się i zielone wzgórza, stare aleje drzewne i słońca bezmiar ogromny.

Ale zacznijmy od Cytadeli:

Dwie wieże od Pełczyńskiego stawu, jedna od ulicy Kopernika, jedna od Gołębiej: a więc cztery krągławe wieże otaczają czerwony budynek, przełamany w środku w dwa skrzydła, wybrzuszony od wnętrza w kolisty bastion, a od strony placu musztry w strzelnicę dla wiwatowych armatek. Wszystkie obrazy i śpiewy militarystyki skupiły się na tej przestrzeni: nocne hasła posterunków, wisząca bielizna na kratkach okiennych, łomot komiśnych obcasów na mustrze i śpiewanie trąby na wszystkie sposoby i hasła, na czynności dzienne, od pobudki porannej aż do wieczornego snu. A gdy chwilami ucichnie gwar i klątwa koszarowa, to gdzieś z głębin dobywa się tęskniąca za uciechami miasta piosnka:

*Chciałem ja raz iść do miasta
A pan kapral „antreten”* i basta
Strozaki prac, deki kłopać
Ale nie do miasta... i td.*

Choć bowiem cytadela w samym jest środku miasta położona, chociaż to miasto wciska się w jej korpus jak daleko tylko można, tak od ulicy Cytadelnej, Gołębiej, Supińskiego, jak od Łazarza i Wronowskiej – to przecież świat tam inny, zupełnie inne życie, inne nawet powietrze i inna przyroda.

Dziwna jednak rzecz, jak ta biedna, tłumiona na każdym kroku, a taka przecież bujna i piękna przyroda lwowska, wyłoczyć potrafi nawet... koszary. Te pod sznur wyciągnięte mury, place musztry, to pole popisu dla donośności organów głosowych feldfebla, jakżeby smutnie, ponuro i kazałmatowo wyglądało, gdyby nie bujna zieleń, figlarne wybryki terenu i cały krajobraz cytadeli. Wszystko się tam zbiegło z dobrym uśmiechem dla doli żołnierskiej. Od ulicy Łazarza spocznie oko na płaskiej, przestronnej równinie, ujętej w ramy drzewne; od Cytadelnej park się roztoczy cienisty z zielonym kobiercem trawnika, spadnie od ulicy Mochnackiego stok zasiany ogrodem warzywnym, górskie złudzenie da strona od Pełczyńskiego stawu, terasy się miejskie spiętrzą od ulicy Lelewela.

Więc nie dziw, że zanim tutaj koszary stanęły, była ta okolica Arkadią lwowską, letnią siedzibą patrycjatu miejskiego. Sam król Jan Kazimierz tu mieszkał i wczasu zażywał po chorobie i klęskach swego panowania. Od ulicy Gołębiej zwłaszcza piętrzyło się od dworków i domków letnich. Tutaj „nad samym trzech pagórków pyskiem” mieszkał burmistrz, poeta i chluba Lwowa starego, Bartłomiej Zimorowicz, tu swe sielanki śpiewał on „Rozymund ucieszny”, zwabiony położeniem rozkosznym i widokiem miłym tego miejsca, skąd oko:

*Patrząc na miasto i wydatne szczyty,
Wyszogrodu**, widząc stąd to góry nadęte
To równiny wysmukłe, to wąwozy kręte,
To pola w szachownicę kształtnie osadzone,
Coraz bierze uciechy stąd nieuprzykrzone.*

Właściwie Cytadela dzisiejsza obejmuje trzy wzgórza, zwane dawniej górą Kaleczą, Pełczyńską, Szemberka, później Wronowską. Każda z tych gór miała swoich właścicieli, a wszystkie razem okryte były *sadowiną, ogrodami, winnicą, gajem i pola-*



mi. W ich gronie Szemberkowa góra, ta od ulicy Kopernika, najwyższą była i jakimś niezwykłym się kształtem odznaczała. Na niej to znalazł w pierwszej połowie ubiegłego stulecia*** archeolog Żegota Pauli kamienie jakiegoś dziwny, niby resztki pogańskich ołtarzy i posąg starożytny, podobny nieco do tych, które lud „babami” nazywa. W późniejszych wiekach Szemberkowa góra odegrała pewną rolę w czasie oblężenia Lwowa przez Turków w r. 1672, skąd baterie tureckie grzmiały na miasto, a tradycja lwowska dziś jeszcze to miejsce chętnie „szańcami tureckimi” nazywa.

Na stokach góry, od strony ulicy Wronowskiej, powstał przy końcu osiemnastego wieku dworek szlachecki, zbudowany w stylu francuskim, który wraz z pięknym ogrodem, wysadzonym lipami, a spadającym aż ku stawowi Pełczyńskiemu, z „rondlem” zbudowanym na samym szczycie góry, stanowił piękną i uroczą posiadłość. Posiadłość ta była około r. 1767 własnością cześnikowej nowogrodzkiej Marianny Wilczyńskiej, tudzież Ignacego Kockiego. Od nich nabył ją Ignacy Czosnowski za sumę 5800 złp., a od tego ostatniego Piotr Zabielski. W r. 1791 całą tę realność kupił Stanisław Wronowski, radca lwowskiego *forum nobilium*, człowiek niezwykle wykształcony, zbieracz książek i starożytności, amator sztuk pięknych, chodząca kronika Lwowa. Lubił się zacy mecenas zabawić także – więc dworek jego rozbrzmiewał ustawicznie gwarem i wesołością, skupiając dokoła siebie co najinteligentniejszego Lwów wtedy posiadał.

Tutaj też w latach 1804–1807 znalazł przytułek i teatr polski, po wyjeździe Bogusławskiego i ustąpieniu Kamińskiego do Kamieńca Podolskiego. Były to najsmutniejsze czasy dla sceny polskiej, właśnie wten-

czas, gdy niemiecki teatr rozpieął się butnie w gmachu przerobionym z franciszkańskiego kościoła. Wtedy Wronowski zorganizował trupę amatorów, która przez trzy lata dawała w jego pałacyku bezpłatne przedstawienia polskie, cieszące się ogromną frekwencją lwowskiej publiki. Pałacyk ten istniał aż do roku 1895 i zburzony został tak doszczętnie, że nawet fotografia jego nigdzie się nie dochowała.

Sam Wronowski umarł w roku 1829, licząc sto sześć lat życia. Posiadłość jego wraz z całą górą Wronowskich otrzymała w posagu, jeszcze w roku 1806, córka Józefa, zamężna za Fabianem hr. Humieckim, która po śmierci męża poszła pod kuratelę. Wtedy to przyszedł w posiadanie góry Wronowskich zarząd wojskowy. Był mianowicie czas, kiedy rząd austriacki zamierzał opasać Lwów fortyfikacją, która się rozpocząć miała właśnie od góry Kaleczej i Wronowskich. Na nalegania ówczesnego gubernatora Galicji arcyksięcia Ferdynanda d'Este, zdecydowała się hr. Humiecka odstąpić część swoich posiadłości, a mianowicie górę Wronowskich, która stanowiła wówczas miejsce wycieczek dla Lwowian, skarbowi wojskowemu. Ponieważ jednak nie była samowolną i miała innych jeszcze krewnych, przeto skarb wojskowy po długich ceregielach prawnych złożył podobno jakąś kwotę do depozytu sądowego. Kwota ta przepadła gdzieś bez śladu. W roku 1856 rząd budować począł cytadelę, a sprawa własności góry Wronowskich ucichła. Jedyne po śmierci hr. Humieckiej w roku 1872 w jej nekrologach znalazła się wzmianka, że ona to była hojną ofiarodawczynią gruntu pod cytadelę. A byłby się jej ten grunt bardzo przydał, gdyż przed śmiercią znalazła się w niedostatku i wносиła do tronu proś-

bę o wynagrodzenie za odebraną na cele wojskowe własność.

W ostatnich latach rozpoczęli jej potomkowie kroki celem rewindykacji gruntu. W ten sposób lwowska cytadela znalazła się po raz pierwszy od swego założenia w ogniu wojennym. Czy papierowe bomby pozwów i replik zrobiły jaki wyłom w czerwonych jej murach, nie wiadomo. Natomiast coraz częściej i natarczywiej podnosi się ze wszystkich stron żądanie, ażeby miasto, bodaj do spółki z jakimś konsorcjum finansistów, wykupiło od skarbu wojskowego cytadelę na rzecz rozszerzenia miasta.

Od Cytadeli spadzista a zielona ściana i wśród drzew starych, stroma prowadzi drożyna wprost nad resztki stawu Pełczyńskiego. Nazwa stara, zagadkowego pochodzenia, powtarza się w aktach archiwalnych od bardzo dawnych czasów, zawsze jednak w łączności z mąką, kamieniami i młyńskimi potokami. Jedyna ta bowiem większa woda we Lwowie obracała kilka kół młyńskich, które zawsze dostarczały sporo przyczyn do procesów i gwałtów, a tym samym do wielkiej pisaniny sądowej. Zresztą cała okolica stawu Pełczyńskiego przedstawiała aż do początku ubiegłego stulecia dziką i romantyczną pustkę, którą otaczał wieniec poszarpanych a nagich wzgórz. Z pośrodku nich dymiły bagniste opary. Starzy Lwowianie woleli raczej nakładać drogi, aniżeli przejeżdżać lub przechodzić koło strasznych urwisk. Nawet pastuszek, z kóz płochych trzodą, obawiał się pięć po tych górach, będących tylko siedliskiem gadów, os i szerszeni.

Dopiero około roku 1820 generał kawalerii austriackiej Jan Karol hr. Henequin von Fresnel und Curel zwrócił uwagę na to romantyczne ustronie, być może dlatego że i sam, mimo siwych włosów, był bardzo romantycznego usposobienia. Już bowiem w czasie gdy miał za sobą wiele przebytych kampanii, a na piersiach całe rzędy orderów, zdarzyło mu się, że się zakochał na śmierć w całkiem młodej panience Zuzannie Strzembosównie, a co ciekawsze, zyskał u niej również dośmiertną wzajemność. Niezwykły ten figiel amora wywołał w całym Lwowie olbrzymią sensację, tak że był czas, kiedy o niczym innym nie mówiono, jak tylko o starym piecu, w którym... diabeł pali.

Zakochany jednak generał i rozgorzała panienska nie robili sobie wiele z głosów ludzkich i miłość była między nimi gorąca, sielankowa i pasterska, pełna wzdychań, czułych biletów, pełna kwiatów i woni. Dopiero stary Strzembosz, wpadłszy przypadkowo na trop, zrobił piekielną awanturę, z akompaniamentem szlochów panieńskich, wyznań, że generał jest czymś takim, bez czego żyć nie można i w braku czego najlepiej się zamknąć w klasztorze. Stary Strzembosz także wołał klasztor niż zięcia w generalskich szlifach, toteż po długich ceregielach panna poszła do klasztoru.

Ale klauzura klasztorna nie była znowu tak silną twierdzą, ażeby jej waleczny generał siłą lub podstępem nie potrafił zdobyć. Nie wiadomo, jakiego środka zastosował kochanek w mundurze, najprawdopodobniej jednak osiołka ze złotem, o którym już Filip Macedoński powiedział, że przelezie każdy mur forteczny. Ostatecznie stanęło na tem, że rozmównica klasztorna okazała się również dobrym miejscem do schadzek miłosnych, jak każde inne ustronie.

I wówczas kiedy stary Strzembosz żył w błogiej nadziei, że na pannę przyjdzie wreszcie refleksja i opamiętanie, ta ostatnia romansowała z za kraty klasztornej w najlepsze, nie myśląc o żadnej refleksji. Co gorsza opamiętanie i refleksja przyszły na samego Strzembosza, który sobie wreszcie pomyślał, że nie warto walczyć z wiatrakami miłości i dał żądane przyzwolenie na ślub.

W tym wypadku Strzembosz całkiem dobrze i mądrze sobie postąpił, bo niedobra para żyła bardzo szczęśliwie aż do śmierci generała, po której młoda wdowa znalazła sobie znacznie młodszego amanta w osobie hr. Ożarowskiego.

Dzisiaj stary Fresnel i Strzembosówna śpią snem spokojnym i wiecznym w mauzoleum rodzinnym na wysokim a pięknym wzgórzu w Łąckiem koło Złoczowa, a zieleń ich otacza, drzewa szumią wokół i zboża i sinawe dymy chat wiejskich pną się ku kaplicy wspomnieniem miłosnych szeptów i zaklęć.

We Lwowie została po Fresnelu pamiątka w formie pływalni wojskowej nad stawem Pełczyńskim i zasługa uporządkowania całej okolicy. Napis na niskim pękatym budynku z kolumnadą strzeżoną przez dwa lwy świadczy, że lwowski garnizon wdzięcz-

nym sercem wspominał inicjatora pływalni. Mniej natomiast wdzięcznie myślał o tym wszystkim lwowski magistrat w piętnaście lat potem, gdy przyszło wielkim kosztem czyścić staw, a potem jeszcze kosztowniejszy prowadzić z wojskowską proces o odszkodowanie.

Ostatecznie proces zakończył się polubownie, tak że wojskowość przyznała magistratowi, wykonywane po dziś dzień, prawo prezenty piętnastu uczniów na bezpłatną naukę pływania, a mieszkańcy Lwowa zyskali piękne miejsce spacerowe, które przez długie lata cieszyło się wielką frekwencją publiczności i względami lwowskich poetów.

Jeden z nich, Rafał Wężyk, napisał nawet cały poemat pod tytułem *Spacer do Pływalni we Lwowie i obroty wojskowe tamże*. W poemacie tym idąc za tłumem ludu, któremu dzień zabawy słodzi sześć dni trudu zaszedł poeta aż na dzisiejszą ulicę Pełczyńską, która wówczas była drogą wygodną, a nią jak w zawody spieszą w powozach panie prześlicznej urody i młodzież hoża na rumakach dzielnych wyściga się na przemian wśród śpiewów weselnych.

Lecz przede wszystkim zachwyił się poeta wojskową pływalnią i z całym entuzjazmem opisał; jak tam ktoś się z góry rzucał niby z wieży, jak inny na pasach uczył się sztuki pływania, a tamten znowu po schodach pierwszy wstręt do wody przezwyciężał, inny znowu wód kryształą szybkim męci biegiem itd.

Na wzgórzach z drugiej strony stawu, na których wojskowość położyła most kamienny z napisem: *Militare aedificavit – civitati donavit* (wojsko zbudowało – miastu darowało) odbywały się popisy wojskowe przy tłumnym udziale żadnej wrażeń gawiedzi. Sądząc z poetycznego opisu wspomnianego już Rafała Wężyka, manewry te wojskowe były prawdziwym festynem dla lwowskiej publiki. Dla dystygowanych gości wystawiano namiot, skąd najlepiej widać było obroty i gdzie przede wszystkim zasiadały panie. Nasz poeta już z góry obliżywał się na samą myśl, jak to jego wzrok „się pokrzepi” wyborem wszelakich piękności. Jakoż rzeczywistość przeszła oczekiwania, bo

... Czemuż tak nagle zadumnonym stajesz?
Widzę, że tyłu wdziękom hold w sercu oddajesz.
Lecz daremnie mnie pytasz, jak się która zowie

*Sam stopień każdej wdzięków jej imię ci powie.
Szczęśliwym bowiem zbiegiem Lwów widzi
w tym czasie,
Iż dobroć, grzeczność, zacność wdziękiem
odznacza się.*

Biedne kobiety, którym tacy strasni poci śpiewali, biedna piękność i biedna sama poezja była, takich mając adeptów!

Całe szczęście pięknych niewiast współczesnych, że niewielką zwracały uwagę na wieszczów głos lutni rozstrojony, ale zabawiały się flirtem, oczkowaniem i podobną zabawą, za którą je jednak nowe pokaranie spotkało, w formie następującego wylewu uczuć poetycznych:

*Te radosne uśmiechy, poufne szeptania,
Spoczynek osób starszych i dzieci płasania,
Wszystko bardzo przyjemną mieszanię robi,
I niewymownym wdziękiem okolicę zdobi.*

W popisach brały udział wszystkie gatunki broni, nawet artyleria z armatami. Była to prawdziwie dziecinna zabawa wojenna, jakiś, dziś już dla nas niezrozumiały, festyn wojskowy, z obrotami wojskowymi i musztrą, z atakami, zasadzkami, hukiem moździerzy itp.

Patrząc na to wszystko, przypomniał sobie nasz poeta coś zgoła innego, a przypomnienie jego takie ciche, nieśmiałe, w powijaki słów owinięte. Oto na widok żołnierskich obrotów snuć począł dziejów ojczy-słych wspomnienie i czynów wielkich, które jak diament zakopany w skale skruszą cieniów siedlisko i wróć się chwale. Dziejów Lwowa i Polski przypomniał sobie poeta rycerskie epizody. Wszak to samo miejsce „tureckim szańcem” się nazywa...

I umilkł, bo mu zaraz czarna zmora cenzury policyjnej przed oczy stanęła – ale za to jedno wspomnienie niech mu będzie wybaczony cały poemat, bo nie tylko czytelnicy, ale biedny był i poeta w tych czasach, około roku 1825.

Wzgórza pełczyńskie były jednak nie tylko widownią sprawności armii austriackiej w przystosowaniu do festynów. Także i staw bywał polem popisu, ale już dla marynarki. Ponieważ we Lwowie nie ma żadnego morza, a bitwa morska w r. 1843 odbyć się musiała – przeto nic dziwnego, że musiano do

tego celu użyć stawu Pełczyńskiego. Jakoż ku wielkiej uciesze arcyksięcia gubernatora Ferdynanda d'Este, całej generalicji i całego Lwowa odbywały się w dniu 30 sierpnia tegoż roku ewolucje wodne wychowanków pływalni, a na zakończenie oddziały... piechoty i kawalerii przedstawiły bitwę morską w ten sposób, że w pełnym rynsztunku rzuciły się w wodę.

Ot i nieśmiertelny gust lwowskiej publiki, cieszącej się widokiem zmokłych żołnierzy – albo walką potworów, która w parę lat potem odbyła się na tym samym stawie Pełczyńskim.

Jaskrawy efekt, krzycząca barwa, przesada i upodobanie choćby w najtrywialniejszej niezwykłości było zawsze zasadniczą cechą gustu lwowian. Lwów ubierał się jaskrawo i stwarzał jaskrawe objawy życia gwoli własnej rozrywce i uciesze. Kobiety jego już za czasów Sobieskiego nosiły się z francuska, a przedtem wyglądały w złocie, srebrze, perłach i barwnych kamykach jak bizantyjskie madonny. Uroczystości religijne pełne były ogłuszającego huku armat, radość zaślepiała się w błyszczącym ogniu sztucznym. Panegiryczna przesada dochodziła we Lwowie do trywialności, wesele czy pogrzeb przeciągały się w tygodnie. W stroju, w życiu, w upodobaniach, do pewnego stopnia nawet w sztuce, przewija się ten rys przesady coraz wyraźniej – im było bliżej ku końcowi Rzeczypospolitej. To, co ongi miało swoje uzasadnienie w bogactwie, w sąsiedztwie ze Wschodem, a wreszcie w pewnej wybujałości przy zetknięciu się różnych ras i narodów – to później stawało się szychem i blichtrzem. Lwów łaknął płaskiej rozrywki, a z zasadzonych na jego bruku obcych pomysłów czy mody prawie zawsze wyrastała karykatura.

Suknie kobiet lwowskich z czasów Dyrektoriatu przewyższały swoje pierwowzory francuskie o całą skalę wyzywającą nieprzyzwoitości, młodzieniec modny przechodził od razu w karykaturę, zwaną w różnych czasach to fanfaronem, to gogiem, a wreszcie ananasem. Niemiecka dobroduszność przeflanconawana po zaborze z Wiednia do

Lwowa wyrosła w knajpiarstwo i bohemę, biedermajerowski sentyment utopił się w potokach piwa, a katarynka i czeska arfa do snu mu grały.

Na bruku lwowskim sparodiowało się wiele godziwych rozrywek. Wycieczka za miasto złączyła się z pojęciem żółkiewskiego drąga i solennym „mordobiciem”, sielanka zapachła kwarglami, ruch uliczny ogniskował się koło zaczepiania kobiet. Nigdzie indziej tylko we Lwowie reduta stała się miejscem publicznym, festyn błagą, akcja publiczna karotażem, loteria liczbowa dźwignią ekonomiczną, dobroczynność naciąganiem.

Typowym przykładem tego gustu był festyn urządzony w roku 1845 na dochód powodzian na stawie Pełczyńskim, na którym miała być przedstawiona walka potworów morskich [...]. Potwory te, puszczane na staw, miały być naturalnie tekturowe. Wieloryby, krokodyle, latające smoki, nawet sympatyczna meluzyna, czyli syrena, o której rozczulające historie przynosiła współczesna literatura popularna, wszystko to w dniu 14 września 1845 miało dać sobie *rendez vous* na wodach stawu Pełczyńskiego ku uciesze lwowian, a na wspomnienie dotkniętych powodzią.

Afisz pięknie litografowany, dziś wielką rzadkością stanowiący, zrobił swoje. W oznaczonym dniu dosłownie całe miasto wyruszyło nad staw Pełczyński. Przedsiębiorcy urządzali trybuny, bo zwyczajem lwowskim jeden chciał widzieć lepiej i dokładniej aniżeli drugi, tłok panował olbrzymi, wymyślanie na



Plan okolic Cytadeli we Lwowie wg Przewodnika F. Barańskiego, ok. 1902. Po stronie pld. Cytadeli widoczny staw Pełczyński, niewidoczny po prawej staw Panieński

nieporządek było ogólne, a najbardziej psio-czyli na owczy pęd publiczności ci, którzy tłoczyli się najbardziej, pragnąc koniecznie stanąć w pierwszych szeregach.

Jeżeli mamy wierzyć współczesnym relacjom, walka tekturowych potworów na stawie Pełczyńskim wywarła na umysłach mieszkańców Lwowa niezatarte wrażenie. Krażące po stawie sztuczne wieloryby, krokodyle, syreny, budziły głośne okrzyki zachwytu i grozy, tak samo jak łodzie napełnione murzynami, Turkami, majtkami, a na zakończenie miała się odbyć rzecz dotychczas we Lwowie niewidziana, to jest połów wieloryba!

Podobno jednak nie wszystko się odbyło ściśle według zapowiadanego programu. Publiczność, jak na każdym zresztą festynie, wziętą została na kawał, ale że lwowianin lubi być czasem naciągnięty, więc skończyło się wszystko na lekkim wymyślaniu, po czym ta sama publiczność chodziła jeszcze wielokrotnie oglądać ulubione sztuki magiczne i eskamoterskie, łamańce cyrkowe, szybko-biegaczy i linoskoczków, tak samo jak dziś chodzi na kinematograf, do koloseum, a czasem także do teatru na operetkę.

Zresztą był staw Pełczyński od dawna *rendez vous* wszystkich prawie lwowskich samobójców i niedzielnych rybołówców. Co do samobójców, to do dni naszych nie upłyne żaden rok, żeby czasami nawet kilku zniechęconych życiem nie poszukało w nurtach jego śmierci, a z nią razem ukojenia. Rybołowcy natomiast, którzy dawnymi latami obsiadali wszystkie brzegi stawu z wędkami, znikli jakoś w ostatnich czasach zupełnie.

Dziś staw Pełczyński do połowy osuszony, na jego wzgórzach komin dymi fabryczny i wille się wznoszą jedna po drugiej****.

PRZYPISY REDAKCJI

* *antreten* = wstąpić [do szeregu] (niem.)

** Wysokiego Zamku.

*** tzn. XIX wieku.

**** Staw Pełczyński został ostatecznie zlikwidowany przed rokiem 1930, kiedy to wprowadzono nową linię tramwajową przez ulice Na Bajkach, Nabelaka, Lenartowicza, Pełczyńską – do pl. Prusa (przez pl. Prusa przebiegała linia od czasu Wystawy Krajowej 1894 r.). Ulicę Pełczyńską wyprostowano, a śladem po stawie jest wygięcie muru Cytadeli, przy którym biegła dawna ulica, omijająca staw.

KSIĘGARZE I CZYTELNIĘ LWOWSKIE

dokończenie ze s. 29

chowski tekę ministra spraw zagranicznych, zaś Edward Rittner (profesor Uniwersytetu Lwowskiego) został mianowany ministrem do spraw Galicji. Najważniejsze teki ministerialne (cztery resorty) znalazły się więc na kilka lat w rękach Polaków. Austriacka wiara w Badeniego była swego rodzaju dogmatem. Porównywano go do króla Jana III Sobieskiego i nazywano zbawcą Austrii...

Lwów należał do miast o największym srodowisku księgarskim w Galicji i na ziemiach polskich. Pierwszą wypożyczalnię książek otworzył w mieście Karol Wild (1764–1834) już na początku XIX wieku. W latach autonomii galicyjskiej prowadził tę wypożyczalnię syn Wilda – również Karol. W 1861 r. wydał drukiem *Katalog książek do wypożyczania*, liczący sobie 258 stron! 1870 rok przyniósł kolejne wydanie wspomnianego katalogu (trzecie) o objętości 310 stron. Około roku 1853 zorganizował też Wild (jako pierwszą w Galicji) wypożyczalnię nut. Jeszcze przed rokiem 1861 wydał katalog nut na fortepian, który obejmował 11 000 utworów. Osobne katalogi nut przeznaczonych na inne instrumenty przygotował już po 1861 roku. Świetnie zorganizowana wypożyczalnia książek i czasopism liczyła sobie ponad 20 tys. dzieł (30 tys. tomów w 1879 r.), a wypożyczalnia nut – ponad 30 tys. utworów muzycznych. Pieczę nad zbiorami pełnili bibliotekarze. Księgozbiór był oprowiany, pozycje o małej liczbie stron współoprawiano w *klocki* introligatorskie. Wszystkie zbiory nutowe posiadały specjalne okładki i tekturowe teczki. Zasługi Wilda na polu udostępniania książek i nut były nieocenione. Wychował też całą plejadę księgarzy i wydawców, których nazwiska zapisały się w historii książki polskiej. W 1881 roku wypożyczalnię Wilda upadły nie wytrzymując nasilającej się od połowy lat 60. konkurencji w branży bibliotecznnej. Doskonale utrzymane wypożyczalnię przejęła firma Gubrynowicza, która zawiadywała nimi do roku 1914, aby je następnie odsprzedać hr. Stanisławowi Badeniemu. Ten znany działacz społeczno-polityczny uczynił z tych i innych zbiorów druków zwartych, nut i czasopism dar fundacyjny dla Biblioteki Ossolińskich.

Inną znaną rodziną o tradycjach księgarskich i bibliofilskich byli antykwariusze Iglowie. Senior rodu – Berł Igel otrzymał zezwolenie na prowadzenie wypożyczalni już w 1849 roku. Od 1863 r. prowadził natomiast lwowską wypożyczalnię i czytelnię książek Igel junior – Zelman.

Jednak jednym z najbardziej znanych składów nut była wypożyczalnia Henryka Kallenbacha (założona w 1846 r.), który do niespodziewanego bankructwa (1858) zdążył wydać trzy szczegółowe katalogi (książek polskich, francuskich i niemieckich).

Prawdziwie rodowe tradycje księgarskie, wydawnicze i edytorskie zapoczątkował Herman Altenberg. Jego firma odegrała niezwykle istotną rolę w upowszechnianiu cennej i pięknie wydanej książki polskiej.

Nowością w owych czasach było stosowanie kolportażu wydawnictw przy pomocy wędrujących po kraju kolporterów. Miara powodzenia wypożyczalni abonamentowych w drugiej połowie XIX wieku mogą być dzieje innej wielkiej wypożyczalni lwowskiej – Adama Bartoszewicza. W ciągu pięciu lat działalności wypożyczalni (1872–1877) liczba udostępnianych woluminów osiągnęła 10 000 egz. Po śmierci męża księgarnią i wypożyczalnią kierowała wdowa po Bartoszewiczu, by w 1889 r. odsprzedać firmę Bernardowi Połonieckiemu, który prowadził ją z powodzeniem do 1939 r. Wypożyczalnia zmieniła nazwę (na: *Czytelnia Naukowa we Lwowie*) i ulokowana została przy ulicy Tańskiej 1. Czytelnicy mieli do dyspozycji świetnie, tematycznie ułożone dysponendy wypożyczalni i aż trzy różne formy abonamentu: beletrystyczny, naukowy i mieszany. Szczególną dbałość wykazywał Połoniecki przy organizowaniu czytelni muzycznej. Prócz licznych i cennych zbiorów nutowych, prasy literacko-artystycznej, dysponowała ona znacznym, podzielonym na działy zbiorem książek. Obejmował on: historię muzyki, dydaktykę muzyki, harmonię i kompozycję. Jeszcze przed 1910 rokiem wydał kompletny katalog wypożyczalni nutowej. Obejmował on utwory na fortepian, skrzypce i utwory wokalne.

Wśród innych właścicieli wypożyczalni wymienić warto ponadto: Stanisława Kóhlera, Alojzego Królikowskiego, Klarę Heschles, Klemensa Łukaszewicza czy Władysława Bełzę.

Osobną kwestią wartą poruszenia jest praca społeczna (w tym prowadzenie czytelni i wypożyczalni) przez galicyjskie nauczycielki. W latach 70. i 80. XIX wieku, kiedy to kobiety miały ograniczone możliwości kształcenia się oraz utrudniony dostęp zarówno do bibliotek naukowych, jak i innych, musiały tworzyć własne księgozbiory. Z inicjatywy jednej z najwybitniejszych działaczek ruchu ludowego – Marii Wystouchowej – w 1885 roku we Lwowie powstała *Czytelnia Naukowa Kobiet*. Przewodniczącą tegoż przedsięwzięcia została nauczycielka ck Seminarium Żeńskiego – S. Wechslerowa. Czytelnia ta stała się nie tylko ośrodkiem samokształcenia kobiet, ale również wychowania społecznego, artystycznego i patriotycznego. Podobne stowarzyszenie: *Czytelnię dla Kobiet im. J. Słowackiego* założyła w Krakowie w 1889 r. Maria Siedlecka.

Kobiety zrzeszone w czytelniach organizowały odczyty, pogadanki, spotkania artystyczne. Placówki te pełniły rolę integracyjną dla nauczycielek. Były swoistymi ośrodkami kulturalno-oświatowymi. Stawały się też forum dyskusyjnym dla członkiń coraz liczniejszych stowarzyszeń kobiecych w Galicji (np. stowarzyszeń zawodowych nauczycielek).

Kiedy w 1868 r. powstało Towarzystwo Pedagogiczne, do jego prac włączyły się żywo nauczycielki. Do najaktywniejszych należały: F. Boberska, właścicielka pensji żeńskiej we Lwowie, sekretarka czytelni oddziału lwowskiego, oraz nauczycielki i dyrektorki szkół wydziałowych żeńskich we Lwowie: A. Machczyńska, J. Kulińska, M. Bielska, W. Longchamps, W. Niedziałkowska. Podobne zaangażowanie kobiet nauczycielek odnotowano w pracach Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie.

BIBLIOGRAFIA:

- Dybiec J.: *Mecenat naukowy i oświatowy w Galicji 1860–1918*. Wrocław 1981.
- Kuczyński K.A.: *W kręgu uczonych i tłumaczy galicyjskich. O życiu i twórczości Alberta Zippera* [w:] *Studia Historia Slavo-Germanica*, t. 16 (1987), Poznań 1991, s. 201–216.
- Łazuga W.: *Spółczesność polskie Galicji wobec rządów „polskich” Kazimierza hr. Badeniego w Austrii (1895–1897)* [w:] *Studia Historia Slavo-Germanica*, t. 13 (1984). Poznań 1986, s. 59–75.

Anna Piwowarska W salonie Pani Alfredowej

Wyjaśnienie na wstępie: Pani Alfredowa, z domu księżniczka Sanguszkówna (1830–1903) to małżonka namiestnika Galicji, hr. Alfreda Potockiego z Łańcuta (1817–1889), polityka galicyjskiego.

W PAŁACU NAMIESTNIKOWSKIM

Pałac namiestnikowski we Lwowie w latach 1875–1883 był miejscem, gdzie nigdy wcześniej ani później tak żywo i hucznie nie organizowano spotkań towarzyskich. Wystawność miejsca, częste przyjęcia, „herbatki”, bale, rauty, sprawy! że pałac tętnił życiem. Osobą, która nadawała splendoru spotkaniom była Pani Alfredowa (Maria z Sanguszków Potocka), żona namiestnika Alfreda Potockiego. Gospodyni pałacu „Pod Kawkami” miała dokładnie zaplanowany czas. Dla urzędników progi namiestnictwa otwierała w środy i niedziele. Wtorek między 12.00 a 13.00 to czas dla przyjezdnych i miejscowych gości. Wtorkowe wieczory to pora dla wyjątkowych osób ze specjalnym zaproszeniem od Pani Alfredowej.

JAKA BYŁA PANI ALFREDOWA?

Marian Rosco-Bogdanowicz porównywał hrabinę do Izabelli Czartoryskiej i księżnej Lubomirskiej, co było wyrazem szacunku do jej osoby, ale oprócz zalet Pani Alfredowa (jak pisał autor pamiętnika) miała również wady – (...) *była dumna, gwałtowna, a nawet kapryśna... ale tylko wobec tych, którzy nie byli jej wiernie poddani, reszta zawsze mogła liczyć na serdeczne przyjęcie.* Kazimierz Chłędowski w swoich *Wspomnieniach* tak przedstawił Panią Alfredową: *W czasach kiedy ją poznałem, już jako czterdziestoletnią kobietę, uderzała jeszcze swą pięknnością; trochę była za niska, trochę za gruba, ale czarne duże oczy tryskały życiem, regularne szlachetne rysy twarzy, obfite włosy, (...) wszystko to składało się na powabną jeszcze kobietę.*

Życie towarzyskie w stolicy nigdy nie zamierało. W okresie karnawału organizowano bale, w okresie postu towarzystwo spędzało czas np. na ślizgawkach, gdzie po

zakończonej zabawie na świeżym powietrzu udawano się do zaprzyjaźnionych domów, szczególnie do apartamentów w namiestnictwie. Spotkania w angielskim stylu – *five o'clock*, cieszyły się niezwykłym uznaniem. Urządzano żywe teatry amatorskie i żywe obrazy, zwykle o tematyce historycznej. Tak jeden z wieczorów wspomina Marian Rosco-Bogdanowicz: *Przypominam sobie, że dano jednej zimy między innymi „Wojnę kokoszą” Henryka Rodakowskiego (...).*

Podstawą do „bywania” w salonie było niewątpliwie przestrzeganie zasady dobrego wychowania, o które również dbała Pani Alfredowa. Wszelkie uchybienia obyczajowe były ostro karcone, szczególnie palenie cygar w salonie. Każdą niestosowność potrafiła spojrzeniem, słowem doprowadzić do porządku. Nie mogła pozwolić na to, by strój i zachowanie jej i synów Romana i Józefa stał się tematem plotek w innych salonach. Brak gustu swojego syna tak komentowała: (...) *źle kupujesz, paskudne fasony wybierasz. Wiele Cię to kosztuje, a tak wyglądasz, że Cię w salonie żadnym pokazywać, bo na kelnera wyglądasz.* Słów krytyki nie brakowało również dla drugiego syna – Józefa, który po powrocie z Londynu, pojawił się w smokingu, nieznanym jeszcze we Lwowie. Na temat swojego stroju usłyszał: *Proszę, gdy przychodzisz do mnie, być tak ubranym jak moi goście, bardzo proszę.*

SALON NA UL. KOŚCIUSZKI 14

Po skończonym okresie namiestnictwa Pana Alfreda (1883 r.) tylko w okresie zimowym państwo Potoccy mieszkali w stolicy. Wynajęli dom przy ul.



Hr. Alfred Potocki, II Ordynat
Łańcucki. Mal. L. Horowitz

Kościuszki 14. Salon ten gromadził osoby, które pani Alfredowa lubiła i w swoich skromniejszych progach widzieć chciała. Chociaż rozmiarami salon ten był mniejszy od namiestnikowskiego, to nie był bynajmniej gorszy. Pomiedzy 12.00 a 13.00 gospodyni przyjmowała wizyty. Dokonywała podziału towarzystwa lwowskiego na tych, którym mówiła, że każdego wieczoru jest obecna w domu i można ją odwiedzać, i na tych, których zapraszała na wielkie bale. A tak wieczory te opisywał Marian Rosco-Bogdanowicz:

Otóż te codzienne wieczory były najmilszymi przyjęciami, jakie w długiej mojej światowej karierze znałem. (...) Pan Alfred, pod wielkim abażurem, w kącie salonu czytający gazetę i dzieląc się więcej interesującymi wiadomościami z kółkiem, które w przeciwnym rogu otaczało Panią Alfredową, niezmiennie pracującą nad jedną z białych kap szydełkowych, którymi darzyła szpitale. Szydełko w niczym nie przeszkadzało swobodnej i miłej causerie, której temat biegł od codziennej ploteczki towarzyskiej lub politycznej do najwięcej interesujących reminiscencji światowych lub historycznych (...). Pan Zygmunt Augustynowicz przynosił (...) opowiadania kasynowe. Kochany, wytworny Pan Emil (hr. Potocki z Buczacza) dyskretnie ironizował na temat uczuciowych faits divers nie tylko towarzystwa, ale i teatralnego świata. (...)

Do grona gości należała także baronowa Maria Hagen, zawsze pogodna i zabawna.

Choć w towarzystwie była tematem plotek i żartów, to nigdy się nie obrażała, uznając je za świetne żarty. Przeciwnie pani baronowej była jej siostra Julia Puzynina z Narola, znana w towarzystwie ze spokojnego i taktownego humoru. Z wytworności i uprzejmości w salonie pani

Alfredowej zasłynął hr. Wilhelm Siemieński. Z krewnych w salonie bywali: księżna Adamowa Sapieżyna, z domu Sanguszkówna, wraz z bratem księciem Eustachym, ale te kontakty (...) *były ozięble i tę oziębłość odczuwało się także w ich towarzyskich relacjach we Lwowie.*

Przyjazdy córek Pani Alfredowej: Klementyny i Julii, były wielką atrakcją salonu. *Obie odznaczały się nie tylko wielką urodą, wdziękiem i czarującą swobodą obejścia, ale odziedziczyły po matce ten nieporównywalny styl wielkiej pani, który imponuje i mrozi.*

Oprócz rodziny i znajomych w salonie pojawiały się osoby rzadko bywające we Lwowie, m.in. ks. Natalia Potocka, Władysławowie Branicy i August Potocki, zwany „Guciem”. W salonie przy ul. Kościuszki wymienione towarzystwo spędzało czas na grach towarzyskich. Szczególnie modna w tym okresie była zabawa przy „sekretarzu”, polegająca na zadawaniu śmiesznych pytań i udzielaniu jeszcze śmieszniejszych odpowiedzi, (...) *dawała pole do często zabawnych pytań i odpowiedzi. Dla wtajemniczonych w stosunki towarzyskie było to nieraz pole popisu dla dowcipu lub złośliwości, częściej jednak powodem udręki dla młodych pańienek w świat wstępujących i z nieśmiałością stawiających pierwsze kroki. Nie raz już pozujący na lwa salonowego młody człowiek musiał odpowiadać na niewinne zapytania „Jaki lubisz kwiatek?” lub „Czy lubisz słuchać śpiewu słowika?”*

W salonie tym kontynuowano tradycje z pałacu namiestnikowskiego, czyli urządzanie żywych obrazów i teatrów amatorskich, grano zwłaszcza komedie francuskie. Świetnych amatorów było kilku, najbardziej znani w lwowskim środowisku to: (...) *pani Konstancja Stadnicka, nieporównywalna w rolach komicznych. W repertuarze zawsze znajdowały się jednoaktówki polskie. Jedną z nich – „Za pozwoleniem łaskawa pani” – grali z wielką perfekcją pani Konstancja Stadnicka i Leon Piniński. (...)*

Salonowe spotkania to jeden z aspektów życia towarzyskiego Lwowa. Popołudniowe wizyty w namiestnictwie to jedna z ważniejszych form spędzania wolnego czasu. Właśnie podczas takich spotkań zawierano nowe znajomości i przyjaźnie, zjednywano sobie partnerów finansowych, młode damy wprowadzano w „wielki świat”. Odpowied-



Maria z ks. Sanguszków hr. Alfredowa Potocka. Mal. Karol Blaas

Kazimierz Przybyłko

Ksiądz profesor Władysław Smereka

człowiek wielkiego serca i umysłu

Władysław Smereka – ksiądz profesor Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, docent UJ. Doktorat na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w 1935 r., od 1938 asystent przy Katedrach: Starego i Nowego Testamentu UJK. Tamże w latach 1938–39 wykładowca w Instytucie Wiedzy Religijnej przy Wydziale Teologicznym.

Władysław Smereka urodził się 9 czerwca 1907 roku w Sąsiadowicach k. Sambora w diecezji przemyskiej. Był synem Stanisława – rolnika i Barbary z Pietruszków. Sąsiadowice to gmina zbiorcza, w której funkcję wójta pełnił ojciec Władysława Smereki, a duszpasterstwo sprawowali i parafię prowadzili oo. karmelici trzewickowi.

W domu rodzinnym Smereków panował gorący patriotyzm, pełen ducha polskiego, religijnego, nastawienia i postawy narodowej w zaborze austriackim. Ujawniała się tęsknota do wolności Ojczyzny, której zwiastuny pojawiały się wówczas na horyzoncie polskiego życia w początkach XX wieku w Galicji. Ale prócz zwiastunów wolnościowych były też symptomy niepokoju związane z wojną między Austrią i Rosją.

W tej atmosferze napięć i niepokoju wychowuje się młody człowiek, który już na tym etapie życia styka się z wieloma problemami. Początkowe nauki pobierał Władysław w miejscowej szkole w Sąsiadowicach. W 1918 roku wstąpił do 8-letniego Gimnazjum Klasycznego w Samborze, gdzie poziom nauczania był wysoki (język niemiecki, francuski, łacina, greka), podobnie jak w większości szkół w byłej Galicji. W tej szkole w 1926 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. W tym samym roku został przyjęty jako alumn Arcybiskupiego Seminarium Duchownego we Lwowie, a równocześnie rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Środowisko teologiczne we Lwowie było wówczas bardzo żywotne, podobnie zresztą jak cały Uniwersytet Lwowski.

Na tym wydziale studiowało i pracowało wielu wybitnych naukowo księży profesorów a późniejszych biskupów w różnych diecezjach polskich. Jednym z nich był arcybiskup Józef Bilczewski, były profesor dogmatyki UJK, który już wcześniej swoją szeroką działalnością duszpasterską i naukową rozbudził ducha u kleryka Władysława Smereki w wyborze kierunku studiów teologicznych.

Podczas studiów Smereka szczególnie zainteresowanie i zamiłowanie skierował na nauki biblijne. Niewątpliwy wpływ na ten kierunek badań wywarli dwaj wybitni profesorowie bibliści: ks. prof. Aleksy Klawek z zakresu Starego Testamentu i ks. prof. Piotr Stach z Nowego Testamentu. Ci dwaj specjaliści wywarli tak przemożny wpływ na młodego alumna Władysława Smerekę, że studiując gorliwie teologię, w przyszłości sam poświęcił się i wybrał tę specjalność naukową – biblistykę. Już w czasie studiów miał możliwość zapoznania się z działalnością katedr Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, gdyż jako student teologii pełnił funkcję zastępcy asystenta tych katedr (w latach 1929–1931) na UJK. Po długoletnich przygotowaniach formacyjnych do kapłaństwa i pięcioletnich studiach teologicznych – dobrze przygotowany diakon otrzymał święcenia kapłańskie 28 VI 1931 r. w Katedrze Lwowskiej z rąk arcybiskupa Bolesława Twardowskiego – metropolity lwowskiego¹ oraz dyplom uniwersytecki i stopień naukowy magistra teologii, który po obronie pracy otrzymał 17 VII 1931 r.

Pierwszą placówką duszpasterską, na którą został skierowany ks. Władysław jako neoprezbiter była parafia w H o r o d e n c e² (1931–1933), gdzie pracował z ogromnym zaangażowaniem i dużym zapałem jako wikariusz i katecheta w szkole. Tam swoją energię i zdolności organizacyjne poświęcił młodzieży szkolnej. Równocześnie z młodzieżą pozaszkolną prowadził działalność formacyjną w ramach Akcji Katolickiej

i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Angażował młodzież do organizowania licznych przedstawię artystycznych. Jeździł z ich występami m.in. do Zaleszczyk. A dla dziewcząt w okresie zimowym organizował kursy kroju i szycia. Był też stymulatorem i organizatorem wielu pomysłów artystycznych oraz wycieczek dla młodzieży. Te działania miały uczyć, wychowywać, poznawać i integrować młodzież. Był prawdziwym nauczycielem i przyjacielem młodzieży w Horodencie.

Następną placówką duszpasterską ks. Władysława Smereki była parafia Sokolniki³ (1933–1934) k. Lwowa z czasów bł. Jakuba Strepy, w której spotkał młodzież zaangażowaną i chętną do współpracy⁴. Młodzież tę prowadził – również w ramach duszpasterstwa Akcji Katolickiej i Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Z dużą pasją i zamiłowaniem kierował chórem młodzieżowym, wspólnie z uzdolnionym organistą Janem Smyczyńskim.

Wielkim, znaczącym i wspaniałym osiągnięciem młodzieży prowadzonej przez ks. Smerekę było przygotowanie i wyreżyserowanie *Wesela sokolnickiego*, które zostało nagrane przez Radiostację Lwowską i wyemitowane wówczas na całą Polskę. Było to wielkie osiągnięcie artystyczne, a równocześnie przykład troski o kulturę ludową, jej piękno i bogatą tradycję regionalną. Młodzież chętnie uczestniczyła w tych zespołach artystycznych, a ich pozytywna ocena społeczna była stymulatorem do dalszej pracy w tym zakresie. Dla młodzieży pozaszkolnej organizował też kursy rzemieślnicze – trykotarstwa dla dziewcząt i szczołkarstwa dla chłopców. Można powiedzieć, że ks. Władysław Smereka wyraźnie zaznaczył się w pracy duszpasterskiej, artystycznej i społecznej w środowisku młodzieży sokolnickiej.

W 1934 roku ks. Smereka został przeniesiony do Lwowa, gdzie z inspiracji księży profesorów Piotra Stacha i Aleksego Klawka rozpoczął dalsze studia biblijne,

rozwijając równocześnie zainteresowania apostołstwem biblijnym.

Placówką duszpasterską, w której ks., Władysław Smereka pracował w latach 1934–39, była parafia Matki Bożej Nieustającej Pomocy Lwów-Lewandówka⁵. Parafia ta była postrzegana jako trudna duszpastersko. Nie można tu było otworzyć Stowarzyszenia Młodzieży czy innych stowarzyszeń o charakterze formacyjnym. Dlatego ks. Smereka zajął się tu w sposób szczególny młodzieżą sportową i włączył się w pracę TSL.

Podkreślić należy, że ks. Smereka przy pełnym zaangażowaniu w pracę duszpasterskiej, katechetycznej i oświatowej wśród młodzieży nie zaniedbywał nigdy własnego rozwoju intelektualnego i zainteresowań z problematyki naukowej, w szczególności problematyki z zakresu bibliistyki.

Prowadził z młodzieżą: godziny biblijne, kręgi biblijne, nabożeństwa, które miały na celu przybliżenie tej problematyki religijnej. Szerzył wśród wiernych zamiłowanie do czytania Pisma Świętego – jako *Księgi, drogowskazu naszego Zbawiciela, którą winien czytać cały świat*. Prowadził dla wiernych

komentarze wyjaśniające różne kwestie w celu lepszego ich zrozumienia. W roku 1936 ogłosił we Lwowie drukiem pracę pt. „Pismo Święte a Akcja Katolicka”, przyjęte życzliwie, zwłaszcza w kołach pracowników Akcji Katolickiej. Był to podręcznik do pracy z młodzieżą w kółkach biblijnych, oparty o wzory niemieckie (Katholische Bibelbewegung).

Mimo wytężonej pracy duszpasterskiej i nauczycielskiej ks. Władysław Smereka w dniu 3 XIII 1938 r. uzyskał stopień naukowy – doktora teologii UJK – na podstawie pracy *Najstarsza legenda o Matce Najświętszej*. Promotorem pracy był prof. dr Piotr Stach, a dyplom doktorski wręczył mu ówczesny rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie prof. dr Edmund Bulanda.

Okres wojny i okupacji sowieckiej i niemieckiej wypełniła mu praca duszpasterska, katechetyczna, a szczególnie tajne nauczanie. Te wysiłki dydaktyczne są niezmiernie



nie ważne dla ks. dr Władysława Smereki. Czynił je na różnych odcinkach i w wielu miejscach.

W latach 1939–1940 doznał ks. Władysław gehenny wojennej, gdyż w czasie okupacji sowieckiej we Lwowie ogłoszono na niego wyrok śmierci przez nacjonalistów ukraińskich. Ratując życie, ks. Smereka przeniósł się z Lewandówki do Białogóry k. Gródka Jagiellońskiego gdzie pełnił obowiązki administratora parafii w latach (1939–1940). Następnie przedostał się szczęśliwie przez granicę na Sanie do Łańcuta (wówczas w Generalnym Gubernatorstwie). W tym czasie był poważnie chory (stan zapalny nerek).

Tu został uratowany przez siostry boromeuszki pracujące w Łańcutcie: Joanitę Kazimierę Reczuch i Janinę Klimowicz⁶, pochodzące z Sokolnik k. Lwowa. Siostra Kazimiera była rodzoną siostrą ks. prałata Antoniego Reczucha, który był kolegą z roku studiów i święceń kapłańskich ks. Władysławem Smereka.

Po kuracji leczniczej i dojściu do równowagi psychicznej i fizycznej przeszedł do pracy w Chotowej k. Dębicy jako duszpasterz i katecheta (1940–1942). Tu włącza się aktywnie w tajne nauczanie przerabiając z młodzieżą materiał z zakresu klas gimnazjalnych. Miał jednak trudne warunki bytowe, gdyż pozbawiony był tu wszelkich dochodów potrzebnych i koniecznych do życia. W związku z tym w 1942 roku przenosi się do miejscowości Ujanowice k. Nowego Sącza – rodzinnej osady swego mistrza ks. Piotra Stacha.

Ks. Smereka przybył do Ujanowic w sierpniu 1942 roku i zamieszkał na tutejszej plebanii. Tu z wielkim zapałem włącza się aktywnie w tajne nauczanie w zakresie szkoły średniej – gimnazjum. Uczy także na tajnych kompletach: prócz Ujanowic również w Sechniej i Żmiącej. Na terenie parafii Ujanowice zorganizował również tajne nauczanie w zakresie siedmioklasowej szkoły powszechnej wg programu przedwojennego. Czynił to w porozumieniu z tajną Komisją Oświaty i Kultury w Nowym Sączu i p. Mieczysławem Wieczorkiem. Komisja Egzaminacyjna, której przewodniczącym był ks. Władysław Smereka, przeprowadziła egzaminy w okolicznych wsiach (Sechna, Jaworzyna, Kobyłczyna, Krosna, Żmiąca). W czasie tych egzaminów, partyzanci czuwali nad ich bezpieczeństwem. W tej formie nauczania – pełnej szkoły powszechnej – kształcenie ukończyło 207 uczniów, których wiek wahał się od 13 do 23 lat.

Aktywność nauczycielsko-pedagogiczna ks. Władysława Smereki była bardzo duża. W 1944 roku wraz z mgr. praw Wincentym Gołębem zor-

ganizował w Strzeszycach kurs handlowy, który kończył się tzw. „małą maturą”. Zaraz po wojnie (1945) powstało jawne gimnazjum w Ujanowicach. W jego powstaniu duże zasługi miał ks. Smereka⁷, który wcześniej wraz z innymi profesorami prowadził tajne nauczanie – m.in. z ks.dr. Lechem Kaczmarkiem, późniejszym biskupem w Gdańsku. Gimnazjum to – tzw. „gimnazjum chłopskie” – funkcjonowało przez kilka lat i maturę w nim uzyskało ponad 150 absolwentów. Z tej liczby 20 zostało kapłanami, którzy dziś – dzięki Jego ofiarnej pracy – dobrze służą Kościołowi, bliźniemu i Ojczyźnie. Bardzo chlubną kartą ks. dr. Władysława Smereki było zaopatrywanie młodzieży w podręczniki szkolne, które za własne pieniądze kupował w antykwariatach w Krakowie, Nowym Sączu i Tarnowie.

Ks. dr Władysław Smereka, oprócz pracy duszpasterskiej, pedagogiczno-wychowawczej (uczył religii, łaciny, historii i przyrody), był postrzegany przez tamtejszą ludność jako medyk – bo doktor. Ludzie przychodzili do niego po porady w swoich dolegliwościach zdrowotnych. Dlatego też z konieczności, ale i z własnych zainteresowań i potrzeb zajął się też zielarstwem, pomagając w ten sposób w różnych ludzkich dolegliwościach zdrowotnych. Dzięki jego miksturom i wywarom ziołowym wielu chłopów wracało do zdrowia. Również wielu żołnierzy AK zawdzięczało mu zdrowie, a nawet życie.

Ta praca pedagogiczna w Ujanowicach – wśród młodzieży i jej mieszkańców – sprawiła, że bardzo mocno emocjonalnie związał się z tą parafią i jej ludźmi. Tu też obchodził swoje jubileusze 25- i 50-lecia swego kapłaństwa⁸. Warto jeszcze zacytować fragment wiersza, napisany przez Zofię Oleksy, na pożegnanie księdza Władysława Smereki:

*Losem wojny do nas gnany
Przyjechałeś tu Kochany.
Serce Twoje się krajało,
Kochać Lwowa nie przestało.*

*Więc rzuciłeś swe tęsknice
Tu na nasze okolice.
Zbieraliśmy razem zioła,
Chodziliśmy do kościoła
Zdobyłeś sławę lekarza
I kapłana u ołtarza.
Byłeś nam też profesorem
I dla dusz młodzieńczych wzorem.*

W lipcu 1945 r. ks. Władysław Smereka udał się na tzw. ziemię odzyskaną, do Wrocławia. Tam przystąpił do żmudnej pracy, jaką było dostosowanie niemieckiego mia-

sta do polskich potrzeb. Tam zbierał, dzięki pomocy zgrupowania SS. Urszulanek, wydawnictwa teologiczne, by w ten sposób odtworzyć – zlikwidowany – Wydział Teologiczny Uniwersytetu Wrocławskiego. W tym ważnym dziele bardzo pomocnie i dzielnie pomagał mu O. Marian Pirożyński – redemptorysta z Tuchowa. Tu gromadził literaturę fachową konieczną do otwarcia studiów teologicznych. Jednak ówczesne władze nie wydały zgody na ich otwarcie na Uniwersytecie Wrocławskim.

Następnie w latach 1946–47 ks. dr Władysław Smereka objął placówkę duszpasterską w Gawłowie k. Bochni, gdzie pełnił funkcję administratora parafii, tu również włączył się aktywnie w struktury oświaty na wielu płaszczyznach. Pracował nad młodzieżą, uczył jej nie tylko miłości Boga, ale także miłości ojczyzny, historii i patriotyzmu.

W 1947 roku związał się z Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tu, na tym Uniwersytecie, przechodzi dalsze szczeble kariery naukowej. Z Gawłowa dojeżdżał na UJ na seminaria naukowe prowadzone przez prof. A. Klawka i prof. Jana Janowa. Od 1947 roku – asystent przy Katedrach Starego i Nowego Testamentu UJ. Prowadzi zajęcia ze studentami z archeologii biblijnej, języka greckiego i hebrajskiego. W latach 1947–50 wykładał również wstęp do Pisma Świętego i język hebrajski w Seminarium Duchownym Archidiecezji Lwowskiej, które wówczas mieściło się w Kalwarii Zebrzydowskiej.

Od 1 X 1949 r. prowadził samodzielnie seminaria naukowe – doktoranckie, promując nowych adeptów nauki. Habilitację uzyskał 30 VI 1953 r. w zakresie egzegezy Nowego Testamentu, na podstawie rozprawy *Tło i przebieg procesu Chrystusa Pana*. Nominację na kontraktowego samodzielnego pracownika nauki przy Katedrze Nauk Biblijnych Nowego Testamentu UJ otrzymał w sierpniu 1953 i kierował nią do 1954 r. Po likwidacji w 1954 r. Wydziału Teologicznego UJ ks. docent Smereka – odmówił przejścia do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie i pozostał w Krakowie, wykładając dla alumnów seminariów duchownych: Krakowskiego, Częstochowskiego i Śląskiego – język grecki, wstęp do Pisma Świętego i egzegezę Nowego Testamentu. Po roku 1956 wykładał Pismo Święte Nowego Testamentu

w Seminarium Archidiecezji Krakowskiej, a następnie na Papieskim Wydziale Teologicznym, którego był współtwórcą. Na tym Wydziale 4 XII 1963 roku został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a 27 I 1973 – zwyczajnym.

Ksiądz profesor Władysław Smereka był bardzo aktywny na polu naukowym, społecznym i duszpasterskim. W latach 1946–48 był sekretarzem generalnym, a w latach 1960–62 i 1966–73 prezesem Polskiego Towarzystwa Teologicznego w Krakowie (a założonego we Lwowie przez ks. prof. A. Klawka). Utrzymywał również bliskie kontakty naukowe z krakowskim środowiskiem humanistycznym.

Jego działalność, aktywność naukowa i duszpasterska jest bardzo znacząca na wielu płaszczyznach. Również jego dorobek naukowy w dziedzinie nauk teologicznych – biblistyki jest ogromny. Bo któż z nas nie czytał *Biblii Tysiąclecia* lub nie słuchał podczas mszy św. *Listów św. Jana*? To tylko niektóre z wielu tekstów, których tłumaczem i komentatorem był ks. prof. Władysław Smereka.

W dniach 5–7 VII 1948 brał udział w III Synodzie Diecezji Tarnowskiej. Mimo zajęć uniwersyteckich i pracy naukowej w czasie wakacji czy świąt pomagał w duszpasterstwie w parafiach Archidiecezji Wrocławskiej. W tej archidiecezji głosi często nauki rekolekcyjne. W 1962 roku został odznaczony godnością szambelana przez papieża Jana XXIII. W r. 1977 przeszedł w stan spoczynku nie tracąc kontaktu z nauką.

Ks. Władysław Smereka, kapłan Archidiecezji Lwowskiej – to człowiek nauki i wielkiej dobroci, łagodności i empatii. Był dobrym, szlachetnym i życzliwym kapłanem dla wszystkich ludzi, których spotkał na swej drodze życia. Był człowiekiem niebywalej uczynności, niósł pomoc wielu ludziom. Kapłan wielkiej, głębokiej wiary i pobożności, a równocześnie człowiek wielkiej skromności, pogody ducha i radości życia chrześcijańskiego. Autentyczny humanista – nie tylko sam był człowiekiem, ale dostrzegał innych ludzi wokół siebie i z nimi się dzielił zarówno dobrym słowem, jak i czynem. Był człowiekiem wielkiego serca i umysłu.

Wszystkie dotychczasowe wypowiedzi i publikacje jednoznacznie stwierdzają, że ks. Władysław Smereka był dobrym, szla-

SYLWETKI

Adam Redzik

TOŃKO

**Henryk Vogelfänger (1904–1990)
batiar, aktor, adwokat**

Kto z Lwowiaków i miłośników Lwowa nie zna „Tońka” czy też „Tońcia” – bo i tak go nazywano – słynnego lwowskiego aktora komediowego, tego „durnowatego pomidora” z duetu ze „Szczepkiem” – Kazimierzem Wajdą. Choć coraz mniej osób pamięta owe komiczne dialogi z *Wesołej Lwowskiej Fali*, to wielu podziwia go do dziś dzięki dwóm zachowanym filmom.

Tońko, a właściwie Henryk Vogelfänger (po wojnie noszący imię Henry Barker), nie doczekał się opracowania, na jakie niewątpliwie zasługuje, a dostępne życiorysy zawierają liczne błędy, dlatego też wypada przypomnieć jego postać.

Henryk Vogelfänger przyszedł na świat 4 października 1904 (niektórzy mylnie podają rok 1902) we Lwowie w spolonizowanej rodzinie żydowskiej, jako pierwsze dziecko Samuela i Bertę. Miał siostrę Leontynę (ur. 1923), żyjącą w Polsce (ojciec zmarł około 1930 r. we Lwowie, a matka została zamordowana we Lwowie przez Niemców w 1944 r.). Mieszkali przy ul. Krupiarzkiej 6.

nio dobrane towarzystwo, miłe pogawędki na tematy ważne i mniej ważne i ciągle nowi goście sprawiali, że gospodarze pałacu namiestnikowskiego nie mogli narzekać na nudę.

BIBLIOGRAFIA

- Chłędowski K., *Pamiętniki. Galicja 1843–1880*, t. 1, Kraków 1957
Cholewianka-Kruszyńska A., *Pani Alfredowa. Maria z Sanguszków Potocka z Łańcuta*, Warszawa 1998
Rosco-Bogdanowicz M., *Wspomnienia*, t. 1, Kraków 1959

Henryk ukończył lwowskie VI Gimnazjum przy ul. Łyczakowskiej, a następnie prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W 1932 r. zdał egzaminy rygorystyczne i uzyskał stopień doktora praw. Jednocześnie po ukończeniu studiów odbył dwuletnią aplikację adwokacką, a następnie przez cztery lata pracował w syndykacie gminy miasta Lwowa. W roku 1935 zdał egzamin adwokacki i wpisał się na listę adwokatów Izby Adwokackiej we Lwowie. W tym samym roku utworzył kancelarię przy ul. Obertyńskiej 4/6. W 1937 r. mianowany został syndykiem Miejskiego Zakładu Gazowego we Lwowie.

Już w 1933 r. wraz ze „Szczepkiem” – zaczął występować w słuchowisku radiowym „Wesoła Lwowska Fala” w skeczach autorstwa Wiktora Budzyńskiego. Wkrótce sam przygotowywał skecze. Szczególną popularność przyniosły mu role lwowskiego batiara „Tońka” („Tońcia”), który występował w duecie z batiarem „Szczepkiem”, kreowanym przez spikera radiowego Kazimierza Wajdę (1905–1955). Dzięki występom Szczepka i Tońka w krótkim czasie „Wesoła Lwowska Fala” z lokalnego programu stała się najpopularniejszą audycją radiową w przedwojennej Polsce i jedną z najpopularniejszych w całej historii Polskiego Radia (ponad



Tońcio [z lewej] i Szczepcio, Francja 1940

6 milionów stałych słuchaczy). Często we wspomnieniach pojawia się stwierdzenie, że w niedzielne wieczory o godzinie 21.00 życie w kraju zamierało, wszyscy nastawiali odbiorniki radiowe na Polskie Radio Lwów, fale średnie 385.1 i słuchali „Wesołej Lwowskiej Fali”, na której „Szczepko z Tońkiem bałakali...”.

Henryk Vogelfänger wystąpił jako Tońko w trzech przedwojennych filmach komediowych: *Będzie lepiej* (1936), *Włóczęgi* (1938–1939), obydwa w reżyserii Michała Waszyńskiego, i *Serce batiara*. Ten ostatni zrealizowany został latem 1939 r. i najprawdopodobniej spłonął w pierwszych dniach II wojny światowej.

Po opuszczeniu Lwowa w 1939 r. przedostał się wraz z kolegą z duetu Kazimierzem Wajdą na zachód. Występowali w zespole Czołówki Teatralnej WP „Lwowska Fala”. Grali dla żołnierzy polskich we Francji, w Anglii i na froncie zachodnim. Henryk Vogelfänger był też żołnierzem I Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Wraz ze Szczepkiem nagrał w słynnym duecie 70 płyt. Wystąpili wówczas w krótkometrażowych filmach: *Jeszcze Polska* i *Polish Soldiers Holiday*.

Po wojnie przebywał na emigracji. Początkowo w Wielkiej Brytanii, gdzie w 1947 lub 1948 r. wstąpił w związek małżeński z Wandą z Berezów. W 1950 r. wyjechali do Johannesburga, a do Wielkiej Brytanii powrócili ponownie w 1960 r. Vogelfänger podjął wówczas pracę w college’u jako nauczyciel łaciny i podstaw prawa konstytucyjnego. W tym czasie przyjął nazwisko przyjaciół, lekarzy i filantropów z Zululandu w Afryce Południowej, działających przeciwko systemowi apartheidu Margaret i Anthony’ego Barkerów. Latem 1989 wrócił do Polski, co zbiegło się z renesansem popularności pio-

senek lwowskich. Jerzy Janicki nakręcił z nim wówczas wywiad dla telewizji.

Zmarł 6 października 1990 w szpitalu rządowym przy ul. Emilii Plater w Warszawie. Kilka dni później urna z prochami została przewieziona do Londynu. Spoczywa na cmentarzu Chiswick New Cemetery.

Żonaty był dwukrotnie. Po raz pierwszy we Lwowie (danych żony nie ustalono). Z drugą żoną Wandą (zm. 1963) miał jedynego syna Anthony’ego Barkera (ur. 1955 w Johannesburgu) – dziś dziennikarza Reutersa.

ŹRÓDŁA:

- Informacje od Anthony’ego Barkera z Londynu;
- Informacje od Jerzego Janickiego;
- Informacje od Władzy Majewskiej z Londynu;
- C. Halski, *Polskie Radio Lwów*, Londyn 1985;
- J. Janicki, *Szczepcio i Tońcio* [w:] *Lwów i jego mieszkańcy*, „Przekrój” 1991, wydanie specjalne;
- A. Redzik, Vogelfänger Henryk (1904–1990), *Słownik Biograficzny Adwokatów Polskich*, t. III, z. I, Warszawa 2007.

ADAM REDZIK, ur. 1977 w Łukowie. Doktor nauk prawnych (UJ) i doktor nauk humanistycznych (KUL), wykładowca Akademii Humanistycznej im. A. Gieyszтора, pracownik Naczelnej Rady Adwokackiej w Warszawie. Autor kilkudziesięciu opracowań z zakresu historii prawa, historii nauki oraz prawa prywatnego porównawczego, w tym licznych na temat Lwowa i lwowskiego środowiska naukowego, szczególnie prawniczego, m.in.: *Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1939–1946* (Lublin 2006); *Roman Longchamps de Berier (1883–1941)* (Kraków 2006); *Longchamps de Berier – zarys dziejów rodu* [w:] *Lwów: miasto – społeczeństwo – kultura*, t. V; *Profesor Juliusz Makarewicz – życie i dzieło*, [w:] *Prawo karne w poglądach profesora Juliusza Makarewicza* (Lublin 2005); *Działalność dydaktyczna profesora Juliusza Makarewicza*, [w:] *Karnopolityczne koncepcje profesora Juliusza Makarewicza – wczoraj i dziś* (Lublin 2006); *Profesor Ernest Till (1846–1926) – w stuśleściolecie urodzin i osiemdziesięciolecie śmierci*, „Palestra” 2006, nr 3–4; *Szkic z dziejów szkolnictwa wyższego we Lwowie*, „Niepodległość i Pamięć”, nr 24, 2006; *Lwowska szkoła dyplomatyczna. Zarys historii Studium Dyplomatycznego przy Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (1930–1939)*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny” 2006, t. 6, nr 5; *Kurs Prawa Lotniczego przy Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (1936–1939)*, „Rocznik Lwowski” 2006.

ERRATA

Drobne, lecz niemiłe błędy znalazły się w artykule *Spod Tarnopola...* na s. 52–54 w CL 3/07. Oto nazwisko bohatera opowiadania **Eugeniusza Spittala** zostało trzykrotnie (!) przekreślone (*Spittala, Spittala*). Trudno się nawet domyślić, w jaki sposób takie lapsusy powstały. Rodzinę bardzo serdecznie przepraszaamy, Czytelników też.

Krzysztof Bulzacki

Zuzanna Łozińska

Dwadzieścia pięć lat temu, 5 sierpnia 1982 roku, umarła w Puławach i została pochowana – wraz z grudką ziemi lwowskiej – na cmentarzu w Jeleniej Górze, której poświęciła wiele lat swego twórczego życia.

Zuzanna Łozińska to część historii polskiego teatru. Podobnie jak Jan Nepomucen Kamiński, była przede wszystkim antreprenerem, niezwykle pasjonatem teatru. Była aktorką, reżyserem, przedsiębiorcą teatralnym, zajmowała się wszystkimi problemami teatru poczynając od doboru repertuaru, kreowania aktorów, kończąc na sprawach finansowych.

Urodziła się we Lwowie w 1896 roku. Była niewiastą drobnego ciała, wielkiego ducha, dużej energii i niezwyklej urody. Jeśli za *mundurem panny sznurem*, to za Zuzanną Łozińską były całe zastępy wielbicieli jej talentu z wszystkich miast, w których występowała. Karierę sceniczną rozpoczęła w 1912 r. jako uczennica szkoły baletowej przy Teatrze Miejskim we Lwowie występowała w operach i operetkach, po pewnym czasie zaczęła grać drobne role w operetkach i w teatrze dramatycznym (Hesię w *Moralności pani Dulskiej*, Klarę w *Ślubach panieńskich*, Marię w *Lekkomyślnej siostrze*, Ofelię w *Hamlecie*, Annę w *Świcie*).

W 1918 r. była już primabaleriną. Tańczyła wiele partii solowych – w *Coppelii*, w Jeziorze *Łabędzim*, w *Wieszczce lalek*. Równocześnie podjęła systematyczne studia aktorskie w szkole dramatycznej pod kierunkiem Ireny Trapszo i Wandy Siemaszkowej. W 1920 r. otrzymała pierwszą poważną rolę dramatyczną Wojewodzianki w *Zaczarowanym kole* Rydla i zaczęło się. Posypały się liczne role w wielu sztukach teatralnych we

Lwowie. W 1926 r. w Stanisławowie grała Annę w sztuce *Świt, dzień i noc* Dariusza Niccodemiego, Helenę de Travillac w *Ładnej historii* R. de Flersa i A. Caillavefa, Emmę w *Dobrze skrojonym fraku* Gabriela Dregely i Janinę w *Sublokatorce* Adama Grzymały Siedleckiego. Od 1928 r. przez trzy sezony występowała w Krakowie w Teatrze im. Słowackiego. Jako tancerka zachwycała widzów wspaniałą rolą w *Krakowiakach i góralach* Wojciecha Bogusławskiego.

W 1932 roku grała ponownie we Lwowie pod dyrekcją Wilama Horzycy i kierunkiem reżyserskim Leona Schillera. Po roku, popularna, dojrzała i doświadczona aktorka, Zuzanna Łozińska została dyrektorem Teatru Zawodowego im. Stanisława Moniuszki w Stanisławowie (nazywanego również Teatrem Małopolskim lub Pokucko-Podolskim). Pod jej dyrekcją i kierownictwem artystycznym nastąpił rozkwit tego teatru, który wystawiał często dwie premiery na miesiąc, przedstawiając światowy repertuar dramatyczny.

Po wybuchu wojny Zuzanna Łozińska powróciła do Lwowa. Podczas obu okupacji sowieckich występowała w teatrze polskojęzycznym, a w czasach okupacji niemieckiej pracowała jako sprzątaczką w Instytucie Weigla. W 1945 roku wyjechała do Katowic, następnie pracowała w sezonie 1946/7 w Teatrze Miejskim w Opolu.

W tym czasie Jelenia Góra, niezniszczona przez wojnę, tętniła Lwowem. Uczniowie jeleniogórskiego Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego, z inicjatywy Zbyszka Czajki, ucznia klasy maturalnej, wychowanka prof. Piotra Hausvatera (późniejszego twórcy Polskiego Teatru Ludowego w okupowanym, sowieckim Lwowie) wystawili w „prawdziwym” teatrze *Pana Geldhaba* Aleksandra Fredry. Była to wspaniała przygoda całej szkoły i wielkie przeżycie dla wszystkich uczniów. Rolę tytułową grał Stanisław Kuszewski (założyciel „Pegaza” w TVP), który również razem ze



Zbyszkiem Czajką miał udział w reżyserowaniu; pozostali aktorzy to przyszli lekarze i inżynierowie. Tylko Zbyszek Czajka-Krężałowski został zawodowym aktorem.

Zbyszek Czajka zostawił mi na pamiątkę egzemplarz Fredry służący do wystawienia komedii.

Do takiej publiczności przybyła Zuzanna Łozińska i w 1947 roku objęła dyрекcję i kierownictwo artystyczne teatru. Teatr cieszył się uznaniem publiczności, jedynie miał trudności z „władzą ludową”, która straszyla wieścią o likwidacji teatru. Dla władzy niepotrzebny był taki teatr, który nie spełniał funkcji propagandowych.

W 1952 roku dyрекcję teatru objął Antoni Biliczak. Zuzanna Łozińska pełniła obowiązki kierownika artystycznego.

W latach 1954–60 pracowała jako reżyser i aktorka w Teatrze Rozmaitości we Wrocławiu. W 1955 r. dyрекcję teatru w Jeleniej Górze objął Władysław Ziemiański. Przyszła odwilż polityczna. Znowu zapachniało Lwowem. W 1959 r. teatr wystawił dramat *Lwowskie pułhacze* poświęcony walce lwowskiego dywizjonu myśliwców nocnych w Londynie. W 1960 r. Zuzanna Łozińska powróciła do Jeleniej Góry na stanowisko kierownika artystycznego, które pełniła przez dwa lata, następnie pozostała w teatrze jako reżyser.

Grała w wielu sztukach, niemal do śmierci. Trudno wymieniać tytuły sztuk, w których występowała lub które reżyserowała, wszak było tego ponad pół tysiąca ról i setka reżyserowanych sztuk. Myślę, że łatwiej byłoby wyliczać te sztuki, z którymi nie miała nic wspólnego.

Jej życie to przecież kawał historii polskiego teatru. Zaczęła w *Zaczarowanym kole* Rydla, w roli Wojewodzianki, kończyła w sztuce Kazimierza Brandysa *Bardzo starzy oboje*. Pod jej okiem otrzymało szlify sceniczne wielu wybitnych polskich aktorów.

Wystąpiła w filmie, który miał być o niej, ale nikt i nic nie jest w stanie przedstawić wielkości prawdziwego geniuszu, bogactwa jego treści. 23 kwietnia 1974 roku w Teatrze Dolnośląskim w Jeleniej Górze hucznie obchodzono jubileusz 60-lecia pracy artystycznej Zuzanny Łozińskiej, w tym dniu wystawiono premierę *Peer Gynta*, a jubilatka zagrała rolę Aasy. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę z tego, jak wielki duch

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- -HISTORYCZNY

BARSZCZOWICE

Wieś w pow. lwowskim, wojew. lwowskim, położona 24 km na wsch. od Lwowa. Do początku XX w. parafia rzym.kat. w Jaryczowie Nowym, od 1904 r. ekspozytura parafii na miejscu. Parafia gr.-kat. w Pikulowicach. Stacja kolejowa na linii Lwów–Tarnopol.

Historia. Pierwsza znana wiadomość o Barszczowicach pochodzi z 1848 r. Na jej podstawie można wysnuć przypuszczenie, że w 2. połowie XVIII w. należały do Józefa Stanisława Lewickiego, którego rodową siedzibą był Chorostków k. Husiatyna. Po nim przejął je wraz z innymi dobrami jego syn Kajetan, członek Stanów Galicyjskich, hodowca koni rasowych i założyciel ordynacji chorostkowskiej, w której skład weszły także Barszczowice. Po śmierci Kajetana ordynacja przeszła na córkę Zofię, która w 1857 poślubiła Wilhelma Stanisława Siemieńskiego. W 1868 r. Siemieński otrzymał pozwolenie cesarza na używanie podwójnego nazwiska Siemieński-Lewicki, dla siebie i swoich spadkobierców. Ostatnią właścicielką Barszczowic była zapewne wnuczka Wilhelma, Maria Zofia, która otrzymała je w posagu wychodząc za mąż za Tadeusza Tyszkiewiczza.

Zabytki. Kościół pw. Nawiedzenia NPM, neoromański, fundowany przez Zofię z Lewickich Siemieńską, przy współudziale mieszkańców wsi. Ceglany, tynkowany, złożony z czteroprzęsłowej nawy i węższego, niższego prezbiterium, zamkniętego wielobocznie. Przy ścianie pld.wsch. prezbiterium stoi wysoka wieża na planie kwadratu, z kruchtą w przyziemiu. Fasada zwieńczona trójkątnym szczytem, na osi portal wejściowy. Przy kościele znajdowała się murowana dzwonnica i grób nieznanego żołnierza z I wojny światowej w formie kamiennej steli.

Po II wojnie światowej kościół został przekazany władzom gminnym, które przeznaczyły go na magazyn zboża. W 1984 r. urządzono w nim oddział Muzeum Historycznego we Lwowie, z ekspozycją poświęconą Budionnemu. W połowie lat 90. zamieniony został na cerkiew gr.kat.

Dwór z poł. XIX w. o charakterze typowej siedziby ziemiańskiej, siedmioosiowy, parterowy,

Z TAMTEJ STRONY

Wydarzenia

◆ Media poinformowały, że Ojciec Św. Benedykt XVI mianował ks. **Mieczysława Mokrzyckiego**, b. drugiego sekretarza Jana Pawła II – koadiutorem arcybiskupa-metropolity lwowskiego, tzn. biskupem pomocniczym z prawem następstwa po przejściu przez ks. kardynała Mariana Jaworskiego w należyły Mu już stan spoczynku. Ks. Mieczysław Mokrzycki urodził się w 1961 r. we wsi Łukawiec k. Lubaczowa.

Równocześnie poinformowano, że dotychczasowy biskup pomocniczy we Lwowie, ks. Marian Buczek, zostaje koadiutorem przy bpie Stanisławie Padewskim, ordynariuszem diecezji charkowsko-zaporoskiej. Ks. Padewski – o którego działalności nie sprzyjającej Polakom na terenie archidiecezji lwowskiej (nim znalazł się na dalekiej Ukrainie) – pisaliśmy kilkakrotnie, również osiąga wiek emerytalny.

Wiadomość całkiem nieoficjalna: ks. kard. M. Jaworski – po zakończeniu swej misji we Lwowie, wraca jakoby do Krakowa, gdzie spędził kilkadziesiąt lat jako profesor i rektor Papieskiej Akademii Teologicznej – zanim został wezwany przez Jana Pawła II na stolicę arcybiskupią najpierw do Lubaczowa, potem do Lwowa.

► mieści się w tym drobnym ciele kobiecym, ile sił witalnych wypełniało nie tylko scenę, ale cały teatr.

Nie można się dziwić, że gdy po raz pierwszy przyjechała do Jeleniej Góry i została dyrektorem teatru, to na jej jedną karteczkę – *Przyjeźdź Ludwisiu, ratuj teatr w Jeleniej Górze*, natychmiast w ostatniej dekadzie swojego życia sam wielki Ludwik Solski przyjechał do Zuzanny Łozińskiej!

Jakim aktorem był Solski, jaki rzucał urok, niech świadczy takie małe wydarzenie.

Naszym zdaniem

JAKA WATRA?

W lipcu odbyło się jubileuszowe, XXV „święto kultury łemkowskiej”, Łemkowska Watra. Przyjechał na tę okazję do Zdyni (k. Gorlic – to już krakowskie!) sam prezydent Juszczenko.

Taka feta jest co roku. Przed paru laty opisywaliśmy podobną imprezę, na którą – do naszego kraju – ambasador Ukrainy zaprosił naszego marszałka Senatu, panią Grześkowiak.

Łemkowie nie mają pochodzenia ukraińskiego, są natomiast – podobnie jak Huculi i Bojkowie – zrutenizowanymi Wołochami, którzy przez parę wieków jako pasterze ze swymi stadami napływali górami na nasze terytorium. Z Rusinami zamieszkałymi w Polsce łączyło ich wyznanie – niegdyś prawosławie, później przekształcone u nas w obrządek grekokatolicki (od końca XVI wieku), a w konsekwencji przejęty język (za pośrednictwem cerkwi), jednak z zachowaniem pewnych odrębności*.

Wspólnota religijna z małopolskimi Rusinami nie oznaczała przejścia przez wymienione plemiona – a zwłaszcza Łemków, osiadłych najdalej na zachodzie – świadomości rusko-ukraińskiej. Ta zaczęła się pojawiać w XIX wieku jako efekt propagandowej akcji nacjonalistów ukraińskich, przy – w najlepszym razie – obojętności władz zaborców austriackich. Nie było w stanie tego zahamować 20-lecie międzywojenne, a sytuacja pogorszyła się w czasie II wojny (co doprowadziło do wydarzeń zatrzymanych przez akcję „Wisła”). Pewne uspokojenie nastąpiło w pierwszych latach PRL (władze komuni-

Gdy w teatrze jeleniogórskim Solskiemu wręczali kwiaty uczniowie naszego ogólniaka imienia Stefana Żeromskiego, Wiśka Dadaniańska i Lech Imieliński (potem sławny profesor neurochirurgii), pierwsza podeszła Wiśka i pocałowała starego mistrza w rękę, Leszek już bez namysłu zrobił to samo.

Wśród 15 odznaczeń, medali i orderów, które otrzymała Zuzanna Łozińska, na szczególną uwagę zasługuje medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” oraz Krzyż Kawalerski i Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

styczne nie popierały ruchów narodowych), ale z nową energią nacjonalizm pojawił się w okresie liberalizacji politycznej w pierwszych latach *gierkowskich*.

Nie wszyscy Łemkowie akceptują ukraińską swego narodu, toteż nastąpiło pewne rozdzielenie orientacji. Siła pozostaje jednak po stronie proukraińskiej, ponieważ pomaga w tym państwo Ukraina, druga strona natomiast nie znajduje żadnego oparcia po stronie polskiej. Z czego to wynika, można się tylko domyślać: totalny brak orientacji i koncepcji u polskich polityków i działaczy, spora liczba nielojalnych a wpływowych osób i grup opierających się na szczególnie pojętej „poprawności politycznej”, wreszcie aktywność niepolskich *lobbies*.

Efektom są coroczne dość huczne imprezy na terenach podkarpackich, szeroko opisywane w naszej prasie, jednak bez minimum refleksji: czy np. analogiczne I u d o w e uroczystości w podobnej oprawie – z udziałem prezydentów, polityków, działaczy, biskupów i gości zza granicy – mogłyby się odbywać corocznie dla uczczenia wygnanych Polaków z Małopolski Wschodniej? Przecież liczba wyrzuconych z rodzinnych ziem naszych Rodaków wielokrotnie przekracza liczbę Rusinów przemieszczonych po akcji „Wisła” i większą daniną krwi została okupiona. Czy prasa ukraińska, np. we Lwowie, zacytowałaby analogiczne słowa Polaka, jak owe wypowiedziane – zapewne szczere – przez Łemkę, Stefana Krynickiego, który wyjechał z rodziną na wschód jako 8-letni chłopiec:

To jest ta ziemia, na której ja pierwszy raz zobaczyłem słońce, powiedziałem słowo „mama”. Chciałbym tu kiedyś wrócić na zawsze, bo miejsce, w którym człowiek się urodził, jest najpiękniejsze na świecie i tutaj czuję się jak w domu, jak koło serca matki.

Zwracamy więc uwagę zachłystujących się ze wzruszenia reporterów polskiej prasy**, by zastanowili się nad tym, co piszą, po co i w czym interesie piszą i jak piszą.

Dodajmy na koniec, że nieobecność naszego Prezydenta w Zdnyni była ze wszech miar uzasadniona.

* Przykładem język Huculów, o którym pisaliśmy w CL 4/02.

** Np. Jerzy Cebula (JEC) i Monika Kowalczyk z „Dziennika Polskiego”...

z piętrową trójosiową częścią środkową i alkierzami na narożnikach. Wejście od frontu poprzedzone oszklonym gankiem, od strony ogrodu dwukondygnacyjnym, czterokolumnowym portykiem, przed którym znajdował się taras ze schodami do ogrodu. Dach czterospadowy, lamany, bardzo wysoki. Po bokach dworu i od tyłu kilkuhektarowy park krajobrazowy. Do lat 80. XX wieku zachowała się w nim kamienna rzeźba przedstawiająca sfińksa.

Właściciele wsi rezydowali w Chorostkowie, a Barszczowice oddawali w dzierżawę. W poł. XIX w. dzierżawił je Jan Kanty Maszkowski, lwowski malarz i nauczyciel rysunku. Dużo w Barszczowicach przebywał jego chory na gruźlicę syn, Marceli, również malarz, oraz zaprzyjaźniony z nim Artur Grottger.

OŻYDÓW

Wieś w pow. brodzkim, wojew. tarnopolskim, położona w odległości 67 km od Lwowa i 6 km na zach. od Oleska. Stacja kolejowa Ożydów-Olesko na linii Lwów–Brody. Leży na wys. 237 m n.p.m. u źródła rzeczki Słotwiny, dopływu Bugu. Ożydów należał do parafii rzym.kat. w Olesku, a parafia gr.kat. miała swą siedzibę na miejscu.

W połowie XIX w. właścicielem Ożydowa był Karol Hubicki, działacz społeczny i gospodarczy, poseł na Sejm Krajowy. Wraz z żoną, Anielą z Sie Rakowskich, założyli na wykarczowanym terenie po płu.zach. stronie wsi przysiółek Angelówka, który zaludnili osadnikami, po większej części sprowadzonymi z Czech.

RODATYCZE

Wieś w pow. gródeckim, wojew. lwowskim, położona 11 km na zach. od Gródka Jagiellońskiego. Leżą nad potokiem Raków, dopływem Wiszni. Przez płu. część wsi przechodzi linia kolejowa Przemyśl–Lwów (pierwotnie zwana koleją Karola Ludwika) oraz góciniec lwowsko-przemyski.

Kościół rzym.kat. nieczynny, zrujnowany. Parafia gr.kat. znajdowała się w Wolczuchach, w wsi cerkiew filialna.

Historia. Za czasów I Rzeczypospolitej Rodatycze wchodziły w skład królewskich starostwa gródeckiego. Majątek zarządzany był przez wójtów, którym kolejni królowie dawali go w dzierżawę. Po I rozbiore dobra królewskie przeszły na własność rządu austriackiego, który w 1824 r. odsprzedał Rodatycze Janowi Machanowi. W 1881 r. wystawioną na licytację wieś zakupiła m. Antonina Mirska, pochodząca ze zubożałej księżęcej rodziny, założycielka Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej, które swą główną siedzibę miało we Lwowie. M. Mirska ze środków zgromadzenia wybudowała w Rodatyczach murywany kościół parafialny oraz

POLACY Z POLAKAMI

KARTA POLAKA DLA RODAKÓW NA WSCHODZIE

Polacy zamieszkali na terenach byłego Związku Radzieckiego będą mogli otrzymać poświadczenie przynależności do narodu polskiego. Karta Polaka ułatwi im kontakty z ojczyzną.

W piątek [7 IX '07] Sejm przyjął ustawę – Kartę Polaka. Osobom deklarującym polską narodowość, mieszkającym w państwach powstałych na obszarze dawnego ZSRR, umożliwi ona m.in. wielokrotne przekraczanie granicy, kształcenie w polskich szkołach i na uczelniach, ułatwi uzyskiwanie stypendiów. Da też prawo do zwolnienia z opłaty za wizę pobytową lub do jej refundacji, pozwoli korzystać z ulgowych biletów kolejowych w Polsce.

Sejm przyjął poprawkę do rządowego projektu, która rozszerza uprawnienia wynikające z Karty o prawo do podejmowania pracy i prowadzenia działalności gospodarczej na terenie Polski. Odrzucił natomiast poprawkę PO, aby Karta Polaka objęła nie tylko Polonię żyjącą na Wschodzie, ale na całym świecie.

Kartę można przyznać osobie, która nie posiada obywatelstwa polskiego ani zezwolenia na osiedlenie się w Polsce. Musi wykazać się m.in. co najmniej bierną znajomością języka polskiego i w obecności konsula złożyć pisemną deklarację przynależności do narodu polskiego. Powinna też wskazać, że co najmniej jedno z jej rodziców lub dziadków albo dwoje pradiadków było narodowości polskiej lub posiadało polskie obywatelstwo albo dowieść swojej działalności na rzecz kultury polskiej lub polskiej mniejszości.

Karta, wydawana przez konsula, będzie ważna przez dziesięć lat z możliwością przedłużenia jej na wniosek zainteresowanego.

Powyższy tekst przepisaliśmy z „Rzeczypolitej” 210/07.

W Krakowie i dalej

Anna Madej

XXI ZJAZD TARNOPOLAN

Podczas XX Zjazdu Tarnopolan w Zakopanem, zorganizowanym przez krakowski Klub Tarnopolan, postanowiono, że kolejny zjazd odbędzie się w Żarach, na Ziemi Lubuskiej. Od kilku lat docierały do nas wiadomości o młodym (bo powstałym w roku 2003), ale prężnie działającym przy Kresowym Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym im. Orłąt Lwowskich w Żarach Klubie Tarnopolan. Z wielką więc ciekawością siedmioosobowa grupa tarnopolan krakowskich 12 czerwca '07 wyruszyła do Żar.

Żary to miasto liczące ok. 40 tysięcy mieszkańców, głównie przesiedleńców i ich potomków z Kresów Wschodnich.

Żary leżą na pograniczu Niziny Śląskiej i Niziny Wielkopolskiej, pomiędzy dwoma dopływami Odry: Bobrem i Nysą Łużycką, i są największym miastem w polskiej części Łużyc. W tym roku Żary obchodziły tysiąclecie istnienia. Pierwsza wzmianka o tym mieście pochodzi z 1007 roku z kroniki Thietmara.

Żary były osadą starostwianą. Ok. 1030 roku Mieszko II przyłączył je do Polski, ale burzliwa historia sprawiła, że często zmieniały one przynależność państwową. Do 1364 władali miastem Piastowie śląscy, potem królowie czescy, następnie elektorowie sascy. Po kongresie wiedeńskim Żary wraz z całym Dolnymi Łużycami stały się częścią Prus i później Niemiec. W 1945 roku miasto wróciło do Polski. Żary stanowią duży ośrodek przemysłu włókienniczego, odzieżowego, maszynowego i spożywczego. Pomimo zniszczeń wojennych w Żarach zachowało się wiele ciekawych zabytków architektury i średniowieczny układ urbanistyczny.

Po kolacji w hotelu odbyła się uroczna biesiada kresowa (ze wspianiałymi, chwytającymi za serce kresowymi piosenkami) i „nocne rodaków rozmowy”. Uroczyste otwarcie zjazdu miało miejsce w środę 13 czerwca w ratuszu miejskim. Przybyli przedstawiciele władz lokalnych, poczty sztandarowe, przedstawiciele Koła Sybiraków i Zarządu Głównego Stowarzyszenia Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich, władze Łużyckiej Wyższej Szkoły Humanistycznej, dyrektorzy szkół, wielu wójtów i sołtysów z okolicznych miejscowości, no i sporo młodzieży. Byli też oczywiście goście z Tarnopola – prezes Towarzystwa Kultury Polskiej prof. Henryk Stroński z grupą członków oraz ks. Andrzej Malig – proboszcz parafii tarnopolskiej wraz z trójką parafian. Spotkanie prowadził mgr Mirosław Zengiel – dyrektor II Gimnazjum w Żarach. Uczestnicy wysłuchali wielu ciekawych wystąpień, m.in. Szczepana Siekierki, obejrzeni IPN-owski film o wojennych losach Czesława Blicharskiego, znanego wszystkim tarnopolanom i wielce zasłużonego dla spraw tarnopolskich. Przedstawiono historie sztandarów uczestniczących w spotkaniu. Zapoznano uczestników z sylwetką ks. Władysława Bukowińskiego, apostoła Kazachstanu, którego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w ubiegłym roku, a którego posługa kapłańska była związana również z Podolem. Przedstawiciele poszczególnych klubów tarnopolan w Polsce zdali krótkie sprawozdania z działalności w minionym roku. W czasie spotkania odbył się też kiermasz książek, czasopism i innych publikacji o tematyce tarnopolskiej. A na zakończenie wszyscy uczestnicy zgromadzili się przed piękną bramą żarskiego ratusza, gdzie zrobiono pamiątkowe zdjęcie.

Następnym punktem programu było zwiedzanie przyszłego Domu Kultury Kresowej w Żarach. Budynek w trakcie remontu, ale już wiadomo gdzie co będzie, a będzie tam muzeum i biblioteka kresowa, magazyn darów dla Polaków na Wschodzie, sala spotkań, pomieszczenia dla licznych organizacji kresowych wspólnie w Żarach działających, a nawet mały hotelik dla gości.

O godz. 18.00 w kościele pw. św. Józefa Oblubieńca na nowym żarskim osiedlu odprawiono mszę św. za tarnopolan zmarłych od ostatniego zjazdu, a także w intencji wszystkich tarnopolan w Polsce i na świecie.

założyła we wsi szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt wiejskich i ochronkę dla dzieci. Zmarła w Rodatyczach w 1905 r., a w 1994 r. w Przemyślu rozpoczęty został jej proces beatyfikacyjny na poziomie diecezjalnym. Własnością Sióstr Opatrzności Bożej majątek pozostawał do II wojny światowej.

Parafia rzym.kat. w Rodatyczach musiała zostać założona przed 1449 r., kiedy to fundację wsi odnowił ówczesny wójt wsi wraz z braćmi. Drewniany kościół parafialny pw. WW Świętych uległ spaleni w 1689 r. i w tym samym czasie został odbudowany. W 1817 r. kościół zamknięto ze względu na niebezpieczeństwo, jakim groziły przegniłe i spróchniałe ściany. W tym samym czasie wystawiono też nowy kościół drewniany. W 1895 r. M. Mirska zdecydowała o budowie nowego murowanego kościoła (wg projektu lwowskiego architekta Alfreda Kamieniobrodzkiego), do którego ufundowała później całe wyposażenie wnętrza. W latach 1903–04 wnętrze ozdobiono polichromią, fundowaną częściowo przez m. Mirską, częściowo przez parafię. Świątynię konsekrowano w 1905 r. Kościół murowany z cegły, tynkowany, neoromański, składa się z trójprzęsłowego korpusu oraz krótkiego prezbiterium, zamkniętego apsydą; od frontu wieża na planie kwadratu z kruchtą w przyziemiu. W 1945 r., po ekspatriacji ludności, która zabrała ze sobą do Piotrkowic na Śląsku znaczną część ruchomości kościelnych, świątynię zamknięto.

Czasy obecne. W latach 1952–56 służył kolejno za magazyn zboża i chemikaliów, a następnie jako klub wiejski. Obecnie opuszczony, popada w ruinę (brak dachu, zagrożone sklepienie, ubytki murów i tynków, polichromia zachowana szczątkowo).

TRZCIENIEC

Wieś w pow. mościskim, wojew. lwowskim, położona w odległości 74 km od Lwowa i 6 km na zach. od Mościsk. Za pośrednictwem rzeczki Trzcianki włączona w dorzecze Wisły. Do 1930 r. należała do parafii rzym.kat. w Mościskach, od 1920 r. jako jej ekspozytura; od 1930 r. samodzielna parafia. Obecnie parafia z powrotem w Mościskach. Znajdował się tu przystanek na linii kolejowej Lwów–Przemyśl.

Historia. Wieś założona prawdopodobnie w 2. połowie XV w. przez Jana z Sienna i Oleska, kasztelana lwowskiego. Po jego śmierci, z podziału pozostałych po nim dóbr, dokonanego ok. 1477 r., przypadła jednemu z pięciu synów, Janowi Sienieńskiemu h. Dębno. Jako opiekun prawny osieroconej bratanicy Jadwigi, wywianował ją przy zamążpójściu za Marcina Kamienieckiego h. Pila-

Bardzo uroczystą oprawę sprawowanej Eucharystii nadał Górnicy Chór Męski KGHM „Polska Miedź” z Lubina. Wykonał on *Mszę Polską* W. Lachmana, a po mszy dał wspinały koncert pieśni kresowych. Wzruszającym i znaczącym wydarzeniem było też przekazanie na rzecz powstającego Domu Kultury Kresowej hojnych darów od JE ks. abpa Ignacego Tokarczuka – syna Ziemi Tarnopolskiej (insygnia władzy biskupiej). Także ks. Józef Chromik, rodem z Draganówki, przekazał dary dla przyszłego muzeum. Przy kościele jest pomnik Polaków Kresowych, nic dziwnego więc, że po mszy wszyscy przy nim się zebraли, składając wiązanki, zapalając znicze i modląc się za tych, którzy zginęli na Kresach i na *nie ludzkiej ziemi*. Oczywiście i w kościele, i pod pomnikiem były poczty sztandarowe. Było więc bardzo uroczyste, podniosłe i patriotycznie. I była tam też żarska młodzież!

Środa (główny dzień zjazdu) była bardzo bogata w wydarzenia. Po wspaniałej kolacji przygotowanej przez rodziców uczniów Gimnazjum nr 2 im. Aleksandra Kamińskiego, gdzie dyrektorem i komendantem Hufca jest p. Mirosław Zengiel, młodzież przedstawiła doskonały program patriotyczny o tematyce kresowej. Uczestnicy gromkimi brawami nagradzali występującą młodzież, podziwiając jej wielkie emocjonalne zaangażowanie w to, co chcieli przekazać. Nie brakowało

wśród tej młodzieży prawdziwych talentów. Było może trochę za głośno, szczególnie w już bardziej luźnej części spotkania, ale ta młodzież to przykład wychowywania na dobrych Polaków.

Czwartek był dniem wycieczkowym. Przed południem udaliśmy się do Żagania, gdzie zwiedziliśmy bardzo ciekawy zespół poaugustiański z kościołem parafialnym pw. Wniebowzięcia NMP – pod względem historycznym, jak i artystycznym stanowiący jedną z najciekawszych świątyń Dolnego Śląska. Świątynia powstała ok. 1183 r. za rządów piastowskiego księcia Bolesława I Wysokiego. W XIV wieku augustianie zbudowali tu trzynawową bazylikę, która w ciągu wieków podlegała licznym przebudowom, a po pożarze w 1730 roku otrzymała wystrój barokowy. Ze wnętrza architektura jednak, mimo przebudów, zachowała do dziś charakter gotycki. W kościele zwracają uwagę piękne stalle z 1695 r. oraz XVI-wieczny ołtarz św. Trójcy. W świątyni znajduje się także gotycki sarkofag księcia głogowsko-żagańskiego Henryka IV Wiernego. Na emporze nad zakrystią znajduje się ekspozycja muzealna, w której uwagę zwiedzających przyciąga relikwiarz św. Krystiana (cały szkielet), portrety kolejnych opatów klasztoru oraz liczne przedmioty kultu religijnego. Sam klasztor, poza celami zakonników i kapitularem, mieści również kaplicę św. Anny z gotyckimi sklepieniami oraz wspaniałą bibliotekę klasztorną z XVIII-wiecznym wystrojem. W księgozbiore biblioteki znajdują się fragment Biblii z VIII wieku oraz pozycje od XVII do XIX w. W bibliotece można także podziwiać dwa XVII-



-wieczne globusy, których używał pracujący tu słynny astronom Jan Kepler.

Po spacerze po zagańskim rynku, z pełnymi uroku renesansowymi i barokowymi kamieniczkami, obejrzelśmy jeszcze zespół pałacowy Wallensteinów i Talleyrandów wraz z otaczającym go geometrycznym zespołem parkowym. Następnie udaliśmy się do odległego o kilka kilometrów od Żagania Muzeum Stallag Luft III. Był to obóz jeniecki głównie dla oficerów i żołnierzy RAF-u. I z tego to obozu miała miejsce najsłynniejsza ucieczka podczas II wojny światowej, opowiedziana po latach (1963) w filmie Johna Sturgesa *Wielka ucieczka*, w którym zagrali m.in. Steve McQueen, Charles Bronson i Richard Attenborough. Muzeum robi ogromne wrażenie, szczególnie przedmioty codziennego użytku wykonane przez więźniów, a także rekonstrukcja tunelu wykopanego przez uczestników tej ucieczki. Niestety trzeba wspomnieć, że z 76 uciekinierów tylko trzem udało się skutecznie uciec. Siedemdziesięciu trzech schwytano, a pięćdziesięciu z nich stracono.

Po obiedzie w hotelu zawieziono nas do Jasienia. W gminie Jasień mieszkają głównie przesiedleńcy z Buczacza i okolic. Nie było więc zaskoczeniem, że spotkaliśmy się tam z iście kresową serdecznością i gościnnością. I znowu było patriotycznie i podniosłe. Zaczęło się od złożenia kwiatów pod pomnikiem Ofiar Obozu Gross-Rosen-Gassen, potem była msza św. w miejscowym kościele. A że był to czwartek w oktawę Bożego Ciała, więc przyszło bardzo dużo ludzi. Były znowu poczty sztandarowe. Młodzież przygotowała artystyczną oprawę mszy św., a trzy parafianki z wielkim zaangażowaniem odmówiły znaną nam wszystkim „Litanię Tarnopolską”. Potem była procesja wokół kościoła, podziękowania dla księży koncelebransów (jeden z nich – ksiądz emeryt-rezydent – z wielkim wzruszeniem przyznał, że była to pierwsza tak podniosła msza w Jasieniu), a potem wszyscy przeszli do Ośrodka Rekreacyjnego w Jasieniu, po drodze oczywiście rozmawiając z mieszkańcami.

Przywitały nas p. burmistrz Jasienia i przedstawicielka Kresowian z Buczacza. Przy suto zastawionych stołach zaczęła się wspaniała biesiada. Młodzież z Gimnazjum w Jasieniu przedstawiła program poetycko-patriotyczny, a zespoły śpiewacze z okolicznych miejscowości wzbogaciły to spotkanie piosenkami kresowymi i patriotycznymi. Można też było potańczyć. I znowu

wa, ofiarując jej Trzcieniec. Pod koniec życia Kamieniecki popadł w kłopoty majątkowe przez splatę rodzinnych długów. Sprzedał wtedy wsie należące do jego dóbr, w tym Trzcieniec, który przez sto lat często zmieniał właścicieli. Ok. połowy XVII w. wieś należała do Rafała Grochowskiego h. Junosza, kasztelana lwowskiego, a później do jego syna Stanisława. Z siostrą Stanisława, Aleksandrą, która była żoną Franciszka Dzierżka h. Nieczuja, przeszła do rodziny Dzierżków. W XIX i XX w. majątek znajdował się w rękach Youngów de Lenie.

Zabytki. Kaplica dworska, a zarazem grobowiec rodzinny, w stylu neogotyckim, zbudowana w 1889 r. przez Władysława Youngę i jego żonę Wandę ze Smarzewskich. Kościół parafialny pw. św. Józefa, wystawiony w latach 1924–28 wg projektu Stanisława Majerskiego, ufundowany przez Adama Youngę oraz Teodora Kozeka, właściciela sąsiedniej Lackiej Woli, przy pomocy rządu polskiego, konsekrowany w 1936 r. Budowla neogotycka, murowana z cegły na kamiennym cokole, tynkowana. Założona na rzucie krzyża, z prezbiterium i ramionami transeptu zamkniętymi trójbocznie. Nawa poprzedzona wieżą na rzucie kwadratu, przechodząca w ośmiobok, z kruchtą w przyziumiu.

Stan obecny. Kościół czynny do 1957 r. (z przerwą w latach 1950–55), po ekspatriacji ludności polskiej ostatecznie zamknięty i zamieniony na magazyn chemikaliów, które spowodowały znaczne uszkodzenie murów. Zwrocony wiernym w 1989 r., poddany remontowi. Ksiądz-administrator obsługuje zarazem kaplicę na cmentarzu w Trzcieńcu i kościół w Balicach.

ŻÓŁTAŃCE

Wieś w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, położona w odległości 35 km na płn.wsch. od Lwowa, a 21 km. na płd.wsch. od Żółki, przy linii kolejowej Lwów–Kamionka Strumiłowa. Leżą nad rzeczką Żółtaniec, dopływem Bugu, u stóp wzgórza zwanego Łysą Górą (278 m n.p.m.). Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Po raz pierwszy nazwa miejscowości występuje w 1358 r., kiedy to Kazimierz Wielki nadał wieś Dzierżkowi Cyczkowi. W następnym należała już do dóbr dziedzicznych rodziny Kolów (vel Kołów) z Dalejowa h. Junosza. W 1530 r. bracia Mikołaj i Jan Kolowie uzyskali od króla Zygmunta Starego przywilej na założenie miasta na terenie rodowej wsi Żółtańce. Po śmierci Jana Koli (1543) właścicielką majątku została jego córka Anna wraz ze swym mężem, Janem Mieleckim h. Gryf, wojewodą podolskim. W 1615 r. Żółtańce należały do rodziny Kurzańskich, a w połowie

było widać wielkie zaangażowanie. I znowu było tu bardzo dużo młodych ludzi! Biesiada trwałaby jeszcze dłużej, ale przegnały nas... komary.

I tak nadszedł ostatni dzień – czas podsumowania Zjazdu. Chyba nie było nikogo, kto nie przyznałby, że Zjazd był świetnie zorganizowany. Organizatorzy „stanęli na głowie”, żeby wszystko grało. Bardzo wielu ludzi zaangażowało się całym sercem, żeby uczestnicy nie tylko mile spędzili czas, ale żeby poznali historię tego zakątka Polski, który też jest przecież Ziemią Kresową, tyle że zachodnią. I żeby zobaczyli, co przesiedleńcy „zza Buga” robią, żeby pamięć o Kresach Wschodnich nie zaginęła. Widać było, że jest to społeczeństwo zintegrowane, aktywne czynem, a nie tylko słowem. Jest więc nadzieja, że młodzi przejmą pałeczkę i zrobią wszystko, żeby kultywować pamięć o ziemiach „skąd nasz ród”. Podczas tego

spotkania ustalono też treść Uchwały Programowej XXI Zjazdu Tarnopolan, która ma być przekazana władzom, instytucjom i organizacjom kresowym, jak też autorytetom moralnym oraz mediom.

Dla piszącej te słowa był to zjazd bardzo inny niż dotychczasowe. Środowiska kresowe w różnych rejonach Polski narzekają, że nie są w stanie „zarazić” miłością do Kresów swoich własnych dzieci i wnuków i że Kresy umrą razem z pokoleniem, które musiało je opuścić. To, co robiam w Żarach, temu zaprzecza. Niestety, następny Zjazd Tarnopolan wróci do starej formuły spotkania towarzyskiego, bo taka była wola pozostałej do końca grupy uczestników, dla których wyprawa do Żar była bardzo uciążliwym przedsięwzięciem (nie dziwimy się, bo z wiekiem jest przecież coraz trudniej). Następny Zjazd odbędzie się w Ustroniu Śl., a zorganizuje go Klub z Opola.

NASZE ULICE W KRAKOWIE

Już parokrotnie informowaliśmy o nowych nazwach ulic i bulwarów w Krakowie, związanych z historią, kulturą i ludźmi Ziemi Południowo-Wschodnich. Obecnie – w związku z nieustanną rozbudową miasta – władze Krakowa przygotowały kolejne nazwy dla nowych (lub przedłużanych) ulic na terenie miasta, a wśród kilkunastu znaleźliśmy i takie:

- imię poety **Tadeusza Śliwiaka** (patrz CL 3/96) będzie nosić przedłużenie ciągu ulic w dzielnicy Prokocim-Bieżanów;

- nazwę prof. **Henryka Arctowskiego** otrzyma przedłużenie istniejącej już ulicy **Stanisława Lema**;

- ulica płk. **Ludwika Iwaszki** (patrz CL 2/07) to przedłużenie ul. Strzelców na Czerwonym Prądniku;

- gen. **Stanisław Sosabowski** będzie patronował ulicy na Prądniku Białym.

Notatki

◆ W Krakowie uczczono **140-lecie urodzin i 50. rocznicę śmierci generała Bernarda Monda**, odsłaniając tablicę Jego pamięci

na murze stadionu WKS „Wawel” przy ul. Podchorążych.

Generał Bernard Stanisław Mond urodził się w 1887 r. w Stanisławowie. Ukończył gimnazjum w Brodach, studiował prawo na UJK we Lwowie, ukończył Centrum Wyższych Studiów Wojskowych w 1931 r. Rok później został generałem brygady WP.

W listopadzie 1918 r. był dowódcą odcinka „Cytadela” w Obronie Lwowa, w 1920 r. walczył z bolszewikami, ranny pod Kijowem, w 1921 r. dowodził obroną Wilna. W okresie międzywojennym był dowódcą pułków w Kołomyi i Krakowie. W kampanii wrześniowej 1939 r. był dowódcą 6 DP Armii Kraków. Dostał się do niewoli niemieckiej, a w 1946 r. wrócił do kraju. Pierwotnie pracował jako



Tablica pamiątkowa gen. Bernarda Monda w Krakowie na murze KS Wawel przy ul. Podchorążych

dyrektor w „Orbisie”, ale od 1949 r. już tylko jako magazynier materiałów budowlanych – innego stanowiska przedwojenny generał i bohater dwóch wojen nie mógł w PRL piastować.

Gen. Mond jako wybitny krzewiciel sportu był m.in. prezesem „Wawelu” w Krakowie i prezesem KOZPN*.

Odnaczony *Virtuti Militari*, czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżami Obrony Lwowa oraz Wilna.

Tak się złożyło, że w „Dzienniku Polskim” z 6 VII '07 ukazała się rozmowa z prof. Alexandrą Viatteau, politologiem z Centre Geopolitique w Paryżu, znawczynią historii XX-wiecznej Polski (rozmawiał Włodzimierz Knap). Profesor Viatteau jest... wnuczką generała Monda.

* Krakowski Oddział Związku Piłki Nożnej.

◆ W połowie roku przeszła przez prasę kolejna seria artykułów o dość dwuznacznej działalności adwokata krakowskiego Jana Widackiego. W „Dzienniku Polskim” z 29 VI i 6 VII znalazły się najpierw rozmowa z Widackim, w której usiłował zanegować stawiane mu zarzuty o współpracy z UB w sprawach działaczy „Solidarności”, a następnie obszerny artykuł dwóch młodych historyków z Krakowa: H. Głębockiego (UJ) i Jarosława Szcacha (IPN), którzy przedstawiają dokumenty niedwuznacznie obciążające Widackiego.

Piszemy o tym dlatego, że Widacki dał się także poznać jako nieukrywający swego nieżyczliwego (można powiedzieć – wrogiego) stosunku do ekspatriantów ze Wschodu i ich problemów. Pisaliśmy o tym w CL. A po co go o to pytano?

Przypomnijmy na koniec, że Widacki odznaczył się nie tylko jako gorliwy obrońca ubeków, ale także, przed laty (za czasów rządu Mazowieckiego!), jako ambasador na Litwie, gdzie pozyskał jak najgorszą sławę w relacjach wobec żyjących tam Polaków.

Na marginesie: od lat – redagując nasz kwartalnik – zapoznajemy się (z konieczności) z wiadomościami i materiałami o różnych ludziach, którzy nas otaczają. Zauważyliśmy, że ludzie nieżyczliwi Polakom i polskości na Wschodzie prędzej czy później okazują swoją antypolską postawę w ogóle, do podłości włącznie. Okazuje się, że nie da się tych postaw rozdzielić.

◆ Wśród osób, które uhonorowano ostatnio (lipiec '07) odznaczeniami państwowymi,

stulecia już do Teofili z Daniłowiczów Sobieskiej, po której odziedziczył je król Jan III, a po nim kolejno jego synowie, Konstanty i Jakub. W 1740 r. Maria Karolina z Sobieskich księżna de Bouillon sprzedała posiadłość rodzinne księciu Michałowi Kazimierzowi Radziwiłłowi „Rybeńce”. Kryzys majątkowy Radziwiłłów spowodował w 2. połowie stulecia wystawienie ich dóbr na licytację; w 1787 r. sprzedane zostały Żółtańce. Około r. 1800 wieś należała do Piotra Branickiego, od którego odkupili ją lwowscy dominikanie. W ich rękę pozostawała do 1932 r., kiedy to zakon zamienił ją na inne dobra z niejakim Łempkowskim. Nowy właściciel przeprowadził parcelację gruntów.

Parafia rzym.kat. istnieć miała już pod koniec XIV w. (przed 1397 r.). W r. 1900 stał jeszcze drewniany kościół parafialny (drugi lub trzeci z kolei), wybudowany około r. 1640. Na przełomie XIX/XX w. zbudowano nowy, murowany kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NPM, konsekrowany w 1907 r.

Czasy obecne. Po II wojnie światowej budynek kościelny zamieniono na magazyn zboża, a w 1967 r. rozebrano, zużywając gruz przy budowie drogi. Około 1976 r. na miejscu kościoła postawiono remizę strażacką.

Teksty opracowała MariaTaszycka

znalazła się Krystyna Stafińska, prezes Koła Stanisławowian przy Oddziale Krakowskim TMLiKPW. **K. Stafińska otrzymała Złoty Krzyż Zasługi**, który odebrała z rąk Wojewody Małopolskiego.

W uzasadnieniu podkreślono wieloletnie przewodniczenie Kołu Stanisławowian przy TMLiKPW, integrowanie społeczności stanisławowskiej poprzez regularne spotkania, zjazdy i wyjazdy na Ziemię Rodziną, inicjatywę pomocy i współpracy z Rodakami w Stanisławowie. Jej szczególną zasługą jest zrealizowana już inicjatywa stworzenia cmentarza w Czarnym Lesie – miejscu kaźni inteligencji stanisławowskiej.

Nie zapomniano o uczestnictwie K. Stafińskiej w redagowaniu kwartalnika „Cracovia–Lwopolis”.

Serdeczne gratulacje Koleżance Krystynie składa Zarząd OK TMLiKPW oraz Redakcja CL.

◆ W połowie września odbyły się w **Poznaniu już X Dni Lwowa**, urządzane corocznie przez tamtejszy oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Odbyło się szereg ciekawych imprez: wykłady, wieczór poetycko-

muzyczny, występy artystyczne (m.in. „Paka Rycha” z Bytomia), wystawy filatelistyczna (prof. W. Alexiewicz) i fotograficzna (F. Sikorskiego), tradycyjna Biesiada Kresowa na Zamku oraz Piknik Lwowski na poznańskim Rynku. Jak zwykle doskonała organizacja i świetna atmosfera, pozazdrościć.

W czasie Dni Lwowa Zarząd Główny TMLiKPW odbył w Poznaniu swoje kolejne posiedzenie. Zaproszono Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci WiM, Andrzeja Przewoźnika, który zrelacjonował prowadzone i zamierzone (uzgodnione) prace za wschodnią granicą.

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci 9 października '07 w wieku 89 lat **księdza pralata Zdzisława Peszkowskiego, kapelana Rodzin Katyńskich.**

Zasługi ks. Peszkowskiego trudno przecenić. Przez lata upominał się o prawdę o Katyniu. Dzięki Jego staraniom udało się doprowadzić do końca budowę cmentarzy w miejscach pochówku polskich ofiar sowieckiej zbrodni ludobójstwa w Katyniu, Miednoje i Charkowie.

Sam, jako ówczynie oficer WP (jeszcze nie duchowny), pojmany przez NKWD, cudem uniknął śmierci. Dlatego całe swoje długie dalsze życie, już jako ksiądz, poświęcił walce o prawdę i pamięć o ofiarach oraz opiece nad rodzinami pomordowanych.

Cześć Jego pamięci!



W

ciągu tegorocznego lata zmarło w Krakowie dwóch wybitnych Lwowian, naukowców, autorów dzieł niezwykle ważnych dla dziejów lwowskiej kultury i nauki. Obaj byli w wieku sędziwym, poza rodzinnym miastem spędzili ponad 60 lat, a jednak przez dziesięciolecia, poza codzienną pracą zawodową oraz w latach emerytury, znajdowali chęć, siły i czas na badania i twórczą pracę w dziedzinach, które ich pasjonowały, do



ZBYSŁAW POPŁAWSKI 1912–2007

W Krakowie 1 sierpnia zmarł w 95. roku życia doc. dr hab. inż. Zbysław Popławski, Lwowianin urodzeniem i sercem. Absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej, związał się po ekspatriacji z krakowską AGH jako pracownik naukowy i dydaktyczny, autor wielu prac naukowych i skryptów ze swojej dziedziny, członek licznych stowarzyszeń naukowo-technicznych.

Najważniejszym jednak dziełem Z. Popławskiego jest pionierska monografia *Dzieje Politechniki Lwowskiej 1844–1945*, wydana w r. 1992, a także *Wykaz pracowników naukowych Politechniki Lwowskiej w latach 1844–1945*, (wyd. 1994). Również w innej monografii Politechniki Lwowskiej – pracy zbiorowej wydanej we Wrocławiu (1993) – Z. Popławski miał swój poważny udział.

TADEUSZ KRZYŻEWSKI 1911–2007

W Krakowie 3 września zmarł nagle w wieku 96 lat dr Tadeusz Krzyżewski, znakomity Lwowianin i duchowy obrońca Lwowa, jego polskości i kultury. W ostatnim okresie swego bogatego i owocnego życia sam przygotował treść nekrologu, w którym zawarł najważniejsze fakty i dokonania własnego życia. Jego przedruk z kilku gazet krakowskich najlepiej pokaże, kim był Zmarły.



dr n. hum. TADEUSZ KRZYŻEWSKI
Starszy dyplomowany kustosz biblioteki
Politechniki Krakowskiej.
Absolwent Wyższej Szkoły Handlu
Zagranicznego we Lwowie.
Absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej we Lwowie.
Magister Akademii Ekonomicznej w Krakowie.
Urodzony w 1911 roku we Lwowie.
Ostatni członek Zarządu
Królewskiego Stołecznego Miasta Lwowa
1936–1939.
Kierownik komórki wywiadu AK w Zarządzie
Lwowa
pod okupacją sowiecką 1941–1944.
Więziony w stalinowskim kryminale.
Wykładowca szkół wyższych, odznaczony
Złotym Krzyżem Zasługi za pracę pedagogiczną.
Autor 10 książek fachowych oraz artykułów
o Lwowie
w kraju i w wydawnictwach Koła Lwowian
w Londynie.
Jedyny w Polsce członek amerykańskiego
towarzystwa reklamy AAA.
Wykładowca nauki o reklamie,
odznaczony Złotym Orłem Reklamy.
Członek Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich.
Najlepszy Mąż i Ojciec, wierzył w Boga
i w niezłomny Lwów.

Przypomnijmy, że ostatnią książką, jaką wydał Tadeusz Krzyżewski, była *Księga humoru lwowskiego. Teoria, dzieje i antologia humorystyki lwowskiej z lat 1800–1944*. (Agencja Wyd.-Inf. „Iwar” (Warszawa 1995).

TABLICE PAMIĄTKOWE W KRAKOWIE



Tablica na gmachu dawnej Podchorążówki (z czasów austriackich i międzywojennych; obecnie siedziba Wydziału Architektury PK) przy ul. Podchorążych na Łobzowie. Czasowo mieścił się tu Korpus Kadetów, który po zakończeniu działań wojennych w Małopolsce Wschodniej powrócił do Lwowa w 1921 r.



Tablica na dawnych koszarach (z czasów austriackich, międzywojennych i wczesnych powojennych, obecnie siedziba Biblioteki Wojewódzkiej) przy ul. Rajskiej w śródmieściu Krakowa. Z tego gmachu w 1918 r. wyruszyły oddziały WP na odsiecz Obrońcom Lwowa i Małopolski Wschodniej przed Ukraińcami (czego na tablicy nie podano).

KULTURA NAUKA

UŚMIECH TERESY DUTKIEWICZ

Jedna z czołowych (a może po prostu – czołowa) działaczka polskiej kultury Lwowa i Małopolski Wschodniej, Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz, otrzymała Order Uśmiechu. Uroczystość odbyła się z końcem maja w Borysławiu, ponieważ to z inicjatywy tamtejszego polskiego środowiska – które wystąpiło z wnioskiem w imieniu dzieci Borysławia do Kapituły Orderu Uśmiechu w Warszawie – piękne odznaczenie zostało Pani Teresie przyznane. Dobrze nam znana i zaprzyjaźniona z naszym piśmem Teresa Dutkiewicz jest członkiem Zarządu Federacji Organizacji Polskich nU, redaktorem Biuletynu FOP, ale przede wszystkim animuje i opracowuje kolejne zbiory wierszy polskich autorów – ostatnio wydała gruby tom *My, ludzie Lwowa*, omawiany w CL 3/07.

Tereso! Nasze serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów na wszystkich polach, na których ofiaracie i z powodzeniem pracujesz!

TĘCZOWA JUBILATKA

Działający przy polskiej Szkole Średniej nr 24 im. Marii Konopnickiej we Lwowie Szkolny Zespół Folklorystyczny „Tęczą” obchodzi swoje XV-lecie.

Zespół założyła w 1992 r. p. B. Baczyńska, pierwszą generacją opiekowała się przez 7 lat p. K. Fedorowska, drugą p. I. Kresowicz, trzecią znowu p. K. Fedorowska oraz p. W. Leśna, a obecnie A. Mielnik. Najmłodsza generacja powstała w r. 2000, a małymi tancerzami opiekuje się p. W. Apriłaszewi.

Zespół występuje najczęściej przy różnych okazjach oczywiście we Lwowie, ale też często wyjeżdża. Był w Warszawie, Krakowie, Rzeszowie, Szczecinie i jeszcze innych miastach RP. W Bydgoszczy brał udział w warsztatach artystycznych. Zespół współpracuje m.in. z Centrum Młodzieży im. Jordana w Krakowie i jego dyrektorem dr. A. Weysenhoffem.

Z okazji pięknej rocznicy składamy Członkom i Opiekunom Zespołu, a także Dyrekcji Szkoły i jej Gronu Nauczycielskiemu – gratulacje i serdeczne życzenia dalszych sukcesów i podróży.

Maksymilian Jamnicki

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Książka, o której niżej mowa, wpisuje się w coraz bogatszą serię prac o Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Niedawno (CL 3/07) pisaliśmy o dziejach uczelni z lat ostatnich – międzywojennych i wojennych (1918–1946), spisanych przez prof. J. Drausa, nieco dawniej (CL 4/03) omawialiśmy pierwszą z serii monografii poszczególnych

fakultetów UJK – ks. prof. J. Wołczańskiego o Wydziale Teologicznym.

Teraz dostaliśmy książkę **Adama Redzika: Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1939–1946** (wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2006). Książka ta wpisuje się niejako w obie wspomniane serie, bo z jednej strony wzbogaca temat książki prof. Drausa na czasowym odcinku II wojny, z drugiej strony tworzy kolejne, choć częściowe, omówienie następnego fakultetu UJK – Wydziału Prawa.

O ile książka prof. Drausa stanowi dostępną dla szeregowego czytelnika opowieść o dziejach całego Uniwersytetu lwowskiego, a punkt ciężkości kładzie w dużej mierze na omówieniu zyciorysów i trudnych losów wojennych i powojennych jego profesorów,



o tyle książka A. Redzika – dotycząca tylko jednego wydziału – stanowi bardzo pogłębiony owoc żmudnych badań mało dotąd znanych lub całkiem nieznanymi dokumentów, przechowywanych zarówno w RP, jak i za obecną wschodnią granicą, a także licznych opracowań, relacji i pamiętników z czasów współczesnych. Tym

samym przeznaczona jest raczej dla specjalistów i osób szczególnie zainteresowanych dziejami Lwowa i jego kultury.

Opracowany przez A. Redzika okres II wojny składa się z paru nierównych czasowo i jakościowo faz i etapów, a to:

- końcowa faza międzywojennej działalności UJK – do czasu zajęcia Lwowa przez sowietów we wrześniu 1939 i przekształcenie charakteru uczelni (październik–grudzień '39);
- etap merytorycznej i organizacyjnej rusyfikacji uniwersytetu w czasie I okupacji sowieckiej (1940 – do połowy 1941);
- kospiracyjny etap działania fakultetów w czasie okupacji niemieckiej (połowa 1941 – połowa 1944);
- faza rewitalizacji wydziałów w warunkach II okupacji sowiecko-ukraińskiej, zakończona ostateczną likwidacją polskość uniwersytetu i zachodnioeuropejskiego charakteru wydziału prawa oraz ekspatriacją większości polskiej kadry naukowej (1945, 1946).

Dla każdego z etapów autor kreśli bogato potraktowane tło: informacje ogólne i polityczno-społeczne, dane o strukturze, organizacji i dydaktyce, o programach naukowych, o organizacjach studenckich, bibliotekach, administracji itd. Znajdujemy informacje o kadrze naukowej, o prześladowaniach i eksterminacji, wreszcie o ekspatriacji. Autor poruszył więc ogromną ilość wątków, do których ustosunkowuje się niezwykle rzetelnie i dogłębnie.

📖 Problem dziedzictwa zabranych Ziemi Wschodnich staje się coraz żywszy w naszym społeczeństwie, także w części kręgów młodszych. 17 września br. usłyszeliśmy w TV, że 51% Polaków nadal uważa Zie-

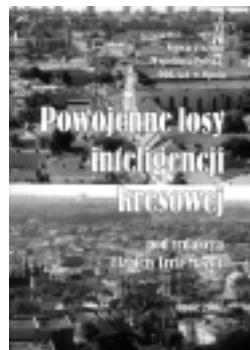
mie Utracone jako polskie. Ogrom problematyki związany z historią, kulturą i ludźmi tamtych Ziemi spowodował nasze starania o utworzenie w Polsce stosownego instytutu i – pomimo chwilowej stagnacji – wierzymy, że placówka taka powstanie.

Póki co, z satysfakcją witamy organizowanie sesji oraz wydawanie książek, które świadczą o zaangażowaniu się licznych instytucji (uczelni, instytutów, stowarzyszeń), historyków i innych ludzi kultury przedmiotową problematyką, by zgłębić prawdę i przybliżyć ją społeczeństwu. Właśnie całkiem ostatnio otrzymaliśmy ze Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Opolu (serdecznie dziękujemy!) niezwykle ciekawą książkę pt. **Powojenne losy inteligencji kresowej**, zawierającą materiały z konferencji naukowej, która odbyła się w Opolu w listopadzie 2005 r. (Wydawnictwo Instytut Śląski, Opole 2007). Redaktorem pracy zbiorowej jest **EIżbieta Trela-Mazur**.

„Wspólnota Polska” zaprosiła na swoją konferencję 16 osób – historyków, publicystów, literatów, a także innych specjalistów, związanych z tematami zawodowo lub pozazawodowo; ludzi zamieszkałych zarówno w RP, jak i za wschodnią granicą.

Dzięki takiemu doborowi autorów otrzymaliśmy niezwykle różnorodny zestaw tematyczny, dotyczący tak Ziemi Zabranych, jak i Opolszczyzny, gdzie osiadła rzesza ekspatriantów, budując tam (z konieczności!) polskie życie. Wśród tematów „kresowych” występują artykuły dotyczące wszystkich regionów, od Wileńszczyzny, przez Grodzieńszczyznę, Polesie i Wołyń, po Małopolskę Wschodnią. Pisze jeden z autorów (A. Wierciński):

[...] *Polska przesunięta o 200–300 kilometrów na zachód stawała się, o paradoksie, mniej zachodnia niż postjagiellońska Polska przedwojenna. Tamta z egzotycznym Polesiem i z Huculszczyzną. I ze Lwowem. A z tamtego miasta było wtedy bliżej do Europy niż z przedwojennego Wrocławia (Breslau) i powojennego. Paradoksy historii. Paradoksy geografii. I geopolityki. [...]* Oraz cytat ze Stanisława Vincenza: ...



I Lwów nie jest w przestrzeni, gdzie z tamtej strony Sanu, ani nie ogranicza się do okresu lat przedwojennych, czy innych. Lwów to zamiar, obietnica i możliwość. I po co się ich wypierać?...

Lwowowi i Małopolsce Wschodniej poświęcili w części swoje artykuły: A. Wierciński (*O zapomnianym dziedzictwie kresowym*), A. Hlebowicz (*Duchowieństwo polskie za wschodnią granicą po 1945 r.*), H. Stroński (*Między patriotyzmem a konformizmem. Z historii losów inteligencji polskiej na Ukrainie po II wojnie światowej*); w całości: S. Czerkas (*Kultura polska we Lwowie po 1945 r.*) oraz P. Harupa (*Stanisław Adamski – działacz polski we Lwowie*).

Z punktu widzenia Opolszczyzny o spuściźnie lwowskiej piszą: E. Dworzak (*Rozmieszczenie ludności kresowej na terenie województwa opolskiego*), ks. A. Hanič (*Duchowieństwo z Kresów Wschodnich na Śląsku Opolskim po II wojnie światowej*), J. Hickiewicz (*Profesorowie Oddziału Elektrotechnicznego Politechniki Lwowskiej w powojennej Polsce*), A. Guzik (*Udział Kresowian w powstaniu i rozwoju Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu*), E. Trela-Mazur (*Wkład Kresowian w rozwój Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu*), J. Duda (*Pionierzy oświaty z Kresów Wschodnich na Śląsku Opolskim*), A. Wolny (*Wkład Kresowian w tworzenie środowiska teatralnego w Opolu*).

Cieszymy się, że opolska „Wspólnota” stanęła w rzędzie tych wspaniałych instytucji, które – jak bliskie nam Muzeum Niepodległości w Warszawie, krakowska Akademia Pedagogiczna, Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, Instytut Historii Sztuki UJ czy jeszcze sporo innych – pogłębiają i popularyzują naszą wiedzę o wielkiej spuściźnie historii i kultury Ziemi Wschodnich.

* Nie lubimy określać kresy, kresowy w odniesieniu do Ziemi Wschodnich II RP. Kresy były na dalekiej Ukrainie. Niestety określenia te przyjęły się powszechnie, a co gorsza – przekraczają już jałtański kordon.

📖 Świeżo wydana książka o genialnym matematyku Stefanie Banachu jest nieporównywalna z żadnym innym opracowaniem biograficznym, jakie znamy. Książkę – zbiór materiałów o życiu i twórczości naukowej matematyka – zatytułowaną **Stefan Banach. Niezwykłe życie i genialna matematyka** zredagowali **Emilia Jakimowicz** i **Adam**

Miranowicz, a wydały wydawnictwa naukowe dwóch Uniwersytetów, Gdańskiego i Poznańskiego, Gdańsk-Poznań 2007. Zawartość tekstowa i ilustracyjna jest różnorodna – jest to opowieść o rodzinie wielkiego uczonego i koleje jego życia, ale przede wszystkim jego naukowa droga do sławy. Załączono szereg wspomnień krewnych, współpracowników i uczniów, listy*.

Osobny rozdział traktuje o *genialnej matematyce* S. Banacha i o *polskiej szkole matematyki*** , której był czołowym współtwórcą i uczestnikiem. Dwóch autorów opisuje legendarną Kawiarnię Szkołą we Lwowie i słynną Księżę Szkołą, gdzie zapisywano zadawane tematy i ich rozwiązania (w książce pokazano jako ilustrację kilka odbitek stron Księgi).

Nb. okazuje się, że oryginał tego legendarnego zeszytu nie jest wcale w USA, jak dotąd słyszeliśmy (znalazły się tam sporządzone zawczasu kopie), lecz jest w posiadaniu rodziny w Polsce.

Mimo sporej porcji matematyki nawet laik przeczyta tę książkę z ogromnym zainteresowaniem.

Trzeba na koniec powiedzieć, że jakkolwiek Stefan Banach był z urodzenia krakowianinem, a za przodków miał górali – był przywiązany do Lwowa, utożsamiał się z nim, więcej – kochał to miasto (opowiada o tym prof. W. Szybalski – za Niemców razem karmili wszy u Weigla; od II wojny mieszka w USA). Po powrotnym wejściu sowiektów do Lwowa Banach nie wyjechał, był ciężko chory na raka płuc. Zmarł 31 sierpnia 1945, został pochowany w grobowcu rodziny Riedlów, w których domu przy ul. Dwernickiego dotąd mieszkał.

I jeszcze jeden – pogodniejszy – szczegół z życia Stefana Banacha (wspomnienie ks. prof. Andrzeja Turowicza):

Banach nie tylko nie skończył studiów, ale i doktorem został w sposób dość niezwykły. Gdy rozpoczął pracę we Lwowie, był już autorem wielu doniosłych rezultatów i wciąż uzyskiwał kolejne. Jednak na uwagi, że powinien wkrótce przedstawić pracę doktorską



odpowiadał, że ma jeszcze czas i może wymslić coś lepszego niż to, co osiągnął do tej pory. W końcu więc zwierzchnicy Banacha zniecierpliwili się. Ktoś spisał najnowsze rezultaty jego pracy, co zostało uznane za znakomitą pracę doktorską. Przepisy jednak wymagały również egzaminu. Pewnego dnia zaczęto Banacha na korytarzu Uniwersytetu Jana Kazimierza: „Czy mógłby Pan wpaść do dziekanatu, są tam jacyś ludzie, którzy mają pewne problemy matematyczne, a Pan na pewno potrafi im wszystko wyjaśnić”. Banach udał się zatem do wskazanego pokoju i chętnie odpowiedział na wszystkie pytania, nieświadom tego, że właśnie zdaje egzamin doktorski przed komisją specjalnie w tym celu przybyłą z Warszawy. Dziś prawdopodobnie doktoratu w ten sposób uzyskać nie można...

* Teksty m.in. profesorów A. Alexiewicza, R. Riedla, W. Szybalskiego, wypowiedzi H. Steinhauza, S. Ulama.

** Była to w istocie lwowska szkoła matematyki, do której dołączyła warszawska, tworząc wspólnie polską szkołę matematyki.

📖 Do tematyki polskich dziejów na „nie-ludzkiej ziemi” nawiązuje książka **Andrzeja Kalinina** pt. **I Bóg o nas zapomniał** (wyd. ARCANA Kraków 2006).

Jest to spisana przez autora A. Kalinina autentyczna relacja Antoniego Tuchoskiego, starszego strzelca WP, o jego dziejach po 17 września 1939 roku.

Książce nadana jest forma opowiadania bohatera A. Tuchoskiego w pierwszej osobie słuchaczowi, którym jest autor książki. Cechą niezwykłą i ujmującą jest piękny, kresowy język z charakterystyczną wymową i rusycyzmami. Oto fragment wstępu: *I tak panu dzisiaj opowiadać zamiarui o wszystkim, co w pamięci mojej zachowane zostało. [...] Tyle lat już przeszło, tyle życia przewalilo si, a one [obrazy] [...] ciągle w człowieku siedzą. Więc o nich, obrazach tych, opowiadać panu zamiarui. O tym tylko, co widzieli oczy moi i uszy moi słyszeli i nic poza tym. I to wystarczy.* Rzeczywiście ilość wiadomości o życiu w niewoli w Związku Sowieckim wystarczy, aby wstrząsnąć czytelnikiem.

Książka składa się z czterech obszernych rozdziałów, czyli czterech obrazów przedstawiających chronologicznie dzieje

bohatera. Dzieje były takie, że aż dziw bierze na wytrzymałość jednego człowieka – starszego strzelca pochodzącego ze wsi kresowej. Obserwatorem był bystry. Mimo że relacjonuje niby bez emocji, ujawnia straszliwe wydarzenia i absurdy władzy sowieckiej. Natomiast jeśli udało się dostrzec w kimś prawdziwe człowieczeństwo, z radością to także relacjonuje. Mimo tego, że przeżył kłeskę wrześniową, pójście do niewoli, łagry, zsyłkę do Kazachstanu, głód, ciężką pracę, chorobę na granicy śmierci, zachował zasady moralne wyniesione ze swego środowiska i serce zdolne do kochania.

Podsumowaniem są ostatnie zdania książki: *Tamuj, gdzie ja był, przez osiem lat mordowano na wszystkie sposoby, za pomocą głodu, mrozu, tortur okrutnych, kuli w tył głowy, pracy katorżniczej, na łądzi, wodzi, bagnach, śniegach. Boże drogi, aż spamiętać nie można. Nawet szatan tyle okrutności wymyślić by nie potrafił.*

Książka przez swą autentyczność i formę językową zdecydowanie zasługuje na polecenie. (DTS)

📖 Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej wydało (Przemysł 2005) publikacją albumową pt. **Śladami słów skrzydlatych** autorstwa **Mariusza Jerzego Olbromskiego** i **Bożeny Rafalskiej**. Podtytuł książeczki: *Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej*.

Część pierwsza – tekstowa – pióra M.J. Olbromskiego jest szkicem dotyczącym historii literatury polskiej na dawnych Kresach Południowych Rzeczypospolitej. Autor przypomina, *jak wielkie, piękne i różnorodne są tradycje polskiej kultury literackiej na Kresach Południowych począwszy od Mikołaja Reja aż do Zbigniewa Herberta i pisarzy współcześnie żyjących*.

Autor wymienia na 36 stronach 75 nazwisk literatów (prawie wszystkich nieżyjących) związanych z Kresami miejscem urodzenia, zamieszkania lub działalności. Przy każdym podana jest – oprócz okresu życia – informacja o dorobku literackim w formie kilku lub kilkunastu zdań.

Zebranie w jednej publikacji encyklopedycznych wiadomości o kulturze literackiej Kresów jest nowatorskim ujęciem tematu i pozwala na uświadomienie sobie, jak wielki

jest wkład literatury kresowej w naszą kulturę narodową.

Autor tak podsumowuje swoje opracowanie: *Literatura tworzona przez całe wieki na Kresach Południowych stała się wielkim zapisem dziejów naszej ojczyzny, narodów, które zamieszkiwały te ziemie. Od czasów staropolskich po współczesność zdumiewa nas ona i zachwyca bogactwem słowa, poetyk, tematów.* Ten zachwyt i miłość do Kresów wyczuwa się podczas czytania tekstu.

Druga część publikacji – o charakterze albumowym – to zbiór 38 barwnych fotografii wykonanych współcześnie przez Bożenę Rafalską (prawie wszystkie) przedstawiające miejsca, pomniki i tablice związane z pisarzami polskimi z omawianego terenu. Są to tablice dawniejsze, które przetrwały do naszych czasów, a także ufundowane w ostatnich latach. Ze względu na szczupłość publikacji zbiór fotografii został ograniczony tylko do wybranych miejsc. Najbardziej łaskawie przez autorów zostali potraktowani Fredro w Rudkach i Słowacki w Krzemieńcu.

(DTS)

📖 Ośrodek „Wołanie z Wołynia” opublikował kolejną książkę w ramach swej biblioteki (tom 47): **Henryka Dąbkowskiego** pt. **Polesie – moja mała ojczyzna** – wybór artykułów prasowych 1989–2000.

Autor – kresowy harcerz – opublikował wiele artykułów o tragicznych losach Polaków na Kresach Wschodnich w czasie drugiej wojny światowej i później. Wśród tego dorobku publicystycznego znaczna część artykułów dotyczy losów katolickiego duchowieństwa polskiego. Stąd w omawianej książce znalazł się zbiór artykułów tzw. „kościelnych”. Zawierają one bardzo dużo informacji o działalności – i często męczeństwie – kilkudziesięciu wybitnych postaci Kościoła katolickiego. Z wieloma duchownymi autor znał się osobiście i przyjaźnił, korespondował, odwiedzali go w Warszawie. Terenem najlepiej autorowi znanym i najbliższym sercu jest Wołyń i Polesie Wołyńskie, ale w poszczególnych rozdziałach znajduje się też wiele informacji z Podola i terenów sąsiednich. Większość poświęcona jest jednej osobie, ale przy opisie jej dziejów podawane są dane o innych osobach, na przykład o współpracownikach. Są też artykuły

„zbiorcze”, podające informacje o kilku lub kilkunastu kapłanach z jednej diecezji lub obszaru. Kilka rozdziałów poświęconych jest ludobójstwu dokonанemu przez nacjonalistów ukraińskich i podłożu ideologicznemu ich działalności. Z powodu swych harcerskich korzeni autor zwraca szczególną uwagę, czy opisywani księża byli przedwojennymi działaczami harcerskimi, np. kapelanami.

W sumie książka zawiera bardzo wiele istotnych informacji biograficznych dotyczących kapłanów katolickich na Kresach Wschodnich, których dzieje nie powinny ulec zapomnieniu.

Wybrane artykuły publikowane były w „Słowie Powszechnym” (lata 1989–92) w „Słowie – Dzienniku Katolickim” (lata 1993–96) oraz pojedyncze w innych czasopismach. (DTS)

📖 W wydanej przez „Rosikon Press” (Izabelin–Warszawa 2007) obszernej pozycji (aż 384 strony) **Wielkie bitwy Polaków** autorstwa **Krzysztofa Jabłonki** – wśród 40 opisów potyczek i batalii znaleźliśmy interesujący nas artykuł poświęcony lwowskiemu Orłętom. Niezwykle ciekawy, mimo że zawiera większość znanych już faktów dotyczących listopadowej obrony miasta w 1918 roku, w dodatku napisany bardzo przystępnym językiem. Niestety autor nie ustrzegł się pewnych nieścisłości, które natychmiast prostujemy. Dotyczy to przede wszystkim następującego stwierdzenia: *Kwatery młodych bohaterów, pojednanych Orłąt i Żurawi zdołał dziś Lwów. To spośród nich wzięty był „nieznany żołnierz” do swego grobu w Warszawie, któremu wszyscy Polacy i świat cały teraz oddaje cześć.*

Nieznany żołnierz, który jest pochowany w stolicy został wzięty spośród Polaków – obrońców Lwowa, a nie spośród żołnierzy narodowości ukraińskiej, którzy na Lwi Gród napadli. Nie ma też wątpliwości, (wbrew temu, jak chce autor), że nie przeszkadzano Ukraińcom wyjść ze Lwowa, nie tyle z szacunku dla ich odwagi (coż to za odwaga?) ale dlatego, że odwrót ten był zaskoczeniem. (PN)

📖 We Lwowie na bazarze pod obok Teatru Skarbkowskiego można kupić niewielką broszurę pt. **Polskie miejsca we Lwowie**. Pomijamy już fakt, że zarówno histo-

ria, jak i substancja kulturowa Lwowa jest w ogromnej swej większości polska i bardziej uzasadniony byłby temat *Ukraińskie miejsca we Lwowie*. Ale to, co nas uderzyło, to stwierdzenie, jakie przeczytaliśmy na jednej ze stron: *Cmentarz Orląt to najbardziej kontrowersyjne miejsce na Cmentarzu Łyczakowskim*. Dlaczego? – nie uzyskaliśmy odpowiedzi. Nie chcemy się już wdawać w bezsensowną naszym zdaniem polemikę. A książkę – po prostu odradzamy naszym Czytelnikom. (PN)

📖 Nakładem oficyny wydawniczej „Rytm”, specjalizującej się w tematyce historycznej, ukazała się (Warszawa 2005) obszerna pozycja **Cz. Grzelaka i H. Stańczyka** pt. ***Kampania polska 1939 roku***. Przedstawia ona bardzo szczegółowo zmagania wojenne wojska polskiego z hitlerowskim i sowieckim najeźdźcą. Oparta na szerokiej bazie źródłowej, zaopatrzona w bogaty aneks zawierający dokumenty i szkice, jest godna polecenia wszystkim, którzy zajmują się tą tematyką. Na s. 194–305 i 340–343 znaleźliśmy opisy działań wojennych związanych z oblężeniem Lwowa oraz armii „Małopolska”, która podjęła próbę przebicia się do miasta przez otaczający ją pierścień wojsk niemieckich. Wśród szerzej nieznanych faktów warto wspomnieć, że w planie wojny z Niemcami nie przewidziano obrony Lwowa, ponieważ znajdował się on na dalekich tyłach frontu. W momencie kapitulacji zapasy żywności w mieście oceniano na 3 tygodnie (w rzeczywistości były dwukrotnie większe). Wg źródeł sowieckich załoga miasta miała liczyć ponad 15 tys. żołnierzy i było ono przygotowane do obrony (tzw. obrona pogłębiona, barykady w kilku rzędach). O tym, że agresorzy obawiali się postawy mieszkańców, świadczy, że po kapitulacji w pobliżu Lwowa przez dwa dni operowała jeszcze 6. sowiecka armia, blokując ewentualny napływ polskich oddziałów. (PN)

📖 Na rynku książkowym pojawiły się dwa znakomite albumy. Pierwszy, za który należą się wyrazy szczególnego uznania wydawnictwu Kluszczyński, pt. ***Tylko we Lwowie*** (Kraków 2005) zawiera 130 przedwojennych zdjęć oraz 76 współczesnych z kolekcji Siergieja Tarasowa i Piotra Korpantego. Szczególny sentyment budzą te archiwalne,

opatrzone polskimi napisami ulic, placów, parków, kościołów i instytucji, w pełni oddające nastrój tego niepowtarzalnego miasta. Całość poprzedzona znakomitą wstępem prof. **Zdzisława Żygulskiego** jun. (PN)

📖 Ukazał się drugi tom ***Pamiętników Polaków na wschodzie*** w opracowaniu i ze wstępem **Andrzeja Budzyńskiego**, będący wynikiem badań prowadzonych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie (Warszawa 2006). Wśród 38 relacji znaczna część pochodzi od naszych rodaków zamieszkujących Kresy Południowo-Wschodnie. Stanowią niezwykle świadectwo ich miłości do ojczyzny i przywiązania do ziemi ojców. Niestety świadczą również o postępującym wśród nich zaniku znajomości języka polskiego, na co wpływ ma wymieranie starszego pokolenia, odpływ młodzieży na zachód, brak warstwy inteligentkiej, częściowo także wprowadzanie języka ukraińskiego do liturgii kościoła rzymskokatolickiego oraz polityka państwa ukraińskiego. (PN)

Paweł Naleźniak (PN)
Stanisław Sochaniewicz
Danuta Trylska-Siekańska (DTS)

Wertując wydawnictwa

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 13 VII znalazł się artykuł J. Świdra ***Kresy są zaraźliwe***, w którym czytamy – prawdę mówiąc – o wszystkim i o niczym (sezon ogórkowy był w pełni!). Autor omówił (z grubsza rzecz biorąc) trzy organizacje, które działają, czy też powinny działać na rzecz Kresów.

Pierwsza to powstały niedawno w Warszawie „Instytut Kresowy”, w którym jego dyrektor bije się z myślami – co robić. Najwięcej o pamiętkach, które jeszcze zalegają u expatriantów, tylko nie wiadomo, jak je ratować. Otóż, panie dyrektorze Wyszyński: jest w RP kilka instytucji, które te rzeczy od lat zbierają, mają do tego warunki i kompetentny personel. Najważniejsze to: Ossolineum we Wrocławiu i Muzeum Niepodległości* w Warszawie, ze swoją Kolekcją

„Leopolis”, a jest takich jeszcze kilka i nie ma potrzeby liczby tej powiększać i zbiorów rozpraszać (zwłaszcza gdy się nie ma ani odpowiedniego miejsca, ani pieniędzy, a ponadto koncepcji). Lepiej roztoczyć akcję uświadamiającą na rzecz tych dwóch wymienionych, jeżeli chciałoby się zrobić coś pożytecznego w tej dziedzinie.

Drugą organizacją jest Federacja Organizacji Kresowych, która przedstawia dziś przedziwnie zwiędłą strukturę, a przedmiotem jej zainteresowania (czy tylko teoretycznie?) jest sytuacja Polaków na Białorusi. Pada tu m.in. nazwa TMLiKPW (autor używa na zmianę: raz *Miłośników*, raz *Przyjaciół*), uznane przez autora za najpotężniejszą organizację, skupiającą Kresowian, jednak nie uznał za stosowne zwrócić się także do kogoś kompetentnego z naszego Towarzystwa. Federacja występuje w różnych sprawach, podobnie jak Zarząd Główny TMLiKPW (dobre i to!), jednak w rozbiciu są zbyt słabe, żeby cokolwiek wskórać.

Kolejna organizacja omawiana w artykule to „Związek Wypędzonych z Kresów Wschodnich RP” w Bytomiu, z mec. Janem Skalskim na czele. To dość nowy twór, bo wcześniej słyszeliśmy inne nazwy, ale też wcześniej nie było realnego zagrożenia ze strony wypędzonych Niemców. W sumie więc mówi się o dwóch związanych ze sobą torach aktywności Związku mec. Skalskiego: obrona przed zakusami Niemców, dopominających się zwrotu utraconej własności (co uderza zwykłych Polaków-ekspatriantów), a z drugiej strony energiczne domaganie się rekompensat od naszego rządu za utraconą przez Polaków własność na Wschodzie, co – dodajmy od siebie – nie uderza w zwykłych Ukraińców, a nawet w tamto państwo. Taka subtelna różnica.

Trzeba powiedzieć, że ten fragment artykułu J. Świdra dotyka problemów, które – poza gronem działaczy środowiska związanego z mec. Skalskim – jest mało znany.

Dalej czytamy w artykule o działalności Oddziału Krakowskiego „Wspólnoty Polskiej” na rzecz Polaków we Lwowie i Małopolsce Wschodniej**. Ale taka pomoc świadczona jest (poza Krakowem) także dla innych regionów kresowych, ponadto analogiczną działalność prowadzi Federacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” oraz – we własnym zakresie – liczne organizacje ekspatriantkie

(przede wszystkim oddziały i koła regionalne TMLiKPW) oraz inne. Obraz jest więc w artykule cząstkowy.

Sumując: każdy pozytywny głos na tematy kresowe uważamy za cenny, chciałoby się jednak, by przekazywane informacje były pełne.

* MN gromadzi nie tylko „kresowiana”.

** Nie wspomniano, że omawiana akcja prowadzona jest przy walnej pomocy członków TMLiKPW, którzy stanowią większość wśród rozwożących dary do Lwowa i do innych miast.

➔ Nie zajmują nas aktualne sprawy polityczne ani ludzie z nimi związani, chyba że dotyczyłyby naszych Ziemi Wschodnich oraz żyjących tam rodaków. Nie interesuje nas również osoba Andrzeja Leppera, nie mającego – jak się wydawało – żadnych, ale to żadnych zainteresowań w tamtym kierunku. Bo niby jakie korzyści mogłoby mu to przynieść?

A jednak... Media doniosły o dość podejrzanych konszachtach Leppera z jakimś rzekomym duchownym z Ukrainy, o nazwisku Mikołaj Hinajło, dawnym sowieckim oficerem, który podobno stacjonował przez 5 lat w Polsce z wojskami rakietowymi Armii Czerwonej. Istnieją poszlaki, że był on w istocie związany z tajnymi służbami ZSRR.

Również i to mogłoby nas nie interesować, bo w końcu wychodzi dziś na jaw niemało afer. Dowiadujemy się jednak dość pikantnego szczegółu. Oto Lepper – kiedy ujawniły się jego oryginalne związki z Wielkim Kanclerzem Zakonu Mikołaja grafem (!) Hinajło, którego mianował swoim doradcą (!) i za co w rewanżu otrzymał... doktorat Ukraińskiej Akademii Teologicznej w Kijowie – udzielił pewnych wyjaśnień. Cytujemy za „Dziennikiem Polskim” (z 22 VI ‘07, rozmowa Leppera z M. Majewskim):

[...]

Hinajło panu doradzał?

Przekazywał mi informacje o Polonii i wewnętrznej sytuacji na Ukrainie. [...]

Pana współpracownik Janusz Maksymiuk mówił nam, że Hinajło miał pomóc Samoobronie w założeniu instytutu we Lwowie. To prawda?

Trzeba z Maksymiukiem rozmawiać. Od razu powiedziałem, że w żadne machinacje wchodził nie będę. Podgórski, który przypro-

UZUPEŁNIENIE

W poprzednim numerze (CL 3/07) zauważyliśmy kilka pominięć, wynikłych prawdopodobnie z wakacyjnego zamieszania, pośpiechu itd. Bardzo się tego wstydzimy i śpieszymy owe braki uzupełnić.

Najważniejszym brakiem jest pominięcie dwóch zdjęć, które zamieszczamy obecnie:



■ otrzymanej od Rodziny fotografii śp. Emila Czawy, o którego śmierci pisaliśmy na s. 71. Żonę i Córkę Pana Emila gorąco przepraszamy;



■ fotografii otrzymanej od autora sylwetki Jakuba Dębóróg Bylczyńskiego, o którym wspomnienie znalazło się na s. 66. Autora również przepraszamy.

* * *

Pan Bogdan Kasprowicz przysłał nam informacje o poetach, których wiersze przedstawiśmy w tamtym numerze (s. 44), ale dane o autorach pominęliśmy. Oto one:

- Marcin Hałas, ur. 1968 w Bytomiu, poeta, krytyk literacki, dziennikarz
- Lesław Nowara, ur. 1963 w Gliwicach, prawnik
- Bogdan S. Kasprowicz, ur. 1950 w Katowicach, prawnik.

Oczywiście wszyscy trzej pochodzą z rodziny wschodniomałopolskich, osiadłych po ekspatriacji na Górnym Śląsku.

Prosimy o wybaczenie. Serdecznie również za wszystko przepraszamy naszych Czytelników.

wadził Hinajtę, zabiegał o jakiś budynek we Lwowie. Dziwne pomysły miał. Mówił o pieniądzach, które można zarobić. [...]

Pieniądze miały być z tego instytutu?

Miały być na pomoc dla rodaków ze Wschodu.

... I tak dalej.

A więc Lepper nie znał innej drogi do pozyskania wiadomości o Polonii niż poprzez „ojca” Hinajtę. Nie wiedział, że w RP jest wiele towarzystw i ich oddziałów, że działa „Wspólnota Polska” i Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”, i jeszcze parę innych instytucji.

Oczywiście Lepper nie wie, że Polacy na Wschodzie nie są *Polonią*, bo to słowo łączy się z emigracją w Anglii, Francji, w Ameryce, Australii itd., lecz po prostu Polakami. Skąd ma wiedzieć, skoro go to wcale a wcale nie interesuje? Typowe argumenty wymyślane *ad hoc*.

➔ Leszek Mazan, krakowski dziennikarz i publicysta, współautor – wraz z Mieczysławem Czumą (obaj z dawnego, dobrego „Przekroju”) – kilku książek o ck Galicji, której są *fanami*, zamieścił długi artykuł o rodzinie Dulskich i zamierze **nazwania jednej z ulic Krakowa imieniem *Felicjana Dulskiego***.

Postać pani Dulskiej i jej całej rodziny została opisana przez Gabrielę Zapolską w scenerii *L w o w s k i e j*, kiedy jednak wystawiano *Moralność pani Dulskiej* w Krakowie, realia pozamieniano na krakowskie i tak jest do dziś (nie wiemy, jak się wystawia w innych miastach, np. w Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu? Jako Lwów czy jako Kraków? Kto nam napisze?).

Jednak Leszek Mazan prezentuje rodzinę Dulskich, których wzorem była autentyczna, lecz skarykaturowana rodzina Gołąbów we L w o w i e, bardzo rzetelnie przedstawia te lwowskie realia, także w stanie dzisiejszym. Był niedawno we Lwowie, odnalazł dom na Łyczakowie, stwierdził, że mieszkanie Dulskich jest podzielone dla dwóch osobnych rodzin. Był także na Cmentarzu Łyczakowskim i znalazł rodzinny grobowiec Gołąbów. Przez rozwaloną płytę widać trumnę. Czyżby pan Gołąb?

➔ Ze sporym opóźnieniem piszemy o tej rozmowie, ale sprawa nie traci na aktualności. Oto w „Dzienniku” (tzw. niebieskim, z

lipca '06) znalazł się ciekawy wywiad C. Polaka z Włodzimierzem Odojewskim. Mowa o wielu sprawach, ale przede wszystkim o nowej książce pisarza **...i poniosły konie**, traktującej m.in. o eksterminacji ludności polskiej na Wołyniu. Oto ciekawsze dla nas fragmenty.

Dziennikarz stawia kwestię: *Opisuje pan [...] nie oszczędzając czytelnikowi obrazów okrucieństwa. Na ile opisane w książce makabryczne wydarzenia są prawdziwe?* Odojewski odpowiada:

Mój Boże... No tak, rozmawiam z młodszą młodszą ode mnie o 40 albo więcej lat... Potknąłem się o wydarzenia nawet bardziej makabryczne od tych, które opisałem, choć nie mogę powiedzieć, że je przeżyłem. W 1943 roku pojechałem z mamą do krewnych, którzy mieszkali między Trembowłą a Czortkowem. Nie przeżyłem pogromu. Ale widziałem furmanki przykryte płótnem, spod którego wystawały nogi pomordowanych. Widziałem tłumy uciekinierów...

Dziennikarz: *Swoimi książkami przyczynił się pan do spopularyzowania problematyki kresowej. Wydaje się, że moda, której apogeum przypało na połowę lat 90. już minęła. Może to znak, że Polacy pogodzili się z wyrokami historii?*, a pisarz wyjaśnia:

Niezupełnie. Z moich obserwacji wynika, że zainteresowanie tą problematyką rzeczywistoście opadło pod koniec lat 90. Zadawałem sobie nawet pytanie, czy nie brnę w ślepy zaułek, czy pisanie o tych miejscach i wydarzeniach ma sens? Od czterech–pięciu lat dostrzegam ożywienie. Ukazało się kilkadziesiąt pamiętników dotyczących tamtych ziem i czasów. Wygląda na to, że starszszkom rozwiązały się języki, leciwe panie publikują wspomnienia, te książki się sprzedają. Nowe pokolenie zaczyna się interesować przeszłością, chce ją uporządkować.

I dalej: *Draży pan problemy tragicznej historii polsko-ukraińskiej. Od czystek etnicznych na Wołyniu i akcji „Wisła” minęło kilka dekad. Jak pan ocenia z perspektywy lat – czy pojednanie między naszymi narodami się dokonało? Nie wiem. Nie jeżdżę na Ukrainę. Mam informacje od wielu przyjaciół, którzy tam bywają, że nadal żywe są nastroje antypolskie. Ciągle [...] buduje się pomniki ku czci UPA, ludzie kierujący tą faszystowską organizacją mają swoje ulice niemal w każdym miasteczku. Widziałem zdjęcia, na których kamień upamiętniający zbrodnię na ponad tysiącu Polaków w Hucie Pieniackiej jest pokryty kałem*... Może*

GŁOS BUCZACZAN

O Buczaczu i Ziemi Buczackiej pisaliśmy ostatnio parokrotnie, a to z okazji kilku wydanych książek, związanych z tym historycznym polskim miastem i jego otoczeniem, a także z ludźmi, którzy tam żyli lub stamtąd się wywodzili. Buczaczanie mają we Wrocławiu swój oddział w strukturze TMLiKPW, a grono osób w nim pracujących działa aktywnie, by utrwalić pamięć lokalnej historii i kultury. Poza wspomnianymi książkami jest też kwartalnik „Głos Buczaczan”, ukazujący się od 16 lat. Redaktorem naczelnym jest dr Władysław Szklarz. Okładkę „Głosu” zdobi *Piława*, herb Buczacza.

W każdym numerze kwartalnika znajdziemy serię wspomnień z lat objętych pamięcią żyjących ekspatriantów z Buczacza i innych miejscowości powiatu, z których najważniejsze to Monasterzyska, Jazłowiec, Dźwinogród, Potok Złoty, Koropiec – wszystkie głęboko związane z naszą hi-

storią i kulturą. Autorzy z kraju i z emigracji piszą o swych rodzinach i przedwojennych szkołach, o wydarzeniach II wojny – zbrodniach sowieckich, niemieckich i ukraińskich, o wygnaniu i rozproszeniu. Sporo wspomnień dotyczy Żydów i ich ratowania.

Biorąc pod uwagę, że ukazało się około 60 numerów GB (a będzie ich zapewne więcej), mamy do czynienia z ogromnym materiałem, który – w odpowiednim wyborze – powinien się też ukazać w formie wydawnictwa książkowego i trafić do wielu bibliotek krajowych, instytutów, uczelni. Tylko książka jest w stanie zapewnić trwałość zapisanej pamięci, a „Głos Buczaczan” szczególnie na to zasługuje. Szczerze życzymy powodzenia!



▶ *jesteśmy narodem, który za łatwo przebacza? Może musi minąć więcej czasu? Tamta strona ciągle jest pełna nienawiści, chociaż poznałem także innych Ukraińców. Spotkania z nimi opisałem chociażby w najnowszym tomie „...i poniosły konie”. Po wojnie odwiedziłem Ukrainę tylko raz pod koniec lat 60., kiedy przejeżdżałem przez jej terytorium do Rumunii. Przekupiłem szofera, który zboczył z wyznaczonej przez władze trasy i zawiózł mnie do Trembowli i Czortkowa. Zapamiętałem ogromne przestrzenie, step, gdzieś tam ruiny, kilka chałup i cerkiewkę. Opisałem tę podróż w jednym z opowiadań. Nigdy więcej, mimo wielu zaproszeń, nie pojechałem na Ukrainę. [...]*

* Rozmowa powstała zapewne przed powstaniem – po wielu trudach – pomnika ofiar rzezi w Hucie Pieniackiej. Ale i dziś dochodzą różne wiadomości o wybrzykach nacjonalistów ukraińskich w stosunku do polskich miejsc upamiętnienia. Przykładem odnawiające się co pewien czas pretensje na temat krzyżamiecza na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

➔ Z tegorocznego „Biuletynu Koła Samborzan” (ukazuje się w Krakowie od 12 lat pod redakcją doc. dr. L. Martiniego) dowiedzieliśmy się paru nowych dla nas rzeczy.

Pierwsza wiadomość – ze Szczecina – dotyczy formalnego poświęcenia w tym mieście **pomnika poety Kornela Ujejskiego** w grudniu 2006. Pomnik został tam przewieziony ze Lwowa po II wojnie (!) i ustawiony wstydliwie w mało eksponowanym miejscu – bo władze partyjne nie dopuszczały nagłośnień niczego co lwowskie. Podobny nonsens trwał więc przez pół wieku, dopiero teraz doszło do uczczenia w Szczecinie twórcy *Chorału*, którego pomnik jest jedynym istniejącym polskim zabytkiem w tym mieście.

Popiersie Ujejskiego wykonał na przełomie XIX/XX wieku wybitny rzeźbiarz lwowski Antoni Popiel, a pierwsze odsłonięcie nastąpiło w 1901 r.

Obecnie jeszcze otoczenie pomnika czeka na uporządkowanie. W ciągu półwiecza wyrosły tam drzewa, które skutecznie go zasłoniły.

* * *

Drugą ciekawostką jest życiorys znanego swego czasu – niestety w nowym pokoleniu powoli zapominanego – **muzyka Jana Caj-**

mera, rodem z Sambora. Do lat II wojny nosił nazwisko Zeimer, dopiero po wojnie pisownia została spolszczona. Miał już własną małą orkiestrę w Samborze.

Po pierwszej okupacji sowieckiej Cajmer wstąpił do armii Berlinga w Sielcach nad Oką i założył tam wojskową Orkiestrę Reprezentacyjną, a potem, już w Warszawie, Orkiestrę Taneczną Polskiego Radia. Po okresie sukcesów, gdy powstała szeroka konkurencja (pamiętamy te orkiestry: Haralda, Czernego, Damrosza...), w 1956 r. zdecydował się na wyjazd do Izraela.

➔ W „Gazecie Lekarskiej” 6/07 znaleźliśmy artykuł pt. **Zjazdy lekarzy i przyrodników polskich, czyli o potrzebie dialogu** (autor Z. Wiśniowski), w którym nawiązano do tradycji zapoczątkowanej zjazdem w r. 1869 z udziałem lekarzy żyjących i praktykujących na terenach trzech państw zaborczych. Autor pisze:

[...] *Polacy, wśród nich lekarze, najwięcej swobody mieli w Galicji, czyli w zaborze austriackim. Dwa miasta uniwersyteckie, Lwów i Kraków, kształciły na wydziałach lekarskich polskich lekarzy na poziomie, który umożliwiał im praktykowanie i specjalizowanie się na wszystkich uczelniach europejskich. Tu nauka i praktyka lekarska rozwijała się szybko i reprezentowała poziom światowy. Stąd, z Galicji, wyszedł pomysł naukowych spotkań lekarzy-Polaków, żyjących w Rosji, Niemczech i Austrii.*

Pomysłodawcą zjazdów naukowych był dr Adrian Baraniecki z Krakowa. [...]

ADRIAN BARANIECKI (1828–1891), ur. w Jarbolińcach na Podolu, pochodził z rodziny szlacheckiej z okolic Buczacza, syn lekarza, bratanek arcybiskupa lwowskiego. Studia lekarskie odbył w Kijowie. Utworzył polskie Stowarzyszenie Lekarzy Podolskich w Kamieńcu i podobne w Kijowie. Zaangażowany w ruch powstańczy 1863 r. musiał uciec do Galicji, potem przebywał w Paryżu i Londynie. W 1868 r. przyjechał do Krakowa i przy pomocy prezydenta J. Dietla utworzył Muzeum Techniczno-Przemysłowe (istniejące do dziś), oddając mu swoje zbiory. Aktywny społecznie, zorganizował pierwszy ogólnopolski zjazd lekarzy i przyrodników w 1869 r.

Trudności polityczne sprawiły, że na I zjazd przyjechali głównie lekarze z tere-

nu Galicji, a tylko 9 z Poznania i 5 z Warszawy, i to jako osoby prywatne.

Powodzenie – mimo wszystko – I zjazdu spowodowało propozycję organizacji następnego w innym zaborze, a więc w Warszawie lub Poznaniu. Władze rosyjskie i niemieckie dały jednak negatywną odpowiedź.

II zjazd odbył się więc ponownie w Galicji – we Lwowie w 1875 roku. Przybyło 468 uczestników. Autor pisze:

[...] *gościnność lwowian zdominowała relacje i wspomnienia z II zjazdu. Pozostawiła niezatarte przeżycie dla przybyszów z Kongresówki i z Poznańskiego, gdzie języka polskiego nie można było używać w kontaktach urzędowych, a tu – we Lwowie mówiono i goszczono jak za dawnej Rzeczypospolitej. To spotkanie lekarzy polskich z trzech zaborów zamieniło się w patriotyczną manifestację. [...]*

Zjazd lwowski był zdominowany przez problematykę społeczno-zdrowotną (badania zdrowia ludności miejskiej, szerzenie oświaty zdrowotnej i higieny na wsiach, objęcie opieką lekarską młodzieży szkolnej). Ta sama problematyka zdominowała kolejne 8 zjazdów aż do I wojny światowej (we Lwowie 1888, 1894, 1907). Zjazdy te gromadziły już ponad tysiąc uczestników.

W okresie międzywojennym ogólne zjazdy lekarzy i przyrodników polskich straciły na znaczeniu, ponieważ rozwinęły się liczne specjalizacje lekarskie i one przejęły inicja-

tywę w swoich węższych zakresach. Istotne też to, że po odzyskaniu niepodległości odpadła intencja „pokrzepienia serc”, ważnego w okresie braku wolności i rozbitcia.

📖 Zarząd Główny TMLiKPW – z okazji XX-lecia Towarzystwa – wydał we Wrocławiu *Kalendarz Lwowski „Semper Fidelis”* na rok 2008. Autorami są Danuta Śliwińska, Anna Oliwa i Zbigniew Umański, redaktorem Andrzej Kamiński.

Na każdej z 12 kart kalendarza znajdujemy zdjęcie lwowskiego zabytku lub grupę osób oraz portretowe zdjęcie wybitnego Lwowianina naszych ekspatrianckich czasów (nie tylko spośród członków TMLiKPW – słusznie) wraz z życiorysem. Na samym wstępie zaś ukazało się powiększenie kartki pocztowej z 22 herbami wschodniomałopolskich miast, opracowanej i wydanej przed parunastu laty w naszym krakowskim Oddziale. Bardzo nam to pochlebia, jednak wydaje się, że odpowiednie wyjaśnienie powinno się było w kalendarzu znaleźć.

📖 Przeglądając strony internetowe *Wikipedii* znaleźliśmy niezwykle **ciekawy artykuł pt. *Wysiedlenie Polaków ze Lwowa***. Ponieważ zawiera on wiele nieznanych dotąd faktów dotyczących zmagania dyplomatycznych o nasze miasto w latach 1944–45, pozwalamy sobie na przedrukowanie go we fragmentach (w ramce):

Z obu zachodnich aliantów najlepszą orientacją odnośnie do zawitości polskiej granicy wschodniej wyróżniali się Brytyjczycy. W latach 1943–1944 próbowali oni wytargować u Stalina wariant granicy ze Lwowem po stronie polskiej. Zaniechali tych prób po fiasku negocjacji polsko-sowieckich w Moskwie, które toczyły się w dwóch turach, w sierpniu i październiku 1944 roku.

Główni przedstawiciele strony polskiej Stanisław Mikołajczyk i Stanisław Grabski usiłowali przekonać radzieckiego dyktatora do pozostawienia Lwowa przy Polsce. Przywódca radziecki dał jednak im do zrozumienia, że jest absolutnym panem sytuacji i od niego zależą nie tylko kwestie graniczne, ale również fundamentalne, jak np. sprawa niepodległości państwa polskiego. Wsparcie brytyjskie słabło, pod koniec negocjacji Anglicy wręcz wzięli stronę radziecką w sporze o Lwów. W czasie sierpniowych rokowań moskiewskich (3–8 sierpnia 1944 r.) Stanisław Grabski zaapelował do Stalina: *Gdyby Polska wyszła z wojny z pomniejszonym terytorium, to na-*

ród polski nie mógłby tego nie odczuć jako ciężkiej krzywdy. (...). Szczególnie serdecznie upominam się o Lwów. Stalin zasłonił się wtedy koniecznością obrony interesów ukraińskich.

Na stwierdzenie Mikołajczyka, że Lwów nigdy nie był rosyjski (z wyjątkiem okupacji w latach 1914–1915) przywódca sowiecki odparł, że owszem Lwów nigdy rosyjski nie był, ale Warszawa była. Insynuacje Stalina zmierzały w kierunku uświadomienia polskiemu negocjatorom politycznym, że waży się sprawa odrębnego bytu państwowego oraz suwerenności Polski, wobec czego dziwi go uporczywe targowanie się o sporne terytoria.

Do najbardziej dramatycznych prób ocalenia Lwowa dla Polski doszło podczas rokowań październikowych w Moskwie, w dniach 12–20 października 1944 r. polską delegację (w składzie: Stanisław Mikołajczyk, Stanisław Grabski, Adam Romer) poddano brutalnemu naciskowi, by bez żadnych warunków zgodziła się na linię Curzona jako wschodnią granicę Polski. Mikołajczyk oparł się presji wypowiadając

słowa: *Jeśli przyjmijemy linię Curzona, to stracimy cały autorytet w Polsce*. Mikołajczyk nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności za zrzeczenie się połowy polskiego terytorium ze Lwowem i Wilnem. Uważał, że bez mandatu udzielonego przez cały naród nie może powziąć takiej decyzji. Grabski próbował perswazji wobec Stalina: *Polska opinia publiczna nigdy nie pogodzi się z utratą Lwowa na rzecz Rosji*. Polscy przedstawiciele próbowali odwiec ostateczną decyzję w sprawie granic do końca wojny i zgodzali się na zaproponowaną przez Churchilla wersję układu polsko-radzieckiego, traktującego linię Curzona jako granicę tymczasową, która ulegnie zmianom po zakończeniu działań militarnych. Strona sowiecka stanowczo odrzuciła taką możliwość, domagając się uznania tej linii jako granicy ostatecznej.

W dniu 15 października 1944 Stanisław Grabski próbował po raz ostatni w czasie rozmowy z Mołotowem, którego uważał za „główną zapórę w każdej próbie posuwania naszej granicy wschodniej”, wytargować Lwów dla Polski. Pomiedzy oboma ministrami doszło wówczas do znamiennej wymiany zdań. Poirytowany nieprzejednanym stanowiskiem Mołotowa Grabski miał powiedzieć: *Widzę, że pan minister Mołotow stoi na stanowisku słuszności dawnych zaborów ziem polskich dokonywanych przez rządy carskie*. Mołotow odparł na to: *To nieprawda! Przecież ja nie żądam Warszawy*.

Pod koniec rokowań moskiewskich w październiku 1944 r. Stalin jeszcze raz zrzecznie zagrał lwowską kartą dając do zrozumienia Stanisławowi Grabskiemu, że jest gotów wrócić do sprawy tego miasta po zrekonstruowaniu istniejącego wówczas czy też po utworzeniu nowego rządu polskiego. Sprawdzało się to do uznania PKWN i komunistów jako kontrahenta politycznego i wprowadzenia ich do legalnych władz RP.

Niewiele nowego wniosła czerwcowa (1944 rok) podróż Mikołajczyka do USA i uzyskane od amerykańskiego prezydenta papierowe zapewnienie o poparciu jego administracji dla polskiego Lwowa i zagłębia naftowego przy Polsce. Po dymisji Mikołajczyka w listopadzie 1944 roku nowy rząd polski Tomasz Arciszewskiego z wielką determinacją zadeklarował obronę polskich terytoriów wschodnich. W tym oporze podtrzymała go nieco administracja amerykańska wysyłając sygnały, że zamierza wyrzucić pewną niewielką presję na stronę radziecką w sprawie bardziej korzystnych dla Polski rozwiązań na wschodzie.

Było to posunięcie obliczone na pozyskanie polskich głosów w zbliżających się wyborach prezydenckich w USA. Podbudowany tym premier Arciszewski udzielił 16 grudnia 1944 r. wywiadu, w którym stwierdził, że dążenia polskie na zachodzie nie obejmują Wrocławia ani Szczecina, a jedynie obszary zagrabione przez III Rzeszę w trakcie wojny. Minimalizm na zachodzie miał spowodować większą

determinację aliantów w rokowaniach o polską granicę wschodnią.

W tworzących się elitach nowej władzy (PKWN oraz KRN) niewielu znalazło się oponentów, którzy byliby skłonni spierać się ze Stalinem o losy miasta. Ludzie tacy jak Bolesław Bierut, Władysław Gomułka czy Wanda Wasilewska opowiadali się kategorycznie za wcieleniem Lwowa do ZSRR. Taka postawa strony komunistycznej została dobitnie zaakcentowana przez Bieruta w roku 1944 podczas rozmów moskiewskich oraz przez Gomułkę po ogłoszeniu uchwał jałtańskich. Wprawdzie latem 1944 Bierut miał powiedzieć, że *o Lwów będziemy się jeszcze spierać z ZSRR*, był to jednakże zabieg socjotechniczny strony komunistycznej mający zjednać jej nowych zwolenników.

Podczas późniejszych rozmów w Moskwie Bierut miał w obecności Churchilla stwierdzić: *Domagamy się w imieniu narodu polskiego wcielenia Lwowa do ZSRR*. Kwestia ta została wypowiedziana przez niego w tonie tak służalczym, że wywołała konsternację i zażenowanie nie tylko brytyjskiego premiera, ale i obecnych przy rozmowie notabli sowieckich. Samego Stalina wprawiła natomiast w stan żartobliwego usatysfakcjonowania skutecznością własnej polityki. Komuniści polscy byli wówczas wierni koncepcji Lwowa jako stolicy Zachodniej Ukrainy i Wilna jako stolicy Zachodniej Białorusi, która została sformułowana na lwowskim Zjeździe Pracowników Kultury już w roku 1936.

W latach 1943–1944 próbował zmienić sowieckie stanowisko w kwestii wschodnich granic Polski pułkownik Zygmunt Berling. Związane było to z nastrojami w wojsku formowanym w ZSRR i złożonym głównie z mieszkańców województw wschodnich II RP. Jak mówił sam pułkownik Berling: *polskie Wilno i Polski Lwów stanowią dla nich (tzn. żołnierzy) kamień węgielny zaufania i szczerości wzajemnych stosunków między nami a Związkiem Radzieckim*. Jego kilkakrotne próby nawiązania rozmów ze Stalinem w celu zmiany radzieckiej koncepcji granic na bardziej korzystne dla Polski, a także propozycje ustalenia granicy tymczasowej w celu przeprowadzenia plebiscytów na spornych terytoriach po zakończeniu wojny, zakończyły się fiaskiem. Podnoszone przez Berlinga wobec władz sowieckich polskie prawa do Lwowa były kwestionowane przez Wandę Wasilewską – jedną z głównych przeciwniczek pozostawienia miasta przy Polsce.

Nieco większe rozterki i wątpliwości przejawiali w tym względzie również lewicowi socjaliści sprzymierzeni z komunistyczną PPR oraz ludowcy z lewicującego Stronnictwa Ludowego. Na wymienienie zasługuje Oskar Lange – socjalista oraz ekonomista, skłonny do współpracy ze Stalinem. Lange stał na stanowisku, że: *... rząd radziecki powinien uznać istnienie starych ośrodków kultury polskiej (takich jak np. Lwów), które choć usytuowane na etnograficznym*

terytorium ukraińskim lub białoruskim, ukształtowały się jako integralna część polskiego życia narodowego, tak że nie mogą być odłączone od Polski bez silnego negatywnego wpływu dla przyjaznych relacji między narodem polskim i radzieckim. Dla Ukraińców i Białorusinów te ośrodki znaczą bardzo mało, ich rzeczywiste ośrodki kulturalne są w takich miastach jak Kijów, Charków, Mińsk i inne.

Oskar Lange sądził, że pozostawiając te ośrodki Polsce, oddzielono by od Związku Radzieckiego stosunkowo małą liczbę Ukraińców i Białorusinów, którzy mieliby zapewnioną przez demokratyczną Polskę pełną wolność narodową. W okresie późniejszym Lange zmienił swój pogląd na przyszły los polskich ośrodków kulturalnych na wschodzie zarysowując alternatywę – proponował albo ich włączenie do Polski, albo nadanie im specjalnego statusu w ramach radzieckich republik ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej.

Program stworzenia we Lwowie polskiego terytorium autonomicznego nie był nowy i narodził się wśród polskich komunistów już po klęsce 1939 roku. Po raz pierwszy wystąpiła z nim jesienią 1939 roku działaczka komunistyczna Halina Górską uzyskując poparcie Alfreda Lampego. Pomyśły te już wówczas spotkały się z chłodnym przyjęciem władz sowieckich. W dniach 17–29 maja 1944 r. Lange odbywał podróż do ZSRR, gdzie konferował ze Stalinem na temat granic powojennych Polski. Wobec Stalina wyraził wolę pozostawienia Lwowa Polsce. Stalin zaakcentował, że musi bronić interesów ukraińskich w tym względzie. Wtedy Lange powiedział: ... *dla Ukraińców Lwów znaczy mniej niż dla Polaków. Ukraińcy mają inne ważne ośrodki kulturalne, a Lwów był w każdym razie poza Ukraińską Republiką Radziecką. Poza tym Ukraińców jest prawie dwukrotnie więcej niż Polaków, w konsekwencji mogą oni łatwiej znieść stratę terytorialną. W Polsce było pięć centrów kulturalnych: Warszawa, Kraków, Poznań, Lwów i Wilno. Utrata dwóch z nich byłaby bardzo ciężka, a uzyskanie niemieckich miast bez polskiego dziedzictwa kulturalnego nie może być uważane za wyrównanie utraty starych historycznych polskich ośrodków kulturalnych. Gdyby Polska musiała oddać Lwów, to byłoby to stałym źródłem antysowieckiej urazy i agitacji. To może być najniebezpieczniejsze dla przyszłych stosunków polsko-sowieckich.* Stalin w odpowiedzi na to stwierdził, że sprawa ta wymaga dalszego zbadania.

Lange po wizycie w Rosji udał się do USA, gdzie 13 czerwca 1944 roku spotkał się z premierem Stanisławem Mikołajczykiem. W rozmowie tej poruszył problem Lwowa. Zreferował Mikołajczykowi nastroje panujące wśród żołnierzy armii Berlinga, nieprzychylnie polskim komunistom dążącym do wcielenia miasta do ZSRR. Pewną presję na Stalina w sprawie Lwowa próbowali wywrzeć w lipcu 1944 roku delegaci strony polskiej, którzy przybyli

z ramienia PKWN na Kreml, aby uzgodnić ostateczną wersję manifestu oraz definitywnie zamknąć kwestię granic wschodnich Polski. Andrzej Witos, Stanisław Kotek-Agroszewski, Bolesław Drobner oraz Edward Osóbka-Morawski zamierzali *wystąpić o korektę linii Curzona, która uwzględniałaby prawo Polski do Puszczy Białowieskiej i ewentualne przyłączenie Lwowa i Zagłębia Naftowego do Polski.*

Podczas rokowań ze Stalinem udało się wytargować połowę Puszczy Białowieskiej, rejony Suwałk i Augustowa, jednak w sprawie Lwowa strona sowiecka nie ustąpiła ani na krok. Stanowisko radzieckie w sprawie wschodniej Galicji było do tego stopnia usztywnione, że Stalin nie zamierzał ustąpić Polsce nawet Chyrowa, mimo iż sfalszowana linia Namiera z 11 lipca 1920 r. pozostawiała miasto po stronie polskiej. Jak pisze w swoich pamiętnikach Andrzej Witos: *Wspólnie z Drobnerem, który w tych targach od czasu do czasu próbował mi pomagać, wysunęliśmy sprawę Lwowa, motywując to długoletnią polską kulturą, większością polskiej ludności.* Odpowiedź sowieckiego dyktatora brzmiała: *Lwów należy się Ukraińcom, chyba że chcecie wojny z Ukrainą, bo ja o Lwów wojny nie będę prowadził.*

W trakcie rokowań strona sowiecka dawała do zrozumienia Polakom, że jest w stanie w każdej chwili wysunąć pretensje do bardziej na zachód położonych terenów, o czym świadczy passus Stalina: *O co tam jeszcze idzie? Czy Chełmszczyzna ma do nich należeć, czy do nas?* Rokowania w sprawie Lwowa rozpoczął przywódca ZSRR od manifestacyjnych rozważań na temat przyszłości Przemyśla, co miało zdezorientować polską delegację już na wstępie wzajemnych negocjacji.

Obiecując Grabskiemu „powrót do dyskusji o Lwowie” po powołaniu nowego rządu polskiego z udziałem komunistów, Stalin wprowadzał polską delegację w błąd. Niemal równocześnie prowadząc rokowania z Polakami Rosjanie zainicjowali wielką akcję odwrócenia stosunków narodowościowych w mieście.

Za pomocą specjalnie organizowanych transportów kolejowych i samochodowych do Lwowa ściągano dziesiątki tysięcy ludzi z głębi Rosji i Ukrainy, aby następnie rejestrować ich jako mieszkańców miasta. Według nie do końca wiarygodnego zestawienia władz sowieckich w dniu 1 października 1944 r. we Lwowie mieszkały 154 284 osoby, z czego 102 983 Polaków, co stanowiło 66,7% ogółu mieszkańców oraz 40 743 Ukraińców, czyli 26,4% ogółu. Zaledwie miesiąc później, tzn. 1 listopada 1944, Lwów liczył już 244 285 mieszkańców, w tym 112 413 Polaków, czyli 46% ogółu. Liczba Ukraińców i Rosjan wzrosła w tym czasie o około 80 tysięcy.

W ten sposób strona sowiecka wytrącała z polskich rąk jedyny atut i argument, który mógł zawazyć na konferencji w Jaltce – argument stosunków narodowościowych w mieście.

WSPOMNIENIA NAFTOWCA

w rzędach, a rodziny przychodziły rozpoznać swych bliskich. Ojciec mój z bratem Kazimierzem i serdecznym kolegą Artura, Tadeuszem Muellerem, też tam chodzili. Ja już nie poszłam.

W nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. zbudził nas bliski strzał. Zerwaliśmy się i patrzyliśmy ukradkiem z okien wychodzących na ogród. Do sąsiadującego z nami z lewej strony parterowego domu profesora Politechniki Lwowskiej Romana Witkiewicza dobijali się Niemcy. Profesor wyszedł, aby im otworzyć, a z nim wybiegł pies, którego Niemcy zastrzelili. To był ten strzał, który nas zbudził. Profesor Witkiewicz został aresztowany i wyprowadzony. Potem Niemcy weszli do naszego domu. Na parterze mieszkał profesor Politechniki Włodzimierz Stożek. Wyprowadzili go wraz z dwoma synami, Emanuelem i Eustachym. Ojciec mój spał z drugiej strony mieszkania, od ulicy, i nie słyszał strzału, który nas zbudził. Przeżyłam długie minuty trwogi. Niemcy ominęli nasze mieszkanie. O drugiej w nocy znowu zasnęliśmy zmęczeni przeżyтым wstrząsem. W niespełna dwie godziny później ponownie wyrwały nas ze snu salwy karabinów. Rzuciliśmy się do okien. Ledwo świtało. Z dala, na zboczu tzw. Wulki, w odległości pół kilometra zobaczyliśmy pięć osób ustawionych szeregiem tyłem do nas, a za nimi pluton żołnierzy w mundurach niemieckich. Rozległa się salwa i wszyscy padli twarzą w dół, prawdopodobnie do wykopanego przednio dołu. Następnym pięciu – z daleka rozpoznaję Mulka (Emanuela) Stożka, miał marynarkę koloru tabaczkowego. Po salwie nie pada, tylko nadal stoi wyprostowany. Po drugim strzale pada twarzą w przód jak inni. Sparaliżowana patrzę – następni i następni. W końcu trzech mężczyzn – jeden w płaszczu, z postawy rozpoznaję profesora Stożka. Na końcu żołnierz prowadzi staniającą się kobietę – i ona pada. Potem oprawcy podchodzą do brzegu dołu, wrzucają porzucone czapki czy kapelusze i oddają pojedyncze strzały w dół. Przysypują to miejsce ziemią i odchodzą. Doczekaliśmy do rana. Ojciec dowiaduje się od nas, co zaszło. Milczy i wychodzi.

Jak się później okazało, tej nocy Niemcy aresztowali 37 profesorów, w tym 7 profeso-

rów Politechniki. Byli wśród nich: prorektor Politechniki prof. Włodzimierz Krukowski, były premier prof. Kazimierz Bartel, matematycy prof. Antoni Łomnicki i prof. Włodzimierz Stożek, prof. Stanisław Piłat, technolog ropy naftowej, prof. Kacper Weigel, miernik, prof. Roman Witkiewicz, pomiary maszynowe. Kobieta, która – jak mi się zdawało – ślaniała się, była utykającą na nogę żoną znanego chirurga prof. Greka, Maria z domu Pareńska, szwagierka Boya-Żeleńskiego. Zginęli wtedy także Boy-Żeleński (żonaty z Zofią z Pareńskich), prof. Longchamps z trzema synami, prof. Progulski z synem i inni uczeni.

Niewiele pamiętam, co się działo w pracy w tych makabrycznych dniach i nocach. W biurze pracował dr Potok, prawnik, Żyd, przyjęty jeszcze do „Ukrgazu”. Władający dobrze językiem rosyjskim chętnie pomagał nam w pisaniu życiorysów, które za każdym razem musiały być identyczne, gdyż jakakolwiek zmiana nasuwała natychmiast podejrzenia „Specodtiełu”. Siedział teraz zmalretowany i usiłował załatwiać jakieś pisma. Pewnego dnia przyszedł już z białą opaską z sześcioramienną gwiazdą na ramieniu, które Niemcy kazali nosić wszystkim Żydom w mieście, i znikł po jakimś czasie.

Dyrektorem biura został Niemiec, dr Siegfried Hinz. Sprawował on swe rządy wraz z dyr. Stolzem. Obaj mieli w kłapach Hackenkreuze, co oznaczało ich przynależność do partii. „Ukrgaz” został przemianowany na „Karpathen Oel GmbH”. Większość pracowników „Ukrgazu” dostała wypowiedzenie, a ci, którzy pozostali, głównie z eksploatacji, wkrótce zostali przeniesieni na pl. Mariacki 8 do tzw. kamienicy Sprechera, wielopiętrowego gmachu zajętego na biura naftowe. Niebawem nazwa została zmieniona na „Beskiden Erdöl Gewinnungsgesellschaft m.b.H.”, przy czym nasze biura oddziału gazowego we Lwowie podlegały Stryjowi (Betriebsinspektion Stryj, Gasabteilung Lemberg). Cały nasz dział mieścił się w kilku obszernych pokojach po dawnym „Polminie”. Kierownikiem Działu Technicznego zawiadującego gazem pozostał inż. Wiśniewski, a personel naszego działu nie uległ dużym zmianom. Natomiast „Beskiden Erdöl” stało się już dużą firmą o wielu działach. Nieco dwuznaczną rolę odgrywała tam

moja koleżanka z pierwszych lat gimnazjalnych. Chodziła doskonale ubrana i patrzyła na nas z góry. Nie zgolono jej włosów, zniknęła jednak z naszego horyzontu po pewnej nieprzyjemnej konfrontacji.

Praca trwała od godziny 8 do 17 z godziną przerwą na obiad. Biura przy pl. Mariackim oddalone były od naszego mieszkania o około 20 minut drogi. W przerwie biegłam do domu, podawałam więcej niż skromny obiad, przygotowany poprzedniego dnia wieczorem, i pędziłam z powrotem. Raz spóźniłam się rano kilka minut i zostałam w niezwykle ostry sposób napomniana przez będącego właśnie we Lwowie dyr. Hinza. Wieczorami starałam się o jakąś żywność i załatwiałam wszystkie sprawy związane z prowadzeniem gospodarstwa.

Były to czasy głodu. Na skutek agresji Niemiec hitlerowskich na ZSRR wczesnym latem 1941 nie zebrano plonów z pól utworzonych przez władze radzieckie kołchozów, a nowi władcy nie zadbali o należyte zagospodarowanie zagarniętych ziem, tak że lato i wiosna 1942 r. były dla Polaków bardzo ciężkie. Niemcy przysyłali do tych majątków zarządców państwowych (Treuhaendlerów) względnie wyznaczali na te stanowiska fachowców Polaków. Zobowiązani oni byli do odstawiania wszystkich ziemiopłodów rolnych i bydła, a dostawali odciągnięte mleko, trochę ziemniaków i zboża. Miałam okazję to widzieć, gdy jeździliśmy z siostrą Basi Zd., Zosią i kolegami do majątku Ostrów Tuligłowski k. Komarna, gdzie właśnie takie gospodarstwo prowadził brat Basi Wojciech z pomocą matki i Basi. Tam też zbierała się konspiracyjna młodzież.

Pensje wszystkich Polaków były „zgleichszaltowane”. Otrzymywałam 180 zł i flaszkę wódki lub spirytusu, za co kupowałam masło na tzw. placu żydowskim. Kiedyś kupiłam osełkę masła, здавало mi się świeżego, ale zaledwie uszłam parę kroków, osełka zaczęła się gwałtownie kurczyć i topnieć. Z trudem odszukałam chłopca w pół-huculskim stroju, który to oszukane masło sprzedał i który widząc moją rozpacz zwrócił mi pieniądze. Żydzi zatrudniani w „Beskiden Erdöl” głodowali jeszcze bardziej. Prosilili, aby kupić im marmolady lub coś do jedzenia, obiecując, że dobrze zapłacą, ale nie było skąd wziąć. Byli jednak tacy, którzy na tym robili interesy. Sama po wojnie spotkałam we Wrocławiu koleżankę z gimnazjum, Wandę L., która na wystawie Ziemi Odzyskanych w 1948 r. była szatniarką. Powiedziała: *Nie było to jak za Niemców, sprzedawało się Żydom chleb i było dobrze*. Wysłuchałam tego z zażenowaniem. Przez jakiś czas Żydzi przychodzili do pracy z tymi białymi opaskami na ramieniu. Między innymi dość długo utrzymali się jako tłumacze dr Hager

i jego rzekoma kuzynka, piękna pani Suchestow, która uchodziła za jego żonę, a w rzeczywistości była żoną Radziwiłła „Rudego”. I oni jednak po pewnym czasie zniknęli.

W biurze miałam niewiele pracy. Załatwiałam korespondencję, tym razem w języku niemieckim, ciągle na stanowisku sekretarki. Mimo luzów nie można było wyjść, aby cokolwiek załatwić.

Z końcem września lub z początkiem października 1942 r. Niemcy kazali nam w ciągu dwóch tygodni opuścić mieszkanie przy ul. Nabelaka. Była to dzielnica zarezerwowana dla Niemców. Całymi dniami, rano sam ojciec, a później razem szukaliśmy możliwego pomieszczenia w dzielnicy żydowskiej, w dawnym getcie. Mieszkania, które oglądaliśmy, były w okropnym stanie, zapluskwione, z podłogami zasłanymi czarną warstwą karaluchów. W końcu upatryliśmy sobie mieszkanie przy ul. Janowskiej 8. Kamienica ta słynna była z lwowskiej piosenki *Tam na rogu na Janowskiej, przy ulicy Kleparowskiej, tam jest fajne urządzenie, elektryczne oświetlenie*, opiewającej knajpę na parterze tego domu z wejściem od narożnika. Było to również mieszkanie żydowskie, ogołocone ze wszystkiego, ze wszystkimi szybami w oknach porozbijanymi, fruwającym w powietrzu pierzem i pluskwami w ścianach. Musieliśmy otrzymać normalny przydział z tzw. Wohnungsamtu (urząd kwaterunkowy), w czym pomogła pracująca tam dawną koleżanka z gimnazjum, Lidka Zbydniowska, która ten przydział „pchnęła”. Dzięki Boskiej Opatrzności i ludzkiej pomocy udało się nam doprowadzić mieszkanie do stanu używalności. Inżynier Bourdon ponownie mi pomógł, wydając szkło do oszklwienia okien, jakiś zamek zabezpieczający mieszkanie i potrzebną armaturę łazienkową.

Był październik, szła zima. Tutaj nie było już gazu ziemnego, a gaz miejski dochodził słabym strumieniem; Polakom światło i gaz wylączano na kilka godzin wieczornych (od 17.00 do 19.00). Przeprowadzki dokonaliśmy na furmankach, nie wiem, skąd zdobytych przez ojca. Zamieszkaliśmy ponownie w zmniejszonym gronie: ojciec, kilkunastoletni brat Henryk i ja; starszy żonaty brat zamieszkał oddzielnie.

Okrucieństwo Niemców rosło. Ulicą Janowską w górę przejeżdżały lory tramwa-

jowe załadowane pokrwawionymi ciałami Żydów, które palono gdzieś dalej, na Cmentarzu Janowskim.

Warunki materialne stawały się coraz cięższe, a handlować nie potrafiłam. Do wynędzniałego Lwowa przyjeżdżali Polacy z innych części Generalgouvernement, głównie z Krakowa, gdyż komunikacja została przywrócona, i żerowali na tej części kraju wykupując za bezcen wartościowe przedmioty, jak aparaty fotograficzne, biżuterię itp. od zbiedzonych i nie orientujących się w interesach rodaków.

Jadwiga Schwarz, dawna bibliotekarka „Ukrgaz”, teraz zatrudniona była w prywatnej polskiej firmie drzewnej, dającej lepsze pensje i warunki pracy. Zaproponowała mi przejście do tej firmy. Musiałam tylko uzyskać zezwolenie z „Beskiden Erdöl”, napisałam więc odpowiednio podanie, w którym naiwnie uzasadniałam moją prośbę obciążeniem obowiązkami domowymi i pogorszeniem warunków bytowych. Odmówiono mi. Przeniesiono mnie natomiast do centrali telefonicznej obsługującej duży gmach Sprechera. Szefem moim został Niemiec, niejaki Heindl, dość ludzki, też Parteigenosse. Pochodził z Hamburga, gdzie została jego rodzina. Centrala telefoniczna była siemensowska o 100 gniazdach wtykowych i przełączaniu ręcznym zarówno rozmów wewnętrznych, jak i miejskich oraz międzymiastowych przez 10 linii. Centrala była urządzona tak, że gdy przy łączeniu odchyłało się dzwignię, zaczynał tykać zegar. Prowadzący rozmowę słyszał tykanie, co było dla niego znakiem, że telefonistka podsłuchuje. Po wywołaniużądanego abonenta i dokonaniu połączenia należało więc natychmiast dzwignię zamknąć, aby nie być posądzonym o podsłuchiwanie. Trwała wojna, przedsiębiorstwo naftowe odgrywało dużą rolę w maszynie wojennej i Niemcy obawiali się polskiej konspiracji. Do centrali podłączone były mieszkania w dzielnicy wyłączonej dla Niemców, m.in. naczelnego dyrektora Grosseg i dyrektora Maltza, mieszkających przy ul. Nabelaka.

Dyżury odbywały się na trzy zmiany przez całą dobę. Rano miały dyżur dwie Rumunki, ja dyżurowałam po południu z panią Stanisławą Martyniak, która spolszczała sobie nazwisko na Martyniak, była primabaleriną Opery wileńskiej, osobą dość niezaradną, jak wielu artystów. Pomagała jej mat-

ka, która w późniejszym okresie prowadziła dla Polaków stołówkę w „Beskiden Erdöl” przy pl. Mariackim 8. Do stołówki tej przychodzili Polacy, m.in. zatrudniony wówczas w tej firmie młodzieńki Marian Załucki, późniejszy satyryk, z równie młodzieńką uroczą żoną. Mówiono wówczas o nim, że jest zdolnym poetą.

Lwów w owym czasie był jakby przygaszony. Tylko niektóre kina były dostępne dla Polaków, naturalnie te gorsze, zresztą na ogół do kina „nie chodziło się”, chociaż dla młodych była to jedyna rozrywka. O sportach nie było mowy, jedyne dostępne dla Polaków kąpielisko było na Zamarstynowie. Czas pracy nie pozwalał na wycieczki czy spacer. Teatr zwany szumnie „Opernhaus” dostępny był dla Niemców i Ukraińców. Koncertów było niewiele, a radia nie mieliśmy. Aparaty radiowe, podobnie jak i narty, należało oddać (spaliliśmy pięć par narzbionych przez mych braci). Konserwatorium lwowskie zostało zamknięte, a w jego miejsce utworzono ukraińską szkołę muzyczną bez polskich sił.

Tak jak innym Polakom przysługiwał mi tygodniowy urlop, który we wrześniu 1943 r. postanowiłam spędzić w Krakowie i odwiedzić moją rodzinę, której nie widziałam od 1939 r. Rodzina ojca pomagała nam przesyłając pocztą w kilowych woreczkach mąkę czy kaszę, o które we Lwowie było bardzo trudno, a ich ceny były wysokie. Któregoś dnia szłam na nocną zmianę. Byłam głodna. Kupiłam od napotkanej wieśniaczki jakieś małe gruszki i łapczywie je zjadłam. Do rana byłam chora. Dostałam czerwonki, która wówczas panowała powszechnie, podobnie jak tyfus brzuszny. Z urlopu i wyjazdu nic nie wyszło. Po chorobie dla podreperowania budżetu zaczęłam robić na drutach. Pomogła mi w tym Marysia Fredrowa – znajomość, a potem przyjaźń wojenna; mąż jej był więziony w tej samej grupie co mój brat Artur.

Zimą 1943/1944 nastąpił przełom. Armia hitlerowska cofała się. Wcześniej, w pierwszych miesiącach 1944 r., wyjechały rodziny Niemców zatrudnionych we Lwowie. Czuliśmy, że nadchodzi zmiana.

W nocy z 28 na 29 marca miałam nocny dyżur. Około pierwszej w nocy odezwała się centrala. Włączyłam przewód – jakiś Niemiec prosił o połączenie z dyrektorem generalnym Grossem. Nastrój widomej kłęski sprawił, że postanowiłam podsłuchać

rozmowę. Niemiec dzwonił z Nadwórnej, usilnie prosząc dyrektora Grossego, aby ten wstawił się za nim do jakiegoś generała, którego nazwisko podał, i wyjednał mu oraz jego koledze pozwolenie na wyjazd z Nadwórnej, gdzie pozostali sami na rozkaz wycofującej się jednostki. Wobec zbliżenia się wojsk radzieckich pozostanie w Nadwórnej oznaczało śmierć. Grosse odmówił. Zaległa cisza przerywana tykaniem zegara. Wyłączyłam połączenie. Konsekwencji żadnych za podsłuchiwanie nie poniosłam. Być może nawet tego nie zauważono.

30 marca zdemontowano centralę telefoniczną. Sytuacja była jasna. Niemcy byli w defensywie. Proponowano nam przeniesienie i wyjazd do Gorlic lub Glinika Mariampolskiego, ale nie zgodziłam się. W kwietniu wypłacono nam pobory, ale zwolniono z obowiązku przychodzenia do pracy, należało jedynie co jakiś czas zgłaszać się w biurze.

Kłęska Niemiec była widoczna. Armia radziecka rozpoczęła bombardowanie. Równocześnie zaczęły nas dochodzić mrozące krew w żyłach wiadomości. Były kierowca „Gazoliny” Pawłowski został zamordowany przez Ukraińców. Podobnie ks. Kwiatkowski, były katecheta mego brata Artura, wróciwszy do domu, zastał zamordowanych swoich starych rodziców. Mówiono, że Ukraińcy w ten bestialski sposób zabezpieczają sobie polskie ausweisy, lub też były to po prostu mordy na Polakach dokonywane z premedytacją. Polacy osiedli w wioskach z mieszaną ludnością polsko-ukraińską byli masowo mordowani, a kto mógł, ratował się ucieczką do miasta, zostawiając swój dobytek. W Buszcu k. Brzeżan na oczach swojej żony leżącej w połogu zamordowany został lekarz Jan Załuczowski. Jego żona,

Celina z domu Knaus, była naszą koleżanką z „Gazoliny”. Taki sam los spotkał naszego kolegę Juliana Korejbę, pełniącego służbę przy stacji gazowej k. Mikołajowa. Osierocił żonę i synka.

Od 1 kwietnia rozpoczęły się naloty, które trwały bez przerwy przez cały kwiecień i maj; nasze mieszkanie znajdowało się w pobliżu koszar przy ul. Gródeckiej, bomby padały tuż obok. Postanowiliśmy wyjechać ze Lwowa, stało się to w dzień Zielonych Świąt 26 maja 1944 r. Wyjeżdżaliśmy z kilkoma walizkami z bombardowanego i nękanego innymi dopustami miasta; ojciec – w przeświadczeniu, że to na kilka miesięcy, a ja – żegnając je na zawsze. W czerwcu w Krakowie zaczęłam rozglądać się za nową pracą i na rok zaczęłam się w byłej Izbie Rolniczej (wówczas Agrarancie). A po roku znów wróciłam do nafty, tym razem do Centrali Produktów Naftowych.

Z dawnymi kolegami i szefami miałam słaby kontakt. Wiem, że po wojnie inż. Bourdon osiedlił się w Dzierżoniowie, gdzie pracował w którymś z tamtejszych zakładów i wzywał ojca na eksperta w sprawie doprowadzenia do nich wody. Inżynier Wiśniewski osiedlił się i do końca swych dni mieszkał we Wrocławiu, gdzie pracował w gazowni miejskiej w swej branży.

Tak więc po wojnie wyszłam z nabytą znajomością języka rosyjskiego i maszynopisania, a także z pewnym obeznaniem w terminologii technicznej, co mi się później bardzo przydało.

* Po 52 latach otrzymałam wiadomość z Memoriału Lwowskiego, że Artur został rozstrzelany 26 czerwca 1941 r. w więzieniu nr 2 na ul. Zamarstynowskiej, co zostało potwierdzone pismem Prokuratury Lwowskiej.

Kraków, 1982 r.

Z tamtych lat, z tamtych dni

także nazwisko kol. Wandokantego. Jedyną ochroną wyznaczonych na śmierć zakładników są teraz prośby wygłaszane z ambon kościołów o zachowanie spokoju. My zaś w ciągu miesiąca żyjemy w nieprawdopodobnym niepokoju. [...]

Trwa oblężenie Tarnopola, ale front przybliża się do Łęczowa. Na wykłady i ćwicze-

nia nikt nie przychodzi. Zostają więc automatycznie zawieszane. Z uczelni wyjeżdżają prof. Sedelmayer i sekretarka dyrektora, Niemka z synkiem nieznanego żołnierza. Dr Witte wydaje rozkaz ewakuacji dóbr materialnych uczelni. Wojsko przywozi dużą ilość pak, do których wkładane są pod osobistą odpowiedzialnością i obecnością żołdaków instrumenty z klinik, urządzenia laboratoryjne, aparatura, mikroskopy, odczynniki, al-

kohol oraz środki oszałamiające. Do jednej z pak specjalnie oznakowanej włożone zostają dokumenty z rektoratu ze spisami studentów oraz wykazem wydanych dyplomów. Są to dla nas rzeczy najcenniejsze. W niezmiernie trudnych warunkach w czasie mojego nocnego dyżuru wkradamy się wspólnie z Szymańskim i Rzeczkowskim i przenosimy je do gabinetu prof. Szczudłowskiego. Wykradamy również najpotrzebniejsze instrumenty chirurgiczne i położnicze, oddając je na przechowanie dr. Doroszowi. Przywiózł je potem do Wrocławia i były nieocenione w pierwszym okresie działalności klinik Wydziału Weterynaryjnego.

W czasie ewakuacji dr Schott jest bardzo podenerwowany. W jednej z rozgrywanych partii szachów, atakując mojego króla, ciągle rzuca krótkie słowa: *Uciekaj, Fredziu, uciekaj, Fredziu*. Ponieważ król nie był specjalnie zagrożony, zaczynam rozważać, czy nie mają one związku z pobytem gestapo u prof. Szczudłowskiego. Moi współlokatorzy są tego samego zdania. Szykują się do wyjazdu, jako że w centrum Generalnej Guberni mają już ustalone zadania. Według późniejszych wiadomości, zginęli wszyscy w powstaniu warszawskim.

Zaczynają się bombardowania Lwowa przez lotnictwo sowieckie, największe – 1 maja 1944 r. W pierwszej kolejności Lwów zostaje dokładnie oświetlony rakietami spadochronowymi, a potem zbombardowany. Kilkumiesięcznego synka Andrzeja znoszę w koszu na bieliznę do piwnicy. Pod materacykiem jest jego cała rodzinna dokumentacja.

W kilka dni później, wchodząc na teren uczelni, zostaję zatrzymany przez wartownika i po okazaniu dokumentów zaprowadzony do rektoratu do dr. Witte. Ten oświadcza, że ze względu na ważne zarządzenia wojskowe dzisiaj wyjeżdża ze Lwowa, a mnie porucza opiekę nad wszystkimi klinikami. Kiedy zdumiony zapytuję go, jak wyobraża sobie pracę po wywiezieniu wszystkich instrumentów łącznie z termometrem, odpowiada zdenerwowany: *Jutro uczelnia zostaje zajęta przez wojsko, niech pan ich o to zapyta*. Zaskoczony tym przebiegiem spraw, udaję się do dr. Schotta. Nie zastaję go jednak. Wczesnym rankiem wyjechał wojskowym samochodem, zostawiając na portierce kartkę z pozdrowieniami. Z ukraińskich ko-

legów już nie ma nikogo. Szuka mnie kol. Sawczuk. Przy spotkaniu wyciąga niemiecką kartę mobilizacyjną z zapytaniem *Co mam robić?* Odpowiadam: *Podrzuć i zdezerterować*. Zrobił to przy mnie na miejscu, mając na uwadze nieprawdopodobny bałagan. Ten przyfrontowy chaos nasila się z godziny na godzinę. Znikają szyldy na sklepach niemieckich. Zaczyna się ewakuacja władz administracyjnych Lwowa.

Dnia 17 maja 1944 r. zastaję w domu niecodziennych gości: jednego współlokatora i mego łącznika p. Krasnodębskiego (kolejarza), późniejszego dyrektora administracyjnego AR w Olsztynie, a potem doc. AR w Krakowie. Kończą pakować rzeczy mojej żony i rocznego synka Andrzeja. Gdybym przyszedł o godzinę później, miałbym wielkie trudności w odnalezieniu ich w GG. Wywożą nas pociągiem do Chrobrza, potem Gór Pińczowskich, otoczonych lasami Sancygniowa i Przecławskim, w których są już partyzanci polscy i sowieccy. Tam w makabrycznych warunkach, razem z rodziną, przeżywamy przejście działań wojennych, związanych z frontem sowieckim nad Nidą (styczeń 1945). W cztery miesiące później jestem w Krakowie, a z końcem czerwca 1945 r. we Wrocławiu, gdzie od podstaw organizuję wraz z innymi Wydział Medycyny Weterynaryjnej przy Uniwersytecie i Politechnice.

ALFRED SENZE (1911–1993), ur. w Tarnopolu. Po maturze w Gimnazjum im. Śniadeckich we Lwowie ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w 19 PP. 1934–39 studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, krótko praca zawodowa jako lekarza wet. 1939–44 laborant, potem asystent w Katedrze Chirurgii i Ortopedii oraz Położniczej w AMWet. we Lwowie. W 1945 przybył wraz z pracownikami uczelni do Wrocławia, gdzie był jednym z współtwórców Wydziału MWet przy Uniwersytecie i Politechnice. W 1945 doktorat, od 1948 z-ca profesora i kierownik Katedry, 1960 profesor zw. Ukończył drugi fakultet – Wydział Lekarski. W latach 50. i 60. rektor WSR we Wrocławiu. Wieloletni kierownik Katedry Rozrodu Zwierząt i Kliniki Położniczej Wydziału MWet. Od 1981 na emeryturze. Wybitny uczony i dydaktyk, autor ponad 160 prac naukowych. Doskonały wykładowca, erudyta. Członek licznych towarzystw naukowych, krajowych i zagranicznych. Pochowany na cmentarzu św. Wawrzyńca we Wrocławiu.

Książd profesor Władysław Smereka

chetnym i życzliwym dla wszystkich człowiekiem. Tych wartości dobroci i życzliwości miałem możliwość i ja doświadczyć w mojej młodości.

Tej dobroci i łagodności ks. prof. Smereki sam doświadczyłem mianowicie w czasie swojej nauki i pracy w szkole średniej w Krakowie. Stymulował, pobudzał, kierunkował moje zainteresowania, udostępniał nastuch radiowy z zagranicy w czasie groźnego reżimu stalinowskiego, by w ten sposób poszerzyć moje horyzonty myślowe. Był dla mnie bardzo życzliwy i empatyczny, a podczas studiów uniwersyteckich w Lublinie wspierał mnie bezinteresownie finansowo. Moje kontakty – mimo odległości, starałem się utrzymywać z ks. profesorem poprzez korespondencję czy osobisty kontakt – w czasie mojego pobytu w Krakowie. Niech te słowa tu wypowiedziane będą moim wyrazem podziękii i wdzięczności za Jego dobre serce i czyny.

Nieoczekiwana śmierć zastała Go w dniu 20 lipca 1983 r. w Lesznie, gdzie odwiedzał rodzinę. Na pogrzeb telegram przesłał Ojciec Święty Jan Paweł II, w którym podkreślał zasługi profesora Władysława Smereki, kapłana Archidiecezji Lwowskiej, długoletniego profesora Wydziału Teologicznego w Krakowie, który głęboko był związany z tym środowiskiem. Bóg wezwał do siebie człowieka, który umiłował Jego słowo i wiele czynił, by zostało zrozumiane i przyjęte. Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek dobry, przyjaciel ludzi.

Listy kondolencyjne przestali: ks. bp. prof. dr hab. Marian Rechowicz – Administrator Apostolski Archidiecezji Lwowskiej w Lubaczowie oraz wielu profesorów i kolegów bibliotw z całej Polski.

Mszę świętą pogrzebową sprawował ks. bp. dr Lech Kaczmarek z Gdańska oraz przyjaciele zmarłego. Kazanie wygłosił ks. prof. Stanisław Grzybek, a eksportację na cmentarzu Salwatorskim⁹ w Krakowie prowadził ks. kardynał Franciszek Macharski

Odszedł, ale pamięć po nim nie zagięła, pamięć o Nim trwa. Bo nie umiera ten, kto trwa w pamięci bliźnich. *Abiit, non obiit.*

PRZYPISY

- ¹ Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini, Leopoli 1931, s. 188
- ² Prob. Michael Sobejko natus 1885, 1910
- ³ Decanatus Leopoliensis – extra urbem. Paroch: Julius Barzycki natus 1885, 1909
- ⁴ Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini, Leopoli 1934
- ⁵ Decanatus Leopoliensis intra urbem. Adm. Joannes Pokrywka natus 1885. Vicarius Ladislaus Smereka et catechetae etatowy w szkole nr 47 im. św. Kazimierza na Lewandówce
- ⁶ Imiona i nazwiska oraz notki biograficzne uzyskałem dzięki uprzejmości przełożonej ss. Boromeuszek w Łańcucie, siostry mgr Pauliny Łuby, za które składam serdeczne podziękowanie (zob. aneksy)
- ⁷ Zob. ks. Bernardyn Dziedzicki w Kronice parafii Ujanowice
- ⁸ Tamże
- ⁹ Ks. Władysław Smereka został pochowany na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie – pierwszy grób od bramy wejściowej po stronie lewej. W tym samym miejscu jest pochowany ks. prof. dr hab. Bolesław Przybyszewski – długoletni kanclerz Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Mianowany przez Księcia Adama Stefana Kardynała Sapiechę.

KAZIMIERZ PRZYBYŁKO, ur. 1930 w Lipnicy Murowanej. Matura 1951 w I Liceum im. Nowodworskiego w Krakowie, studia psychologiczne na KUL, ukończone 1956. Psycholog kliniczny w II Klinice Anestezjologii AM w Lublinie.

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.
Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

ŁUDZIE W „CRACOVIA–LEOPOLIS” (9) ROCZNIK 2007

Poprzednie listy zamieszczono w numerach 4/98, 1/2000, 4/2000, 4/01, 1/03, 1/04, 4,04, 4/05. Lista zawiera nazwiska osób, których dane biograficzne znalazły się w artykułach i notkach. Tłustym drukiem wyróżniono nazwiska osób, o których napisano całe artykuły (w tym *Sylwetki* i wywiady), a drukiem zwykłym notki biograficzne i okazjonalne wzmianki (także w przypisach do artykułów – o ile zawierają dane biograficzne). Wśród nazwisk, odnoszących się do r. 2007, znalazło się kilka pominiętych na liście za rok 2006.

Baraniecki Adrian	4/07	Mikosz Joanna	1/07
Barański Feliks	3/06	Mitraszewski Stanisław	2/06
Bisanz, rodzina	2/07	Mokrzykowa Maria	2/07
Bober, rodzina	2/07	Mściwujewska-Wajda Anna	1,2/07
Bortiakow Walery	3/07	Mściwujewscy, rodzina	2/07
Buczowski Zdzisław	3/07	Nadachowska Ewa	1/07
Bylczyński-Dęboróg Jakub	3/07	Nowakowski-Bułgar Ludwik Piotr	4/06
Celt Marek	2/07	Opalek Wiesław	3/06
Chciuk Tadeusz	2/07	Pilecki Jerzy M.	2/07
Ciechanowska Jadwiga	3,4/07	Piotrowska Ewa	1/07
Ciechanowscy, rodzina	3/07	Przybyłko Kazimierz	4/07
Cieszyński Antoni	2/07	Redzik Adam	4/07
Duda Jerzy	1/07	Reichert-Toth Janina	3/07
Dustanowski Stanisław	1/06	Rybicki Andrzej	1/07
Geppert, rodzina	3/06	Sandecka Irena	3/07
Ingarden, rodzina	1/06	Senze Alfred	4/07
Iwazsko Ludwik Antoni	2/07	Sergijenko Olga	2/07
Jamrozówna Jadwiga	2/07	Skurska Helena	3/07
Janicki Jerzy	2/07	Spittal Władysław	3/07
Kleinrok Henryk	3/07	Szczepankiewicz Stanisław, ks.	2/06
Kończ Bogusław	3/07	Tracz Ewa	3/07
Króliński Jacek	3/07	Wajda Leszek	2/07
Krzysztofowicz Anna	2/07	Wesołowski Roman	2/07
Kuczabińska Jadwiga Wanda	1,2/07	Weigl Rudolf	3/07
Kuczabiński, rodzina	1/07	West Feliks	2/07
Kurylewicz Andrzej	2/07	Wołkowicka Kinga	3/07
Leńczyk Maria	2/06	Woźniak Marta	3/07
Macedoński Adam	2/07	Żuk Aneta	3/07
Majchrzycka-Bober Wanda	2/07	Żuk Jerzy	1/07

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51
Nakład 770 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania sródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji	II	Anna Piwowarska W SALONIE PANI ALFREDOWEJ	38
Felieton			
Barbara Czaczyńska WRZESIEŃ, CZYLI O PAMIĘCI	1	Kazimierz Przybyłko KSIĄDZ WŁADYSŁAW SMEREKA	40
Wiesław Krawczyński ROZMYŚLANIA NAD AUTOPORTRETEM	2	Sylwetki Adam Redzik TONKO	44
Helena Żołnierkowa WYPĘDZENIE ZE WSCHODU...	3	Krzysztof Bulzacki ZUZANNA ŁOZIŃSKA	46
Naszym zdaniem UDERZ W STÓŁ	5	Słownik geograficzno- -historyczny Maria Taszycka	47
Listy	7	BARSZCZOWICE ♦ OŻYDÓW ♦ RODATYCZE ♦ TRZCIEŃCIEC ♦ ŻÓŁTAŃCE	
Jadwiga Ciechanowska WSPOMNIENIA NAFTOWCA (2)	8	Z tamtej strony	
APEL DO CZYTELNIKÓW	11	WYDARZENIA	48
Alfred Senze Z TAMTYCH LAT, Z TAMTYCH DNI (4)	12	Naszym zdaniem JAKA WATRA	48
Zbigniew Kubas WOŁOWE, WIEŚ KOŁO BÓBRKI	15	Polacy z Polakami KARTA POLAKA...	50
Jacek Walczewski WYRÓŻNIENIE CRACOVIA–LEOPOLIS	16	W Krakowie i dalej XXI ZJAZD TARNOPOLAN NASZE ULICE W KRAKOWIE	50 54
Henryk Kleinrok MOJE MIASTECZKO KOZŁÓW (2)	18	NOTATKI	54
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z DR. MARTĄ URBAŃSKĄ	21	Z żałobnej karty Ks. Zdzisław Peszkowski Zbysław Popławski Tadeusz Krzyzewski	56 56 57
Maciej Dęboróg-Bylczyński KSIĘGARNIE I CZYTELNIENIA LWOWSKIE...	29	Kultura ♦ Nauka UŚMIECH TERESY DUTKIEWICZ TĘCZOWA JUBILATKA	58 58
Wiersze Tadeusz Knaus SERCE POLSKI BIŁO WE LWOWIE		Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI	58
Alicja Bober-Michałowska ZAKOCHANI WE LWOWIE	30	WERTUJĄC WYDAWNICTWA GŁOS BUCZACZAN	63 66
Proza Franciszek Jaworski DOKOŁA STAWU PEŁCZYŃSKIEGO	31	LUDZIE CRACOVIA–LEOPOLIS 2007	III